wolnelektury.pl

Józef Ignacy Kraszewski

Infantka, tom pierwszy

Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Infantka

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

(ANNA JAGIELLONKA)

KSIĘGA PIERWSZA. NADZIEJE

Na niebiosach i w kalendarzu była wiosna, ale na zamku warszawskim smutek tak ponury i przygniatający oblekał twarze, zdawał się nawet na szarych murach jego odbijać, jak gdyby świat późną jesienią obumierał.

Ta sprzeczność pomiędzy obrazem natury a obliczem ludzi, wyraziściej jeszcze dawała czuć troskę, która ich uciskała.

Na kogo spojrzeć było, co się o uszy obijało, tchnęło goryczą jakąś i zwątpieniem, wszystko i wszyscy. Wyjątek jedyny stanowili może parobcy i czeladź, która z rozprzężenia korzystała, aby broić bezkarnie.

Był wieczór, dzwony odzywały się leniwo, posępnie, opieszale i żałośliwie na pacierz wołając, który dzień miał zakończyć.

Około zamku snuły się postacie zadumane, powolnemi kroki mierzące podwórze, patrzące przed się osłupiałemi oczyma.

Nikt nie śmiał raźniej podnieść głosu, szeptano jakby się obawiano dźwięku własnej mowy. Od miasta też, już o tej porze zabierającego się do spoczynku dochodziły tylko szmery głuche, których znaczenia rozeznać było trudno.

W powietrzu powiew wiosenny niekiedy przynosił woń od lasów rozwijających się, od wezbranych wód Wisły, od łąk pierwszemi okrytych kwiatami.

Niebo zwolna zrzucało z siebie jaskrawe blaski wieczora, i przywdziewało płową szatę nocną, na której gdzieniegdzie już blado starsze gwiazdy, wybiegłe naprzód jak na zwiady, przyświecały.

W dolnych krużgankach wewnętrznych zamku mało było widać ludzi. Niekiedy przesuwał się dworzanin w barwie królewskiej, starszy komornik lub nędznie odziany stróż z wiadrem wody, z wiązką drzewa do kuchni.

U słupa jednego na ławie, spoczywał niemłody mężczyzna zmęczony, pot ocierając z czoła, z twarzą pooraną i ciemną, a jak noc smutną.

Z sukni trudno się było domyślać kim był, odzież bowiem miał skromną, szarą i nie wyglądał na pana, ale obliczem, na które padał odblask wieczora, mógł stać choćby pomiędzy senatorami, tak było poważne i wyszlachetnione.

Twarz jego nosiła na sobie znamiona stoczonych bojów ciężkich, po których pozostaje znużenie, ale nie zgryzota. W smutku widać było pokój sumienia, który daje żywot poczciwy.

Spoczywał, ale nawet w tej chwili myśl jego pracować musiała. Najmniejszy szmer oczy zwracał i uwagę. Stał na czatach. Kilka razy poruszył się, jakby chciał powstać i pozostał na miejscu.

Mimowoli, bezwiednie, w takt myśli, które po głowie jego przebiegały, stary ręce podnosił, ramiona dźwigał, głową potrząsał i siedział potem kamiennie nieruchomy.

Ważył w sobie coś i rozważał, a tak był przejęty troską swą, iż nie postrzegł i nie usłyszał gdy wolnym krokiem idący krużgankiem mężczyzna, prawie tego samego wieku, ale rzeźwiejszy i żywszy, zbliżył się ku ławie i ku niemu.

Dopiero gdy mu światło z zachodu sobą zasłonił przychodzący, podniósł zwolna głowę.

Pozdrowili się milczący ruchem rąk i głowy, jakby im obu na słowo się zdobyć było trudno.

Przybywający, na którego padło światło od podwórza, wyglądał bardzo rycersko. Choć nie miał na sobie ani zbroi, ani żadnej oznaki wojaka, można było poprzysiądz, iż w służbie żołnierskiej spędził życie.

Twarz na podziw była mimo wieku piękna i szlachetnych rysów, czysto polskich; siwiejący wąs spuścisty okrywał mu wargi i niemal na piersi spadał. Strój miał starodawnego kroju, niewytworny, co w owym czasie nie było pospolitem bo się wszyscy radzi cudacko przebierali.

— A co? oboźny mój — odezwał się stłumionym głosem przybywający — a co? nie masz tam jakiej pocieszającej nowiny, którąbyś mnie odżywił?

Oboźny króla Augusta, Karwicki, ręce na kolanach leżące załamał, podniósł głowę i westchnął ciężko.

— A! rotmistrzu mój, panie miły — rzekł ponurym głosem grobowym — pod te czasy nieszczęśliwe zkąd co dobrego wziąć? Zdaje się, iż Opatrzność, w niezgłębionych swych wyrokach nad naszemi głowy i nad tem nieszczęśliwem królestwem skupiła wszystkie klęski, jakie tylko ludzi trapić mogą.

Rotmistrz Bieliński na westchnienie odpowiedział westchnieniem.

— Pomnijcie na to — odparł spokojnie — iż ona Opatrzność krzyże zsyła tym, których Bóg miłuje, i że one są próbą cnoty. Narzekać nadaremna rzecz i niemęzka. Jak na wojnie, panie oboźny, na czatach stać z różańcem i szablą, to jest z wiarą w Boga i w siły własne.

Karwicki oboźny podniósł oczy niebieskie, zbladłe wiekiem i dziś szare, usta mu się skrzywiły i z piersi znowu wydobyło się mimowoli westchnienie.

— Nie dziwuj się, że człowiek stęknie, rotmistrzu — rzekł. — Brzemię okrutne, pod czas głowę stracić można.

Bieliński zamilkł, snadź i on czuł to brzemię.

— Cóż z królem, panem naszym miłościwym — zapytał po chwili — co mówią lekarze?

— Pan Stanisław Fogelweder i Niemiec Ruppert jedno pono prawią — odpowiedział oboźny, obok którego zajął miejsce na ławie rotmistrz Bieliński. — Z królem źle jest, bardzo źle, a leki i lekarze co pomogą, gdy kto życia nie szanuje?

— Zaprawdę — przerwał rękę podnosząc Bieliński — i ja tak trzymam. Ciału żaden lekarz nie poradzi, gdy dusza choruje i radaby uciec z niego. Wszak ci to męczennik!

— A tak! — potwierdził gorąco Karwicki — któż to lepiej wie nad nas, cośmy w służbie jego oddawna i smutną tę historyę znamy. Ci co zdaleka patrzą, mogą obwiniać, sarkać, zadawać mu, że własną winą w to popadł, ale my wiemy, iż się stał ofiarą losu jakiegoś, który go chyba od kolebki ścigał. Lepszego i szlachetniejszego człowieka, większego serca monarchy na świecie chyba nie znaleźć, a oto jak ginie marnie, pamięci nawet po sobie nie zostawując, na jaką zasłużył. O Boże!

Słuchając z głową ku mówiącemu zwróconą, rotmistrz słowo każde chwytał bacznie.

— Nie nam go sądzić — rzekł — biedny pan! biedny pan!

Karwicki z wielką żywością zwrócił się do rotmistrza.

— Wy go lepiej znacie — rzekł — ale drudzy? Sądzą go z tego co teraz czyni, gdy już sobą prawie nie władnie, a nie patrzą na to, co go do tego stanu przywiodło.

— Jestże już tak źle ze zdrowiem? hę? — zapytał Bieliński.

— Gorzej nie może być — odparł oboźny — ręce i nogi chiragra i pedogra trapią, wewnątrz boleści cierpi, a najgorzej z umysłem. Troski go jedzą, sam już nie wie co czyni.

— A! bracie miły, wiele on ich sobie sam przysporzył — rzekł, zniżając głos, Bieliński — ale, prawda, i ludzie mu ich przynieśli wiele.

Zawahawszy się nieco, rotmistrz dodał.

— Aleby wam z Warszawy potrzeba już precz, póki czas. Morowe powietrze dokoła ją opasuje. W Okuniewie ludzie padają jak muchy, a pono i tu po przedmieściach i w samem mieście śmierci przypadków było wiele, które mór już, już wciskający się zwiastują. Nie odkurzą go żadnym dymem.

— Tać wybieramy się ztąd, acz nie wiem dokąd — rzekł Karwicki oboźny. — Z chorym panem jechać troska też będzie niemała. Siedzieć, choćby w najwygodniejszej kolebce, nie będzie mógł; nieść się nie da, chyba go z łożem na wóz postawimy, a po naszych drogach taki wóz nie wszędzie przejdzie bez szwanku.

Oba zamilkli potem, patrząc przed siebie niemi.

— Zamęczyli go — rzekł Bieliński po długim przestanku. — Bona go naprzód pod fartuchem trzymała za długo. Gdyby naówczas, jak go na wojnę wyprawiano, nie zawróciła z drogi, byłby się do zdrowego życia obozowego nałamał, młodym i rzeźwym byłby dziś jak ja, co się starym nie czuję.

Jak kwiatuszek w cieniu rósł i wyciekł też blady, biedny i wątły. Dali mu pierwszą żonę, to ją zazdrość Bony rychło zabiła; ożenił się z drugą, która go wiele kosztowała zgryzoty, i tę mu matka odebrała. Ożenił się z trzecią, i z tą żyć nie mógł dla okropnej choroby jej, a rozdzielić mu się nie dali.

Zszedł na ladajakie miłośnice... i tak ostatni z tej wielkiej krwi królów, bez potomka, nędznie schodzi, nie wiedząc nawet, komu kraj puści, który tak kochał.

Jedna królewna Anna została nam doma, a i tej bodaj niedaleko do pięćdziesiątki!

— Cicho! — przerwał oboźny — nam sługom królewskim imienia jej nawet wyrzec nie wolno. Źli ludzie tak umieli zasiać niezgodę między rodzeństwem, iż król jej na oczy nie dopuszcza, żal ma wielki. A ta nieszczęśliwa oczy sobie wypłakuje.

— Teraz przecie na nią i królestwo i Litwa przyjdzie po śmierci króla, Boże uchowaj! — odezwał się rotmistrz. — Ostatniać ona tu doma z tego rodu.

Oboźny ramionami wstrząsnął.

— Takby ono było, gdyby korona dziedziczną się zwała — odparł — ale tu już zawczasu przebąkują, że sobie króla wybierać będą, jakiego zechcą.

— A! nie może być! Srogaby była niesprawiedliwość i niewdzięczność — krzyknął, głos podnosząc i zaraz go zniżając Bieliński.

— Rozsłuchajcież się — odparł spokojnie oboźny.

I milczeli znowu.

— Na królestwo to — dodał Karwicki po cichu, oglądając się dokoła, jakby się podsłuchania obawiał — na królestwo to zawczasu już poluje wielu. Jeszcze król nie zamknął powiek, a posłów potajemnych i szpiegów po senatorach, po szlachcie, po duchowieństwie włóczą się ćmy.

Jeden Bóg wie na czem się skończą te frymarki.

— Po mojemu, po żołniersku — odpowiedział Bieliński — rzecz bardzo prosta i jasna. Królewna ma pierwsze prawo do tronu, kto wybrany zostanie ożeni się z nią.

Nie tak-li było z królową Jadwigą?

Karwicki potrząsnął głową.

— Prostsze to i poczciwsze serca owych czasów były — rzekł — dzisiaj ludzie bardzo zmądrzeli, na dobre i na złe rozumu zażywając. Kto tu odgadnie co się stanie.

I podumawszy trochę, dołożył, obracając się ku rotmistrzowi.

— Powiadają, że króla Francyi brat o koronę się stara, ofiarując zaślubić królewnę Annę, a u nas tu i głośno i po cichu zaprzedanych nie mało jest, którzy cesarskiego brata czy synowca popierają. Litwa cara moskiewskiego wziąć gotowa, aby od niego spokój miała. Są i tacy co za pruskiem książątkiem głosują.

— Zawczasu! zawczasu! — z oburzeniem przerwał rotmistrz. — Czy się to godzi! alboż to Bóg nie wszechmogący i nie może panu zdrowia przywrócić, żywota przedłużyć, a nawet syna dać w późnym wieku jak Jagielle?

Niedźwiedź w lesie, a ten na targ skórę niesie. O ludziska, ludziska!

— Wszystkiemu winni — dorzucił Karwicki — ci co mu rozwodu dopuścić nie chcieli. Kardynał Commendoni najwięcej, bo się upierał dla czci cesarskiego domu nie rozłączać ich, gdy kościół w takich wypadkach choroby ciężkiej i wstrętliwej, niemożliwego pożycia, niejeden raz małżeństwa rozwiązywał i żenić się pozwalał.

Bieliński krzywiąc się nachylił do ucha oboźnemu.

— A lepiejby było, gdyby wziąwszy rozwód uparł się żenić z Zajączkowską?

Szeptał po cichu i szukał oczyma wejrzenia towarzysza, który wzrok wlepił w ziemię i głowę zwiesił na piersi smutnie.

— Była chwila, że się koniecznie napierał tej Hanny — dodał — a kto wie, czy i teraz jeszcze o niej nie myśli. Mówią, że ją po książęcemu wyposażoną trzyma w Witowie. Za samo łoże dla niej cztery tysiące dukatów zapłacono! Panie Boże odpuść! Gdyby z grobów wstali ci, którym Radziwiłłownej dla króla było za mało, cóżby powiedzieli na Hanusię Zajączkowską?

Po krótkiem milczeniu Karwicki się odezwał.

— Wszystkiemu temu bałamuctwu winni źli doradzcy nie on. Chcieli mu życie osłodzić babami, a niemi je zatruli. Niech Bóg przebaczy krajczemu i podczaszemu, i innym pomocnikom, którzy mu miłośnice wynajdowali, stręczyli i przywodzili. Zaczęło się od tej mieszczanki Basi Giżanki, która dziś karetą jeździ o czterech woźnikach; poszła za tem Zuzia Orłowska, aż napatrzyli Hannę Zajączkowską między fraucymerem królewnej Anny, która teraz pokutuje za nią i łzy wylewa.

— Zniedołężniał tak nakoniec, że już własnej woli nie ma — westchnął rotmistrz — lada pacholę, jak ten Kniaźnik, czyni z nim, co chce.

— Cierpieniem, troską, postrachem zgonu bezpotomnego tak się znużył, iż dziś, dla świętego spokoju wszystko gotów poświęcić — począł Karwicki. — Niepoczciwi ludzie, gotowi zawsze ze wszystkiego korzystać, im gorzej go widzą, tem więcej naciskają, uprzykrzają się i łupią.

Dotąd pono testamentu nawet nie ma, a dla samych sióstr uczynićby go powinien, aby im nie wydarto co należy.

Serce się kraje myśląc o tem — dodał oboźny. — Ja gdy rozważać zacznę wszystko, a odgadywać przyszłość, uciekam się do modlitwy taki strach mnie ogarnia.

Bieliński rękę jego ujął.

— Sądzicie, że ze mną lepiej? — zawołał. — Nie ma pono w tem królestwie naszem jednego poczciwego człowieka, któryby jak my nie bolał. Jak w ulu, gdy matki zabraknie, co pocznie rój? Tak i z nami. Zabraknie nam króla i królewskiej rodziny, choć dziś boli na nią patrzeć, co się naówczas stanie z tem państwem naszem? Z jednej strony czyha na nie car moskiewski, z drugiej cesarz niemiecki, który już Węgrów i Czechów wziął, a na Polskę zęby ostrzy. Nie liczę Turka i Tatarów. Jak my się obronim bez wodza i głowy? Co naówczas się stanie z naszemi od wieków zdobytemi prawami i swobodami? Ażali je poszanują obcy? Im potężniejszego wybierzemy dla bezpieczeństwa od nieprzyjaciół, tem dla nas on groźniejszy, bo mu nasze swobody będą solą w oku.

— To też wielu już dziś sądzi, że francuzkiego królewicza, o którym gadki chodzą, że i on o koronę się stara, wziąć byłoby najbezpieczniej — odparł Karwicki. — Tylko znowu ci co lepiej są poinformowani prawią, że młokos jest i papinek... a nasza królewna, z którąby się żenić musiał, matkąby mu być mogła.

Bieliński głową potrząsał.

— Statystą nie jestem — odezwał się — a na łaskę Bożą i natchnienie Ducha św. wiele liczę.

— Gdybyśmy na nie zasłużyli — dokończył oboźny.

— Bieda! — przerwał Bieliński.

— A no, bieda! — powtórzył za nim Karwicki.

Zciemniało tymczasem trochę na dworze, a pod krużgankami noc prawie była. Na zamku mało gdzie ukazywały się światełka, ruch ustawał, cisza rozpościerała się głęboka dokoła.

Zdala, jakby głosy nadziei, z nad krzaków ogrodu nad Wisłą, od rzeki dały się słyszeć słowicze śpiewy, którym siedzący oba, milcząc, długo się przysłuchiwali.

Rotmistrz Bieliński wstał.

— Czas na spoczynek — odezwał się. — Przyszedłem tylko na zamek dowiedzieć się, czy król mnie nie potrzebował, bo mi kazał być pogotowiu.

— Cały ten dzień okrutnie cierpiał — odezwał się Karwicki. — Doktorowie o podróży radzili i nie uradzili nic.

— Ale z Warszawy musi precz jechać — przerwał rotmistrz — bo czasu moru miasto, to jak czasu pożaru śpichrz ze smołą... zagnieździ się śmierć na długo. Musimy króla salwować.

— Pewnie! ale dokądże z nim? — zapytał oboźny.

Bieliński dumał, odpowiedzieć nie umiejąc.

Stali tak jeszcze w cieniu, gdy od wrót, które na drugi podworzec zamkowy mniejszy wiodły, szmer się jakiś dał słyszeć.

Oboźny spojrzał i nie odzywając się, palcem tknął rotmistrza, ukazując mu na tę część krużganków, która kurytarzami wiodła do mieszkania chorego króla.

Wieczornej zorzy odblask we mrokach rozeznać dozwalał postacie, które furtą otwartą po cichu na zamek się wśliznęły. Trzy ich było.

Przodem szedł wysokiego wzrostu mężczyzna, płaszczem włoskim na ramię zarzuconym osłonięty, w kapeluszu z pióropuszem. Tuż za nim, rańtuchem z głową okryta cała posuwała się niewielka figurka, która niewiastą być musiała, sądząc z chodu i ruchów; za niemi postępował chłopak wysmukły wyrostek.

Szli cicho, na palcach, ostrożnie, oglądając się, przesunęli przez podwórze, dostali się do krużganków i we drzwiach wiodących ku izbom króla znikli.

Rotmistrz przypatrywał się ciekawie, zdając się objaśnienia oczekiwać od obożnego, który milczał póty, aż się przychodzący nie oddalili w głąb kurytarzy.

— Król leży chory — rzekł — a to mu albo jakąś czarownicę, albo jednego z tych „sokołów" poprowadzili, o których on sam teraz powiada po cichu, że one go zgubiły.

Dziwna a najdziwniejsza rzecz — dodał wzdychając Karwicki — on sam jasno widzi, że się gubi, wie, że mu te kobiety żywot skracają, a oprzeć się pokusie nie może.

Fogelweder i Ruppert przypisują mu leki apteczne; wieczorem starą babę czarownicę, znachorkę sprowadzą, ta go okurza, omywa, zamawia, męczy... może truje!

Ledwie się zbył wiedźmy, biegnie Basia Giżanka, o córeczce powiadając, aby mu, póki czas, coś wydarła, choć dosyć już ma, aby sobie męża kupiła.

Ręce załamał oboźny rozpaczliwie.

— Koniec świata!

— Na Boga — podchwycił rotmistrz — od czegoż są panowie senatorowie, Rada królewska! Winni go oni wziąć w opiekę. Cóż ksiądz podkanclerzy?

Zżymnął się, posłyszawszy o nim oboźny.

— Ksiądz podkanclerzy! o sobie myśli, nie o panu — zamruczał. — Umiał on opanować umysł królewski, ale tylko tem, że namiętnościom schlebia i przez szpary patrzy na nie.

— Dreszcze po mnie przechodzą — zawołał Bieliński — gdy was słucham. Myślałem, idąc tu, że pociechę jaką wyniosę, a wyście mi jakby całunem świat cały oblekli.

— Co pomoże zabawiać się nadziejami próżnemi, gdy nad głową wisi miecz — odparł Karwicki.

— No, ale na dziś, chyba dość tego — przerwał, obejmując przyjaciela rotmistrz. — Ufajmy w Bogu! Mnie się wierzyć nie chce, aby nas miał pokarać tak srodze i wydać na łup nieprzyjaciołom.

— Nieprzyjaciołom — podchwycił oboźny — rotmistrzu miły. Nieprzyjaciołom byśmy się obronili, ale my sami sobie jesteśmy najgorszym wrogiem.

Bieliński uszy zatykając, słuchać już nie chciał.

— Dość! dość! Czołem panie oboźny.

— Czołem, mój stary!

Uścisnęli się milczący.

Karwicki, jakby mu przyjaciela trudno opuścić było, powoli towarzyszył aż do bramy, lecz milczał już, idąc z głową spuszczoną.

Rotmistrz Bieliński otwarłszy furtę, rękę jego ścisnął i poszedł żywo ku miastu. Chwilę postawszy Karwicki, nazad do zamku powrócił, lecz nie siadając już na ławie, w głąb podworca ku wewnętrznej bramie się skierował, i miał wnijść na wschody około niej zewnątrz muru przyczepione, gdy furta się otworzyła, a w niej ukazała się postać kobieca, której zdala zbrojny towarzyszył mężczyzna.

Spostrzegłszy Karwickiego, kobieta chciała się cofnąć żywo, ale poznawszy go rychło, wróciła śpiesznie i syknąwszy zcicha, śmiało się do niego zbliżyła.

Twarzy kobiety, osłoniętej od stóp do głów płachtą ciemną, nie można było rozeznać, ale pod tą osłoną niedbale zarzuconą, czuć się dawała zręczna i gibka postać, a głos srebrny, młody zadźwięczał.

— Oboźny!

— Dosia! — odezwał się Karwicki.

— A któżby był, jeśli nie ja? — odparła żywo przybywająca. — Gdyby nie poczciwy stary Żegota, nie ważyłabym się z jednego podwórza zamkowego na drugie sama po nocy, bo i na królewskim zamku bezpieczeństwa nie ma... ale Żegota mnie wziął w opiekę, a królewna...

— Z czemże przychodzisz od królewnej? — zapytał, zbliżając się Karwicki.

— Z czem ja przychodzę? — odparła kobieta z odcieniem szyderstwa — zapytaj raczej po co? bo od nas nie ma co przynieść, chyba łzy. Królewna niespokojna biedaczka, nie wspomnieliście królowi o niej?

— Nie było przystępu do niego! — odparł smutnie Karwicki.

Kobieta rozpaczliwie się poruszyła.

— A! mój Boże! mój Boże! — poczęła narzekać — król o niej zapomniał, a u was na wszystkiem zbywa, panie oboźny. Na wieczerzę trzeba było wyprosić u kupców bez pieniędzy, bo zapłacić nie ma czem.

Królewnaby ochotnie ostatek sreber zastawiła, ale tu na nas tyle oczów patrzy, dla czci królewskiego domu nie godzi się, więc woli głodem przymrzeć. Nikt nad nami litości nie ma. Co zawiniła ta biedna królewna nasza, iż jej król bratem a ojcem, i opiekunem, jak powinien, być nie chce, że się nieprzyjacielem stał?

— A! Nie mówcie tego — przerwał nagle Karwicki. — Nie godzi się. Serca on dla siostry nie stracił, źli tylko ludzie sprawili, iż żal do niej ma.

— Królewna winna żal mieć do niego daleko większy, bo jej się krzywda działa i dzieje — zawołała posłanka.

Dokoła głoszą, że król dla morowego powietrza wyjeżdża z Warszawy, cóż natenczas się stanie z nami? Nas też niepodobna dać na łup zarazie; a o czemże my podróż odbywać będziemy i dokąd się schronimy?

— Cierpliwości! czekajcież! — zawołał Karwicki — ani dziś, ani jutro król nie wyjedzie. Nim to nastąpi, klnę się najuroczyściej, my go skłonimy do widzenia się i przejednania z królewną.

— I do opatrzenia jej potrzeb — dodała żywo kobieta. — Na nas już i moru nie trzeba, pozdychamy niebawem z głodu.

Oboźny niby się uśmiechnął.

— Cóż? Myślicie, że ja po kobiecemu z muchy robię wielbłąda? — odparła przybyła. — Zapytajcież drugich, jak u nas jest? Gorzejby nie mogło być, gdyby królewna córką prostego ziemianina była, a toć przecie królewskie dziecię, siostra króla i królowych.

Boże mój!

Zafrasowany, zgnębiony milczał Karwicki.

— A! Dosiu moja — rzekł — ja to wszystko wiem. Z duszybym rad dopomódz, nie ja jeden, Żaliński także, Fogelweder, ale do króla przystąpić trudno i sam na sam się z nim rozmówić. Przy trutniach się z tym odezwać, znaczyłoby popsuć sprawę.

Kobieta łamała ręce.

— A! czekamy już długo na zmiłowanie! — westchnęła.

Oboźny tarł czoło niecierpliwie.

— Gdybyście wiedzieli, jak mi do was trudno było iść, z jakim ja tu biegłam strachem — mówiła dalej — a no, musiałam, bo nikt inny nie mógł, nie chciał. Królewnaby też może nie rada lada komu się zwierzyć z nędzą swoją. Pokrywa ją, jak może, aby się ludzie z niej nie naigrawali.

Mnie na odwadze nie zbywa, choćby z rozpaczy, gdy na królewnę, panią moją, dobrodziejkę, patrzę, poszłabym już choć i bez Żegoty!

— No! no! — odparł Karwicki — sama się tak nie wyrywaj! W mieście, koło zamku i na zamku ludzi różnych, włóczęgów dosyć, pod noc biedy napytać łatwo.

Obejrzał się po niebie.

— Wracajno, wracaj — rzekł.

— Z czem? — zapytała kobieta.

— Z tym, że jutro albo ja, albo Żaliński powiemy królowi, przypomnimy królewnę i skłonimy go do zgody.

— Do zgody! — powtórzyła cicho oczekująca. — Do zgody! Boże miłosierny! mógłże kto przewidzieć, że między bratem a siostrą powstać może niezgoda, i o co?

— No, dobrej nocy i szczęśliwej drogi — zamknął jej usta oboźny.

— Do jutra! — zakończyła uparta dziewczyna, nie ruszając się z miejsca — do jutra, bo ja przyjdę jutro i dopóty chodzić będę, aż coś wykołaczę.

— Do jutra! — powtórzył oboźny, który do furty się zbliżył, otworzył ją i wypuściwszy kobietę, prędko za nią zasunął.

Spojrzał w górę po oknach zamkowych. W tę stronę wychodziły komnaty królewskie.

W dwóch oknach zasłonami pół przezroczystemi zapuszczonych, czerwonawe światło przebijało się przez nie słabo. Czasami cienie jakieś po nich się przesuwały.

W tych izbach spoczywał na łożu tęsknicy i boleści ostatni męzki rodu Jagiellońskiego potomek — Zygmunt August. U wezgłowia jego nie miłość i przywiązanie, nie wierne serca i ludzie oddani mu czuwali, ale chciwe dłonie, wystygłe piersi, nienasycone żądze.

Szybkim krokiem od wrót zamkowych oddaliła się posłanka na drugie ciche podwórze, które budowle starsze i mniej foremne otaczały. Ciągnęły się tu mury głównej budowy, połączone z nią, a pomiędzy niemi przejścia, wschodki, galeryjki, sklepienia świadczyły, że wieki kleciły to gniazdo, a każde pokolenie uścielało je wedle potrzeby.

Ciemnymi zaułki szła śmiało posłanka, a stary Żegota kord trzymając w ręku pogotowiu, towarzyszył jej aż do oddzielnego dziedzińczyka, który budowę jedną opasywał. W murze były i tu wrota. Zbrojny stróż zapukał do nich, wpuścił dziewczę i nie mówiąc słowa, sam poszedł dalej.

Naprzeciw powracającej Dosi, z kagankiem w ręku wyszła niemłoda kobieta, przygarbiona nieco, odziana ubogo, z twarzą jakąś wypłakaną i smutną.

— Królewna? — zapytała Dosia.

— Układliśmy ją do snu — szepnęła stara. — Znowu to oko rwało i głowa ją bolała strasznie. Żalińska materacyk położyła z rumianku, obwiązaliśmy chustynką szafranową. Bóg wie! ulży jej może!

No a król?

Dosia poruszeniem głowy dwuznacznem odpowiedziała, jakby o nim nie wiele co mówić było.

Zatrzymały się tak obie w podwórku, którego mur jeden wychodził w stronę Wisły i ogrodu, a po nad nim zielone drzew i krzewów gałęzie widać było.

W budynku, przed którym stały, nie świeciło się nigdzie, stał czarny ze swymi murami gdzieniegdzie z tynku pozdzieranymi.

— W izbach u nas jeżeli nie zimno, to zaduszno — odezwała się przybywająca Dosia — a tu powietrze wiosenne takie miłe, nie chciałoby się do komory, bo i sen powiek się nie ima.

Stara kobieta, która kaganek osłaniając ręką, na swą towarzyszkę patrzała ciekawie, szepnęła cicho.

— Kto go tam wie, gdzie teraz bezpieczniej? Powietrze wiosenne zawsze zimnicę daje, a no i mór idzie, człowiek boi się nawet oddychać. Lada wiatr przynieść może licho.

— A! wstydźże się Maciejowa — żywo przerwała jej Dosia. — Powietrze! powietrze! Jakby to czasu moru Pana Boga nie było, bez którego woli człowiekowi włos nie spadnie z głowy.

Ja się moru nie boję! a każe Bóg życie dać, wola Jego!

Stara zaczerwienionemi oczyma ciekawie, z poszanowaniem spojrzała na dziewczę.

— A! wy bo się niczego nie boicie, nikogo nie lękacie — szepnęła. — Ale niemal wszyscy młodzi tak śmiałkują, dopóki ich życie trwogi nie nauczy. Nie igraj i ty, abyś się nie doigrała.

W tej chwili blask kaganka padł na twarzyczkę śmiałej dziewczyny i całą ją czarodziejsko oświecił.

Czy światło to uczyniło ją tak piękną? Stała słuchając i patrząc na starą z takim wyrazem męztwa i ufności w Bogu i sobie, a tak jej z tem było heroicznie pięknie, iż zdawała się jakąś nadziemską, przez malarza wymarzoną istotą, zjawiskiem, które chwilę błysnąwszy, zniknąć i w mrokach rozpłynąć się miało.

Ta nadzwyczajna piękność Dosi musiała się nawet starej babusi wydać zachwycającą, gdyż mimowoli wykrzyknęła.

— A! jaka ty jesteś piękna!

Dosłyszała Dosia tych słów cichych, zwiesiła główkę smutnie, brwi się jej ściągnęły i rzekła tęskno.

— Pan Bóg mnie tą pięknością pokarał, na co się ona zdała?

Stara przypomniawszy sobie kaganek, który trzymała w ręku, dmuchnęła nań i zgasiła. Ciemność otoczyła je.

— A Żalińska? — zapytało dziewczę.

— Siedzi przy królewnie, pilnując, czy się nie przebudzi a nie zapotrzebuje czego.

— Gdzież reszta dworu?

— Rozeszli się, gdzie który chciał albo musiał — mówiła stara. — Niektórzy już i chrapać muszą.

— Idźże i ty zasnąć, moja Maciejowa — dokończyła Dosia. — Mnie się chce siąść jeszcze trochę tu na ławie u drzwi i spocząć na świeżem powietrzu, w komorach mi jakoś duszno. Sen nie bierze.

Posłuszna Maciejowa, milcząc, z kagankiem wsunęła się po cichu we drzwi, a Dosia z głowy na ramiona opuściwszy rańtuch, zbliżyła się ku ścianie, znalazła ławę i siadła na niej, ręce na kolanach załamawszy.

Cicha noc majowa, która nawet o północy nigdy zbyt czarną nie jest, miasto i zamek usypiała.

Z każdą chwilą milczenie stawało się uroczystsze, szmery dolatujące zdala rzadsze i słabsze.

Dosia z oczyma wlepionemi w niebo, dobyła różańca i miała się zacząć modlić, gdy blizko niej, z za węgła kroki słyszeć się dały.

Z niechęcią i obawą zwróciła wzrok w tę stronę, lękała się, aby natręt jaki nie spłoszył jej z tego kątka, w którym spocząć sobie obiecywała.

Chód był powolny, stąpanie dawało poznać mężczyznę.

Wkrótce też z za węgła wyszedł słuszny, silnie i foremnie zbudowany, zręcznie się poruszający człowiek, otulony narzuconą na ramiona opończą, z głową nakrytą małą, od niechcenia włożoną magierką. Krokiem powolnym posuwał się naprzód zadumany.

Chociaż twarzy rozpoznać nie było można, Dosia zobaczywszy go, zerwała się uciekać, gdy nadchodzący obejrzał się, poznał ją i uchylając czapeczki, rzekł cicho.

— Niechaj panienka nie ucieka, ja pójdę precz.

Głos był łagodny i sympatyczny, Dosia przysiadła na ławeczce mrucząc:

— Będę przecież musiała iść, bo mi po nocach w rozmowy wdawać się nie przystało.

— Ale ja dla porządku obejść muszę dokoła, aby się ludzie nie rozpuszczali — rzekł zatrzymując się mężczyzna.

Dziewczę nie odpowiedziało i słychać tylko było paciorki różańca uderzające o siebie w jej rękach.

Mężczyzna stał, odejść mu się jakoś nie chciało.

— Ani we dnie ani wieczorem, nigdy mi panna Dorota rozmówić się z sobą nie pozwala! — westchnął. — A, takbym tego pragnął.

— Przynajmniej nie dziś i nie tu pora do rozmowy — niecierpliwie i prawie gniewnie odparło dziewczę. — Idź pan swoją drogą, a nie, to ja będę musiała.

— Idę już, idę — zawołał mężczyzna — ale na rany Chrystusowe, kiedy ja będę miał to szczęście...

Nie dała mu dokończyć dziewczyna.

— A! szczęście! co za szczęście! Nigdy! nigdy! — zawołała nadąsana, zerwała się z ławki, wpadła we drzwi i zatrzasnęła je za sobą.

Mężczyzna machinalnie poprawił czapeczkę na głowie, ujął się za wąs i pokręcił go, przebąknął coś i szedł dalej powoli obejrzeć podwórze i otaczające go stajnie i szopy.

Zwolna tak, bacznie przesuwał się nasłuchując, pomiędzy budowlami, popróbował gdzieniegdzie drzwi i wrót, zaglądnął do komórek pół otwartych, z których go dochodziło chrapanie, i okrążywszy budynki, drugą stroną od tyłu wszedł do głównego korpusu przez sień ciemną zdążając do komory, w której się świeciło.

Choć ciepło już było na dworze, tu na kominie palił się jeszcze ogień dogasający, nie dla ogrzania izby, ale dla oczyszczenia wilgotnego powietrza i dla światła naniecony.

Izba była dosyć przestronna, sklepiona, czysta, wybielona świeżo, z podłogą posypaną tatarakiem i jedlinką, których woń czuć się w niej dawała. Dwa tarczany stały u dwóch jej ścian przeciwległych, a stół prosty pomiędzy niemi w pośrodku. Po kątach, jakby w gospodzie podróżnej, tłumoki i skrzynki widać było, uprzęże, siodła i wojłoki na kupę zrzucone.

Na stole zgasły leżał kaganek, a blask dogorywającego ognia chwilami oświecał komorę, podobną do jakiejś izby klasztornej.

Na jednym z tarczanów, opończą okryty, zwinięty w kłębek leżał człowiek, który posłyszawszy drzwi skrzypnięcie podniósł głowę na pół łysą z wąsami ogromnemi, z policzkami obwisłemi i znużonemi, zapadłemi oczyma.

Zobaczywszy wchodzącego już się, na drugi bok obróciwszy, spać chciał kłaść, gdy usłyszał z piersi jego dobywające się westchnienie ciężkie.

Ziewnął, podniósł się, wyciągnął, oczy przetarł, splunął i usiadł na łóżku.

— Waść, mości Talwoszu, wzdychasz tylko a wzdychasz, piersi sobie mordujesz, do czego się to zdało?

— Myślisz, mój miły Bobolo, że ja to z dobrej woli czynię? — odparł przychodzący, który zrzuciwszy opończę i czapeczkę na swój tarczan, zbliżył się do ognia aby go poprawić i pokazał się młodym i przystojnym, mężnego wyrazu twarzy człowiekiem.

— Gdzieżeś znów u licha po nocy wędrował — zapytał Bobola ziewając. — Masz jakiego języka? dopytałeś co?

— Tyle tylko żem najrzał Dosię, która mnie połajawszy, uciekła — rzekł młody Talwosz. — Obszedłem szopy i stajnie, bo dziś nikomu wierzyć nie można, wszystko się rozprzęga.

To mówiąc, gdy raz jeszcze westchnął, Bobola splunął gniewnie.

— Panna Dorota ci w głowę zajechała! — odezwał się. — Rozumu nie masz! albo to pora o amorach myśleć, gdy taka bieda dokoła i na śmierć się raczej sposobić potrzeba, bo nas tu dalej, dalej powietrze wszystkich podusi w tych murach.

— Niechajby już, niechaj! — machając ręką rozpaczliwie odparł Talwosz — mnie, dalipan, życie zbrzydło.

— Dla jednej podwiki! — zawołał z oburzeniem stary Bobola. — Ale, wstydziłbyś się. Przecież panu Talwoszowi nie lada szlachcicowi, dobrego rodu, o innej przyszłości i krescytywie myślećby się godziło, a nie świat sobie zawiązywać jedną taką dzierlatką, u której tyle tylko, że liczko kraśne.

— Jak Bóg miły ci, Bobolo — przerwał młody — zaklinam nicże mi przeciw niej nie mów! Klnę się gardłem, drugiej takiej chyba nie ma na świecie!

Siedzący na łóżku, przygarbiony, rozespany Bobola, który obie ręce trzymał oparte o krawędź tarczana, podniósł zwolna oczy na towarzysza. Patrzył, patrzył i minę zrobił wyrażającą politowanie, jakby chciał mówić:

— Żal mi cię biedaku! Do tego to już przyszło?

— Słuchaj Talwosz — odezwał się głośno. — Dotąd sądziłem, żeś ty się tak mimochodem zadurzył w niej, jak to się codzień młodym zdarza, a jutro, gdy cię królewna na Litwę odprawi, wywietrzeje to z głowy, ale ty na prawdę szalejesz.

— A! na prawdę! na prawdę! — potwierdził Talwosz, który siadł u ognia na nizkiej ławeczce. — Mów sobie co chcesz, mój koniuszy, łaj mnie kiedy wola, Dosi drugiej, równej jej nie było i nie będzie.

— Urodą, rozumem, dowcipem, nie ma co mówić — zawołał Bobola — przechodzi inne, co prawda, prawda. Ale ja w dziewczynie tej śmiałości, tego zuchwalstwa, tego rwania się naprzód nie lubię. Na kozaka patrzy.

Talwosz głową potrząsał.

— Rycerskiego ducha niewiasta — zawołał z uniesieniem.

— Dziewczynie młodej ten duch nie przystał — odparł Bobola surowo.

— Teraźniejszego czasu i kobietom serce urasta, tak nas bieda przygniotła, a my zniedołężnieli — począł Talwosz.

Ale, posłuchaj Bobolo, dobrze, że się o tem zgadało. Tyś się już przespał, a mnie się wcale spać nie chce.

Obiecywałeś mi tyle razy o tej Dosi relacyę. Ja nie od tak dawna na dwór przybywszy, tyle tylko wiem, że ją królewna wychowała, że ją lubi, a ona za swą panią życie dać gotowa.

Ale zkądże ona! co ona?

Bobola nie ruszając się z łóżka, poprawił się tylko i usiadł wygodniej.

— Prawdą a Bogiem — począł — ja przeciw niej nie mam nic, ale mi żal ciebie, bo ty na prawdę myślisz o niej, a ona, choćby jak piękną i poczciwą była, za żonkę, nikomu się nie zda.

U nas żona, prawda, męztwo musi mieć i rozum, gospodarną być, ale my się ciągle po światu włóczymy, ona za nas i za siebie gniazda powinna strzedz i spokojnego ducha w sobie piastować. Na naszych żonach wszystko, ale w domu. Tej domu będzie mało.

Szlachcic u siebie na wsi gościem. Jak nie na pospolite ruszenie, to na komisye, na deputacye, na zjazdy, na urzędy iść musi. Póki korda dobyć ma siłę, z konia nie zsiada.

Więc jejmość koło domu, koło roli, koło interesów i do sadu i do robotnika musi iść i za męża i za siebie i do tańca i do różańca.

Talwosz nie przeczył i nie odpowiadał.

— Myślisz że taka twoja Dosia na wsi we dworze wytrzyma? — dodał Bobola.

— Ona? — wyrwało się Talwoszowi — ona z siebie uczyni co zechce! Ale daj pokój, nie o tem mowa. Obiecaliście mi o niej coś więcej powiedzieć niż ja wiem, bądźcież łaskawi.

Bobola głowę pocierał.

— Gdyby cię to mogło wyleczyć z tej niedorzecznej miłości — westchnął. — Co ja wiem, czemużbym ci powiedzieć nie miał? Nikt mnie o tajemnicę nie prosił.

Znacie naszą królewnę Annę? Serce ma złote a szczęścia do ludzi ani za grosz. Piękna była i jest jeszcze nie szpetną, a oto jej już pięćdziesiąty podobno roczek dochodzi, nikt się prawie o nią nie starał. Inne, młodsze przed nią powychodziły. O tę się nikt ani dowiedział. Król nasz August losem się jej nie zajął, ona o siebie nie troszczyła się.

— Katarzyny, królowej szwedzkiej losu nie ma pono co zazdrościć — przerwał Talwosz — ta się mało nie na śmierć zamęczyła nim doszła przez więzienie ciężkie do królestwa. A mało co że ją carowi moskiewskiemu nie wydał ten szalony Eryk.

— Ale, wszelako dziś króluje — odparł Bobola. — Zofia wyszła też niezgorzej za Brunświckiego, o innych nie mówię, ta została na koszu.

Coby ją brat, sierotę, miał kochać więcej, dziś przyszło do tego, że o tę Zajączkowską się pogniewawszy, gadać do niej nie chce.

— Ale cóż to wszystko ma do Dosi? — zapytał Talwosz.

— No, poczekaj, to jest *exordium* — mówił spokojnie Bobola.

— U naszej królewnej, niby to dla usługi, a w rzeczy przez litość pobranych, zawsze sierot i wychowanic bywało dosyć, co je utrzymywała, uczyć kazała i wyposażała. Wszak i ta Zajączkowska... ale dać jej pokój.

Otóż byliśmy, pomnę, w Krakowie, lat temu nie pamiętam ile, będzie około dziewięciu może, gdy raz przyszedłszy z miasta stara Zakrzewska, która naówczas ochmistrzynią była przy fraucymerze, powiada królewnie: Tomci na mieście cudne dziecko, dziewczyninę widziała, choć malować. Gdyby aniołek piękna, ale odarta, w łachmanach, żal się Boże, jak zbiedzona. Szlachcic ją tu przywiózł, przez miłosierdzie wziąwszy z odbitych Tatarom jeńców. Nikt się do niej nie chciał przyznać. Radby ją, słyszę, komu oddać, ale nikt się nie zgłasza.

Spojrzała na królewnę, która natychmiast odpowiedziała.

— Każcie tego szlachcica z dzieckiem na zamek przywołać.

Zakrzewska, litościwego też serca kobieta, pchnęła zaraz pacholika na miasto. W godzinę może przyszli królewnie oznajmić, że szlachcic z dzieckiem w antykamerze stoi.

Wybiegliśmy wszyscy patrzeć, bo nas opowiadanie zaciekawiło.

Dziecko wychudzone, sińcami okryte, nędzne było bardzo, mogła mieć lat około dziesiątka. Ale mimo nędzy i brudu twarzyczkę miała tak piękną, że się płakać chciało nad tem co to stworzenie śliczne wycierpieć musiało.

Szlachcic, który ją porzuconą na pół nagą wziął, nie miał nawet czem okryć, więc zgrzebnemi łachmanami była odziana i w starą, obciętą opończę otulona, której po pas starczyło jej za pięty.

Zapytała królewna zkąd ją wziął.

Począł opowiadać, że niedawno Tatarom jeńców nad Tykiczem odbito, a między niemi i ta sierotka się znajdowała. Domyślano się z tego, co dziecko samo o sobie opowiadało, i z innych poszlaków, że było córką niejakiego Sochy-Zagłoby, których tam dwu braci z Mazowsza wywędrowawszy na kresach się osiedliło.

Temu Sosze-Zagłobie jednemu Tatarowie dwór spalili, żonę zabili, jego zamęczyli w niewoli, a o dziecku sądzono, że je ten sam los spotkał.

Gdy dobrze później jeńców odbito w stepie, znalazła się w rękach tatarskich dziewczynina. Pamiętała o sobie że ją Dosią zwano, że we wsi Mchowie rodzice mieszkali, i miała drewniany krzyżyk jakiś na sznureczku u szyi.

Obok Mchowa, w drugiej osadzie, brat tego Sochy-Zagłoby ocalał był, wczas zbiegłszy, ale gdy mu synowicę przyprowadzono, wcale się do niej przyznać nie chciał, ani ją znać, chociaż po bracie Mchów zagarnął. Krzyżyk drewniany, który miała na szyi, służył mu właśnie do dowodzenia, że musiała być chłopką, kiedy kijowskiej roboty krucyfiks na piersiach nosiła.

Szlachcic, który się od stryja tego nagrody spodziewał, oberwał łajanie i nie wiedząc, co począć z sierotą, przywiózł ją naprzód do Lwowa, potem do Krakowa, rad się zbyć, bo nie żonaty był, nie miał domu ani łomu, i sam służby szukał.

Królewna ani się namyślała, kazała mu kilka czerwonych złotych dać, a Zakrzewskiej dziecko wziąć. Obmyto je, uczesano, nakarmiono, a Anna królewna bardzo pokochała wychowanicę.

Gdy biedactwo odżyło, wypytywano je o przeszłość, o niewolę, ale było tak przemęczone, schorowane, przybite obchodzeniem się okrutnem, że mało co zachowało.

Mówiła tylko, że imię swe Dosi pamiętała i że rodzice jej na wsi jakiejś, którą po swojemu opisywali, mieszkali.

Z bałamutnych tych dziecka wspomnień mało co było można wyciągnąć, nawet to rzecz bardzo niepewna, czy w istocie tego Sochy-Zagłoby córką była, ale ją tu przyjęto i nazwano Dorotą Zagłobianką.

Gdy to biedactwo potem odżyło, dopieroż niemal cudownie rosnąć, pięknieć i rozwijać się jęło tak, że królewna się nią nacieszyć nie mogła. Poszły stąd pieszczoty wielkie i niepotrzebne dogadzanie.

Zachciało się dziewczynie uczyć, królewna sama nauczyła ją po włosku, Francuz który pod czas był przy ogrodzie, po francuzku, a żartem i na podziw ks. Niedźwiedzki zaczął po łacinie.

Na co się to wszystko zdało? chyba żeby się jej w głowie przewróciło.

Umiejąc języków tyle, zażądała niemieckiego, królewna jej się o Niemkę postarała. Szczęście jeszcze, że po turecku i po tatarsku nie zechciała się uczyć, boby jej i tego nie odmówiono. A z tatarskiego języka dotąd, słyszę, pamięta coś nie coś.

Pisze tak pięknie, że mogłaby w kancelaryi służyć.

Jakże potem nie miała zdumnieć i nabrać pychy, gdy się jej wszyscy dziwić zaczęli, a rozum jej wychwalać i piękność przytem?

Tatarowie też kumysem pojąc wlali w nią krew taką dziką, że jej pohamować trudno.

Otóż ją macie jaką dzisiaj jest.

Zagłobianka! szlachcianka! ale stryj jej znać nie chciał, pewno nie bez powodu. Kto wie co za jedna? tyle tylko pewne, że Dosia...

— No i to — dodał Talwosz — że drugiej takiej Zagłobianki czy Dosi nie ma na świecie. Wyrzucacie jej że się górą nosi, co za dziw! niechże druga temu co ona sprosta? Złego przecie nic jej zadać nie możecie?

— Dla siebie najgorsza — mówił dalej spokojnie Bobola. — O swoją przyszłość cale nie dba. Za królewnę życie gotowa dać, ale się rwie nie do swoich rzeczy, nawet pani nasza pohamować jej nie może.

— Za to jej naganić nie można — odparł Talwosz — iż się przywiązała i chce wdzięczność okazać. Tu wszyscy głowy potracili, królewna płacze tylko i narzeka, ta jedna ani odwagi nie traci, ni na chwilę nie odpoczywa.

— A do czego się to zdało? — spytał Bobola. — Lata, biega, wciska się, ale cóż zrobić może? Nastręcza się na posła, gotowa w największy ogień, a nie zrobi nic, tylko się jej ludzie dziwują i pod czas wyśmiewają.

— Mój Bobolo miły — począł Talwosz po chwilce namysłu. — Coś mi miał serce odjąć dla niej, toś chyba przysporzył. Dokaże ona co czy nic, nie w tem rzecz; podziwiać trzeba i męztwo i rozum i wdzięczność dla królewnej.

— I szaleństwo — dorzucił Bobola. — Zważże sam. Dziewczyna piękna jak anioł, oczy rwie, wie o tem i pięknością się tą posługuje, naraża. Wyjdzieli cało? a ludzie zawsze paplać będą.

— Znajdzie się za nią ująć komu — zamruczał Talwosz.

— Tak jak i dziś wieczór — mówił dalej Bobola — sama jedna do oboźnego na zamek do króla, gdzie lud rozpuszczony. Gdzie to kto słyszał? Ale ona się nie zlęknie nikogo. Biskup, senator, żołnierstwo, ciżba, hałastra, ani się zawaha, ani drgnie.

— A wszystko to robi dla królewnej — przerwał Talwosz — bo ona sama nikogo nie potrzebuje i zbliżyć się nawet nie da do siebie. Powiedzże Bobolo, nie piękna to wdzięczność?

— Bodaj piękna ale nierozumna i bez pożytku — mówił Bobola i rozśmiał się. — Co chcesz? gotówem ją nazwać heroiną, ale właśnie przez to na żonę nie stworzona, a ty się bez miary rozmiłowujesz i głowę tracisz.

Zamilkł Talwosz, ale wcale nie okazywał, żeby był przekonanym.

— Teraz — odezwał się po namyśle — pozwól mnie słowo rzec. Czy ja się kocham w niej czy nie, to moja rzecz, ale ten sam mam sentyment dla królewnej co ona.

Albo się to serce nie rozdziera patrząc na tę nieszczęśliwą panią? Takiego rodu dziecię, królów córka, wnuczka, prawnuczka, królów siostra i królowych, dziś sierota, opuszczona, sama jedna, biedna tak, że dla kawałka chleba srebra musi potajemnie zastawiać. Albo to nie okropna pomyśleć o jej losie!

Gdy na którego z nas biedaków, pospolitych ludzi padnie takie nieszczęście, toć jeszcze! ale pomazańców bożych dziecko! w takiem osieroceniu, pod taką dolą ciężką! Nie powinniśmyż wszyscy się ująć za nią, a choćby ginąć dla niej!

— Tęgiś — przerwał Bobola. — My! my! a cóż my możemy, choćbyśmy i poginęli?

— E! e! — wyrwało się Talwoszowi. — My! my! toć przecie szlachta jesteśmy, a w królestwie tem coś znaczymy. Ani ty ani ja nic nie zrobimy, ale trzeba budzić i nawoływać.

Panowie senatorowie klucze trzymają, my pięści mamy.

— O ho! ho! — zakrzyknął Bobola — daleko idziesz! Pleć tylko tak, pleć, i królewnie się przysłużysz i sobie.

— Nie może być ażeby sprawiedliwości nie było na świecie! — wołał Talwosz rozgorączkowany.

— Czekajmyż na nią!

— A tymczasem królewna Anna bez opatrzenia, głodem niechaj mrze i ze wstydu, że ją poniewierają! — wykrzyknął Talwosz. — Cóż tu się dziwować, że dziewczyna głowę traci, patrząc na to! Mnie się też wnętrzności burzą.

Porwał się Talwosz i żywo po izbie biegać począł.

— Trzeba radzić! nic nie pomoże.

Bobola się ironicznie uśmiechał.

— Gdyby cię ksiądz podkanclerzy Krasiński do rady wezwał — rzekł — nie źleby było, a no, wątpię żeby mu to na myśl przyszło.

Talwosz stał zadumany ponuro.

— Patrzajże — odezwał się jakby żarciku Boboli nie dosłyszał — lada dzień ztąd chorego króla wywiozą do Tykocina lub Knyszyna Bóg wie dokąd, cóż się naówczas z królewną stanie? W Warszawie pozostać, gdy tu powietrze albo już przyszło, albo jutro nadejdzie, niepodobieństwo, bo to wyrok śmierci na nią. Dokądże wyjedziemy i o czem?

— Nie wiem — odparł Bobola — ale mi się widzi, że ani ty, ani ja, ani piękna Dosia Zagłobianka, choćby latała do pana Karwickiego, do Żalińskiego, do podczaszego nawet, nie uczynimy nic. Na to trzeba większej siły. Więc po co się rwać?

Talwosz zwątpiwszy ażeby towarzysza przekonał, tchnął piersią całą i rzucił się z impetem wielkim na swój tarczan.

Bobola z wolna wstał, poszedł do dzbana wody sobie nalać, napił się, wąsy otarł i nic nie mówiąc, legł także na posłanie.

W komnacie ogień, jakby czekał na to, przygasł zupełnie i karmazynowe tylko węgle z pod popiołu jak rubiny świeciły.

Gdy z rana wstawszy Talwosz się ubrał i wyszedł się około dworu rozpatrzeć, ranniejszą jeszcze od siebie Dosię Zagłobiankę znalazł już stojącą w progu, na rozmowie z ochmistrzynią i starą sługą królewnej Żalińską.

Szeptały obie, tak smutne mając twarze, iż Talwoszowi na myśl przyszło spytać czy się co złego nie stało.

Dosia Zagłobianka cała czarno ubrana, ale w smutnej tej odzieży tak cudnie piękna, iżby ją nikt za sługę nie wziął, ale za wysokiego rodu panią — z pańską też dumą nosiła strój ten skromny i ubogi.

Po dniu dopiero ta piękność, o której sobie wczoraj rozpowiadali Bobola z Talwoszem, w całej swej świetności się okazywała.

Czarnowłosa, czarnooka, biała ale z odcieniem jakimś płci brunatnym, świeża, rysy miała nadzwyczajnej czystości i wielkiego wdzięku, chociaż coś w nich niemal męzkiego, zuchwałego, dziwnego w tak młodem dziewczęciu uderzało.

Dumna była i wyzywająca, jakby nieustannie bronić się była zmuszoną.

Twarzyczka zawsze piękna, pod naciskiem myśli i uczuć mieniła się co chwila i była w ciągłym ruchu, to się rozpogadzając, to zachmurzając naprzemiany.

Kibić, włos bujny, rączka i nóżka, wszystko odpowiadało obliczu.

Zdawała się jakąś przebraną księżniczką, tak wybitnie arystokratyczną miała powierzchowność, chociaż się nie starała o nią.

Talwosz, na którym czyniła wrażenie istoty jakiejś wybranej, stawał się przy niej pokornym i nieśmiałym, choć mu zwykle na energii nie zbywało.

Żalińska ochmistrzyni, zdawna przy królewnie Annie w usługach będąca, była jedną z tych długą powolnością zepsutych sług, które przewodzą i dziwaczą, więcej o sobie niż o pani myślą, mało się na co zdają a wiele kosztują. Anna królewna ulegała jej przez wdzięczność i z nałogu, obawiała się nawet, dawała na siebie gderać i wyrzekać i wszystko od niej przyjmowała. Ona, mąż, syn więcej na dworze przewodzili niż należało, a wiernością swą i przywiązaniem oczy nieustannie wykałali.

Rozmawiały z Zagłobianką po cichu, nachylone ku sobie, zajęte czemś mocno i strwożone; Żalińska jak zawsze skarżyła się na królewnę, broniła jej Dosia — gdy Talwosz przybliżył się do nich z zapytaniem.

— Nie ma tam co nowego, na coby radzić potrzeba? Nie mogę ja służyć czem?

Żalińska skrzywiła się, patrząc na niego z ukosa.

— Nowego nie ma nic — rzekła kwaśno — i stara bieda dosyć dokucza. Wszyscy głowy tracimy, a królewna nad sobą i nad nami litości nie ma, dziwaczy i płacze, a płacze...

Dzień łzami poczyna, wieczorem skończywszy go płaczem.

— Wracam z zamku, od oboźnego — dodała Dosia nie patrząc na Talwosza. — Król i dziś ma się coraz gorzej, ani doktorowie, ani czarownice nic nie mogą, a o widzeniu się z siostrą słuchać nie chce.

— Na rany Chrystusowe — przerwała Żalińska gwałtownie, ręce załamując — nie może to być! Widzieć się musi, pojednać się, obmyśleć coś dla niej! Nie ma się znowu czego tak trwożyć, jak królewna, a wy jej strachu dodajecie, gdy ją trzeba zgromić i uspokajać.

Nie dokończywszy nasrożyła się ochmistrzyni.

— Nie do nas należy gromić! — odezwał się Talwosz. — Ale jeśli trzeba co czynić, powiedzcie mi dokąd mam iść, będę kołatał, dobiję się bodaj do samego króla.

Dosia spojrzała na niego teraz dopiero.

— Czekajmy, co królewna każe — odezwała się.

Wszystko troje zamilkli a Żalińska burczała coś sama sobie, gdy wtem do jednego z okien, z wewnątrz pukać zaczęto i Talwosz dojrzał za szybami białą rękę, która mu dawała znaki.

— Zdaje się, że królewna mnie woła — odezwał się.

Żalińska i Dosia usunęły się a Talwosz śpiesznym krokiem wszedł do sieni i skierował się w lewo do antykamery, od której drzwi do dalszych izb stały otworem.

W pierwszej z nich czekała na niego królewna Anna.

Tu ona zwykle przyjmowała niewielu ją odwiedzających, a nic nie dozwalało domyśleć się mieszkania córki i siostry królów, tak komnata skromną była i ubogą. Przystałaby ledwie zamożniejszemu mieszczaninowi.

Obicia na ścianach nie było żadnego, sklepienie przyciemniałe i nizkie dawało jej cechę klasztorną i ponurą, okna, z błonami w ołowiu dawno nieoczyszczanemi, skąpo przepuszczały światła. Stół w pośrodku stojący okrywał kobierczyk wytarty i spłowiały. Kilka krzeseł ciężkich, ławy pod ścianami okryte licho, a za całą ozdobę w głębi rodzaj ołtarzyka, na którym stał krucyfiks i dwa dzbanuszki z kwiatami — to było wszystko.

Anna Jagiellonka w czarnej, fałdzistej sukni, jakby zakonną przypominającej, z łańcuchem na szyi, przy którym był krzyżyk złoty, z głową odkrytą, na której koronkowa, przejrzysta zarzucona była zasłonka, związana pod brodą, chusteczkę białą trzymając w ręku, czekała w pośrodku izby na Talwosza.

Pomimo oczu łzami zmęczonych i bladej twarzy, miała jeszcze resztkę młodości, i lat, których doszła, domyślać się nie było można.

Wyraz wielkiej, tłumionej boleści czynił ją sympatyczniejszą jeszcze.

W obliczu tem zmęczonem życiem, nadziejami i rozpaczą, pragnieniami i upokorzeniami, ofiarami i niewdzięcznością, tyle się łączyło z sobą znamion różnych przeszłości i teraźniejszości, iż trudno było właściwy jej charakter odgadnąć. Energia i zwątpienie, słabość i siła jakby prądami gorączki i zimna przepływały po licu.

Niecierpliwe drżenie dostrzegł Talwosz zbliżając się ku niej z uszanowaniem.

Zaledwie dała mu się pokłonić.

— A! Talwoszu mój! — odezwała się głosem poruszonym, w którym łkanie tłumione czuć było. — Talwoszu mój! Radź i ratuj, nie mam nikogo. Co tu począć, król coraz gorzej.

— Miłościwa pani — przerwał Talwosz żywo nie chcąc się jej dać rozżalać — pewny jestem, że tam u króla JMości co panna Dorota przez oboźnego uczynić mogła, to zrobiła jak najlepiej. Wiem że obiecali dopilnować, aby o W. K. Mości nie zapomniał. Nie może to być, lada chwila odbierzemy wiadomość.

— Ale nim to nastąpi — rzekła królewna głos zniżając — mój Talwoszu, na utrzymanie mego szczupłego dworu, choć jak oszczędne, nie mam nic. Nikt o moich potrzebach nie myśli.

Ja dla siebie nie wymagam wiele, gotowam suszyć o chlebie i wodzie, Bóg widzi, ale mi wstyd ludzi... dla tej dostojności córki królewskiej, siostry królewskiej, którą dźwigać muszę.

Zbliżyła się parę kroków do Talwosza i obejrzała dokoła.

— Przed wami ja się ukrywać nie potrzebuję — dodała — tyś wiernym naszym sługą.

— I żywot gotówem dać aby tego dowieść — gorąco zawołał Talwosz.

— Na wiarę u ludzi brać nie mogę, a u mnie już w całym domu talara jednego nie ma — poczęła Jagiellonka. — Pożyczać nie widzę u kogo, prosić się nie nauczyłam, trzeba potajemnie część srebra zastawić, ale nikt, na świecie nikt wiedzieć nie ma, że ono mojem jest.

Gdy to mówiła głos jej drżał i oczy napełniały się łzami. Talwosz stał strapiony, z oczyma wlepionemi w podłogę.

— Chodź za mną — odezwała się królewna.

Posłuszny Litwin powlókł się smutnie za królewną, która pośpiesznym krokiem skierowała się ku drzwiom w głąb wiodącym i prowadząc go za sobą, doszła do małych drzwiczek zamkniętych, wgłębionych w murze sypialni. Otwarła je kluczem dobytym z kieszeni, i po dwu wschodkach wprowadziła Talwosza do bardzo szczupłej komórki o jednem zakratowanem w górze okienku.

Izdebka pusta była i na podłodze jej ceglanej tylko, na rozesłanym sukna kawałku, widać było rozsypane w nieładzie srebrne misy, kubki, dzbanki, nalewki i puhary. Jak gdyby je niespokojna ręka jakaś niedawno przebierała, stały porozdzielane na kupki, powywracane, rozproszone. Nie wiele tego już było.

Królewna wszedłszy na próg, stanęła ręce załamawszy, zamyślona.

— To resztki! — odezwała się do Talwosza — a po większej części pamiątki z lepszych czasów, przypominające różne lata życia. Na niektórych z nich znaki i herby okazują pochodzenie, tych tknąć nie można... inne...

I nie kończąc zakryła sobie oczy. Talwosz, chcąc królewnie oszczędzić bólu, schylił się ku tym naczyniom.

— Wybierz mój Talwoszu z tych co są na prawo — odezwała się Anna — weź jak najmniej, a przynieś jak najwięcej, ale nie sprzedawać nic. Pozbywać się nie mogę.

Daj w pewne ręce aby to nie przepadło, wykupię jak tylko będę mogła... ale dziś, nim siostra moja Brunświcka coś nadesłać raczy, nim się od Czarnkowskiego doczekam, nim się król ulituje, ludzi głodem morzyć nie mogę, a i odprawić ich wszystkich nie godzi mi się.

Talwosz przyklęknąwszy na podłodze, to przebierał rękami misy i dzbany, to się cofał, żal mu było dotknąć tych pamiątek, a i założenie ich bezpieczne nie sądził łatwem.

Królewna sparłszy się o drzwi, nie patrzyła już na niego.

Po chwili tylko szepnęła:

— Śpiesz się, pokaż mi, co wybierzesz. Kawałek sukna znajdziesz tu w kątku. Zawiń aby nikt nie widział. A! wstyd mi wielki.

— Miłościwa pani — odezwał się nareście Talwosz — tymby się wstydzić trzeba, co was do tego przywiedli.

Pójdę zaraz na miasto, żydów się boję, znajdę może poczciwego mieszczanina.

— Umów się proszę aby to nie przepadło — dodała królewna głosem drżącym.

Żal chwycił ją za serce, gdy ujrzała Talwosza kilka mis i kubków zawijającego i wybuchnęła:

— A! Zajączkowskiej, którąm wzięła prawie bez koszuli, nie zbywa dziś na niczem w Witowie.

Płacz mówić jej nie dał. Talwosz pośpiesznie zawinąwszy srebra, stał już gotowy do wyjścia.

— Referendarz Czarnkowski pewnie przybędzie — rzekł, chcąc dodać odwagi strapionej — niech wasza miłość nie lęka się o przyszłość, o srebrach żywa dusza wiedzieć nie będzie. Lada chwila z królem też pewnie się widzieć będzie można, a on opatrzyć musi.

— Daj to Boże, bo się siły wyczerpują — szepnęła oczy ocierając królewna. — Idź, mój Talwoszu, spraw się jak należy, a nie opuszczajcie wy mnie, których już tylko garstka pozostała wiernych.

Królewna zamykała drzwi komory. Litwin stał przed nią z węzełkiem pod pachą.

— Słówko mi dozwólcie rzec miłość wasza — odezwał się po namyśle. — Co tu pomoże łzy lać, gdy należy o swe prawa się upominać śmiało. Wasza miłość zbytkiem powolności i dobroci uzuchwaliłaś niegodziwych ludzi, a i królowi JMości, jako siostra, mogłaś rzec śmielej słowa prawdy.

— Przystępu nie mam za temi złemi, którzy go opanowali — rzekła Anna.

— Nie prosić więc teraz o to, ale się domagać trzeba — odparł Talwosz. — Jam mały człek, ale mi na odwadze nie zbędzie, gdy tylko rozkazy otrzymam. Pójdę przebojem choć do króla JMości.

— Gdyby zdrowszym był — przerwała cicho królewna.

— Właśnie dlatego, iż chory niebezpiecznie, zwlekać nie można — dodał Talwosz.

Anna chciała się tłómaczyć ze swej powolności.

— Dosi obiecano, iż mi posłuchanie wyrobią — rzekła — czekać już trzeba cierpliwie.

— Lecz jeśli zawiodą i nie doczekamy się — rzekł Litwin burząc się — niech miłość wasza ręce rozwiąże, ja pójdę i nie może być, żebym posłuchania nie wyrobił. Posłyszą ode mnie faworyci i zausznicy czego od nikogo nie słyszeli.

Zlękła się Anna i składając ręce, zawołała szybko.

— Tylko mi się bez zezwolenia nie wyrywaj, nie chcę nic gwałtem zdobywać.

Gdy to mówili, Talwosz już stał w progu pierwszej izby.

— Idź, śpiesz — dokończyła królewna — zrób to com ci zleciła, ale więcej nic. Bóg łaskaw ulituje się nademną.

Tak odprawiony Litwin, znalazłszy się sam z węzełkiem pod ręką w posłuchalnej komnacie, zwolnił kroku, obejrzał się. Musiał teraz obmyśleć środek jakiś wymknięcia się ztąd niepostrzeżonym.

W antykamerze nie było nikogo, a małe drzwi wiodły z niej na korytarz, gdzie się nie spodziewał spotkać z żadnym ze dworu sługą, bo ich tu niewiele pozostało. Wymknął się więc, uchodząc niemal jak złodziej i szczęśliwie dobiegł do swojej izby, w której towarzysza Boboli nie zastał. Było mu to właśnie na rękę.

Zaryglowawszy drzwi, mógł swobodnie zabrane srebro zwinąć i ułożyć tak, aby jak najmniej miejsca zabrało, okrył je wojłokiem i obwiązał rzemieniem od uprzęży. Węzeł mógł się wydawać częścią jakąś stajennego przyboru.

Tak się dopiero przygotowawszy, drzwi otworzył i chłopaka od stajen zawołał, sam się ubrawszy jak do miasta.

Nim przestąpił próg, poczciwy Talwosz przeżegnał się krzyżem świętym. Znał on siebie, gorączka był i przy najlepszym sercu do spraw, które przebiegłości i cierpliwości wymagały, nie zdał się bardzo, ale ufał w pomoc Bożą.

Poszanowanie i miłość dla nieszczęśliwej królewnej, a może i rozkochanie w Dosi, u której łaskę mógł sobie zaskarbić najłatwiej, służąc jej pani, dodawały mu odwagi.

Raźno więc wyruszył przez podwórce na miasto, stajennego z węzłem na ramieniu prowadząc za sobą.

W podwórcach teraz ruch już był wielki i ludzi się plątało mnóstwo; przejść niepostrzeżonemu trudno było, lecz nikt nie spytał Talwosza co za nim niesiono, a znano go też z opryskliwości i zaczepiać nikt nie miał ochoty.

Tak szczęśliwie do głównych już wrót od strony Krakowskiej Bramy się dostał, gdy Pudłowski, jeden z królewskich dworzan, go pozdrowił.

— Z czymżeście się to w miasto tak rano wybrali? — spytał, ciekawemi oczyma mierząc pacholę.

— Zechcieliście, rupiecie potrzeba do podróży połatać — odparł Talwosz.

Pudłowski głową tylko pokręcił i ciekawą ręką chciał węzełek obmacać, gdy Litwin tak mu nad uchem zaryczał: Wara! — że musiał się cofnąć.

— Dajcie pokój moim rupieciom — krzyknął — ja pewnie z zamku nie wyniosę co do mnie nie należy. Pilnujcie lepiej swoich towarzyszów.

Zamruczał coś śmiejąc się kwaśno Pudłowski — i na tem się skończyło.

Talwosz wyszedł z chłopcem na miasto, ale gdzie się tu było obrócić?

Obcy w Warszawie, poczuł, że bez rady czyjejś nie potrafi nic.

Posądzić go też łatwo było, a na samą tę myśl krew mu twarz oblewała. Stanął trochę w ulicy, nie wiedząc spełna dokąd się obróci.

Z gorącej chęci usłużenia królewnie podjął się tego, co mu teraz bardzo trudnem wydało się do spełnienia.

Rozmyślał jeszcze, gdy poczuł, że mu ktoś rękę na ramieniu położył i pozdrowił go łagodnym głosem po chrześcijańsku.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Przed nim stał, od kościoła Panny Maryi idący, w wytartej sutannie księżyna, słuszny, blady, z twarzą niepiękną, której rysy nieforemne były i grube, ale nadzwyczaj łagodne i pełne jakiegoś miłosierdzia. Był to ubożuchny wikaryusz Stępek, którego Talwosz znał i cały dwór królewnej, bo często do gawiedzi i służby zaglądał, za obowiązek mając szczególniej biednych i mało oświeconych pocieszać, uczyć i nawracać. Było to jego powołanie.

Sam, syn ubogiego włościanina, sierota, z trudnością wielką dobił się tego, iż mógł kapłanem zostać i poświęcić się też temu ludowi, którego czuł się bratem.

Nie stary jeszcze, zahartowany życiem, ksiądz Stępek żył jedynie powołaniem swojem i spełnianiem obowiązków wziętych na siebie dobrowolnie. W kościele wszyscy, od proboszcza począwszy do zakrystyana, na niego wszelkie ciężary zrzucali. On ubogich grzebał bezpłatnie, on szedł do biednych umierających w słotę po nocy, on siadywał przy trumnach, śpiewał i modlił się, gdy inni nie chcieli.

Dla siebie nie potrzebując tak jak nic, w sutannie wytartej chodząc, poszcząc niemal ciągle, zawsze wesół i spokojny, ks. Stępek budził w jednych litość niemal szyderską, w drugich poszanowanie.

Widywano go tam, gdzie rzadko się duchowni spotykać zwykli, po Rynkach, po szynkach, wśród ciżby, niosącego słowo Boże, rozbrajającego zwaśnionych, jednającego pokłóconych, nawracającego obłąkanych.

Łagodny zawsze, miewał czasem ks. Stępek wybuchy pobożnego gniewu tak straszne, iż się go obawiano. Lud bowiem miał go niemal za świętego człowieka, który o sobie zapominając, z prawdziwie apostolską gorliwością służył braciom, o których inni nie dbali.

Zdawało się Talwoszowi, iż mu chyba Opatrzność zesłała w tej chwili tak świętego człowieka i pochwycił rękę jego, całując ją radośnie.

— A dokąd to? — zapytał wikary.

— Żebymże wiedział! — odparł Litwin, odprowadzając nieco księdza na stronę. — Wy może ojcze kochany, powiecie mi, dokąd iść. Wam się ja zwierzyć mogę. Królewna mnie posyła! Nie mamy ani grosza w domu... biedna pani srebra mi potajemnie zastawić kazała w miejscu bezpiecznem. Sam nie wiem dokąd udać się z niemi.

Ksiądz Stępek podniósł ogromne swe ręce do góry.

— Królewna! potrzebuje srebra zastawiać aby chleba kupić? Królewna! — zawołał przejęty i przestraszony. — Możeż to być! O! dopuście Boży! za grzechy ojców, niewinna ofiara! A dworki chodzą w łańcuchach i jeżdżą w kolebkach wyzłacanych a wszetecznicy pieniędzmi sypią siejąc grzech i zgorszenie.

Podniósł oczy, które mu łzami zaszły, ku niebu.

— Ojcze mój — przerwał Talwosz — na miłość Bożą, nie mam chwili do stracenia, radź jeśli możesz lub dozwól mi iść, bo na mnie czekają z powrotem.

Zamyślił się duchowny, wodząc oczyma dokoła. Wtem właśnie z bramy zamkowej ujrzeli wyjeżdżającego na koniu, w towarzystwie kilku zbrojnych dworzan, mężczyznę lat średnich, w polskim stroju, dość wytwornym, który chmurnem wejrzeniem, pokręcając wąsa, rozglądał się dokoła. Twarz jego poważna, była miłego wyrazu, ale smutek ją okrywał. Temu się dziwić nie było można, bo nikt naówczas z zamku od króla wesołym nie wyjeżdżał, ani ci co go widzieli schorzałym i na duchu upadłym, ani tacy co się do niego docisnąć nie mogli.

Ksiądz Stępek zobaczywszy jadącego, dał znak Talwoszowi.

— Zatrzymaj się małą chwilę, ja dwa słowa tylko powiem panu staroście.

Posłuszny Litwin, który poznał w jadącym starostę warszawskiego Zygmunta Wolskiego, choć nie rozumiał dlaczego wikary mu czekać kazał, zatrzymał się, a ks. Stępek poszedł żywo ku przyjeżdżającemu.

Wolski stanął i począł z wikarym rozmawiać, który wkrótce znak dał Talwoszowi, aby się przybliżył.

Zaledwie miał czas pozdrowić go Litwin, gdy starosta, pochyliwszy się ku niemu, szepnął:

— Przychodź zaraz do mnie, na starościński dwór, wiesz, ułatwimy co potrzeba. Dzięki Bogu, że się to tak złożyło. Trzeba było wprost przyjść do mnie.

To mówiąc Wolski skłonił się księdzu, głową skinął Talwoszowi i konie puściwszy pojechał dalej ze swoim orszakiem.

Stępek tymczasem Talwoszowi szeptał na ucho.

— Ani słowa więcej nikomu, idź do starosty.

— Ale, na Boga! — przerwał Talwosz — tym sposobem się tajemnica wyda, o której nikt wiedzieć nie powinien.

— Starosta jej nie zdradzi, ja go znam — zawołał ks. Stępek. — Mów z nim szczerze, szanuje on królewnę i rodzinę całą, jemu zaufać możesz. Idź, a śpiesz.

Litwin od niedawna przy królewnie będący, chociaż w krótkim czasie energią swą jej zaufanie pozyskał, nie znał zblizka starosty, ale wiedział o nim, że był prawym człowiekiem i że królewna Anna ceniła go wielce; słyszał że z temi co króla otaczali i obdzierali, nie miał żadnych stosunków — posłuchał więc ochotnie rady ks. Stępka i pośpieszył na dwór pana starosty.

Ten stał jeszcze w ganku i dawał ludziom rozkazy, gdy Talwosz się przystawił, chłopca z węzełkiem prowadząc za sobą.

Weszli razem do izby wielkiej, w której Wolski zwykł był gości przyjmować. Zwrócił się starosta żywo, szablę odpasując, do Talwosza.

— Na rany pańskie, tak że już u was źle, że srebra trzeba zastawiać aby dwór nie marł z głodu! — zawołał Wolski.

— Nie mogę zaprzeczyć — odparł Litwin — ale to jest i powinno zostać tajemnicą. Zwierzyłem się z tego ks. wikaremu, chociaż prawa nie miałem, niech pan starosta ma miłosierdzie nad sługą swoim.

— Ja nie zdradzę — żywo począł Wolski — bądź spokojny. Więc tak źle, tak źle jest?

— Źle tak, iż gorzej być chyba nie może — przerwał Talwosz. — Litość bierze patrzeć na królewnę. Z zamku tysiącami czerwonych złotych wywożą, klejnoty zabierają, a z królewną najjaśniejszy pan mówić nie chce, potrzeb jej nie opatruje nikt, ona od rana do nocy płacze i z rozpaczy srebra i klejnoty zastawia.

Stukamy i kołaczemy dopraszając się rozmowy, posłuchania — i tego się nie można doczekać.

Wolski wąsa kręcił namarszczony.

— Zgroza! — zawołał — ale Bóg łaskaw, wszystko się to zmienić musi.

Przeszedł się po izbie dumając i zawrócił do Talwosza.

— Srebra sobie weź nazad — rzekł — ile na nie mogłeś dostać?

— Sam nie wiem — odparł Litwin. — Sreber w żadnym razie zabrać nie mogę, bo by się wydało żem tajemnicę zdradził, a królewnaby mi nie przebaczyła. Idzie jej o cześć królewskiego domu. Nikt wiedzieć nie powinien, że jest do tego przywiedziona.

— Pokaż te srebra — rzekł starosta.

Talwosz otworzył drzwi, skinął na chłopca i kazał mu podać węzełek, który sam na stole rozwiązał.

Wolski niemal ze łzami w oczach po jednemu brał przyniesione puhary i półmiski, zakrył je szybko suknem i odezwał się do Talwosza.

— U żydów wątpię abyście na nie więcej nad parę set złotych dostali; tyleż i ja dam, i niech srebra w skarbcu leżą, jeżeli ich nazad zabrać nie możecie... ależ my wszyscy śmiertelni... napiszesz ty mi kwit, a ja waszmości.

Skłonił się Litwin.

— Panie starosto, na rany Chrystusowe, niech nikt nie wie! — dodał cicho.

— Ja dlatego to czynię, aby nie wiedział nikt — odezwał się Wolski — bo mi nietylko królewnej żal, ale i mnie też cześć krwi jej droga.

To mówiąc Wolski, wyszedł na przeciwek, zabawił krótko, i przyniósł worek z sobą, a Talwoszowi wskazał miejsce u stołu, dla napisania rewersu.

W kilka minut wszystko było gotowe, Talwosz odetchnął; z poszanowaniem pożegnał starostę i wyniósł się pośpiesznie nazad na zamek, rad że mu się szczęśliwie udało spełnić zlecenie...

Chłopaka odprawiwszy przodem, sam z workiem za pazuchą, już był na drugiem podwórzu, niczyjej szczęściem, nie zwróciwszy uwagi na siebie, i miał zaraz opowiedzieć się do królewnej, gdy Zagłobianka zaszła mu drogę.

Zmierzyła go oczyma bystremi, z których mógł wyczytać, że wiedziała z czem chodził, a chciała się dowiedzieć jak powracał.

— Dzięki Bogu — szepnął kłaniając się jej Talwosz — wszystko dobrze mi się powiodło.

To mówiąc, ręką uderzył po worku, który miał za suknią.

Dziewczę nie mówiąc słowa, wzrokiem mu tylko podziękowało.

— Jest kto u królewnej? — zapytał Talwosz.

Dosia ramionami poruszyła.

— Nie ma nikogo — rzekła — wiedzą ludzie, że się tu niczem pożywić nie można, rzadko też kto zajrzy. Idź waćpan...

Wejrzenie dziewczęcia zdawało się Litwinowi płacić za wszystko, tak mu się twarz wyjaśniła. Nie miał nawet czasu namyśleć się, jak skłamie przed królewną, gdy go zapyta, co ze srebrem zrobił, i wbiegł do posłuchalnej izby.

Anny tu nie było, chodziła po drugiej komnacie z Żalińską coś radząc po cichu, a zobaczywszy Talwosza, z uśmiechem pośpieszyła naprzeciw niemu do progu.

— Uwinąłeś się waszmość! — rzekła, mierząc go oczyma, aby wiedzieć, czy przyniósł co z sobą.

Talwosz dobyty worek położył na stole, kłaniając się, i cicho szepnął ile przyniósł.

Zdziwiła się trochę królewna.

— Tak wiele? — spytała, nieco wahając się i badając go oczyma.

— Poszło na wagę — skłamał Talwosz — i tyle wypadło...

— A pewneż są srebra?

— Ja gardłem za nie stoję — odezwał się Litwin.

Królewna Anna, której pilno było bardzo, drżącemi rękami podała Żalińskiej worek, skinieniem dziękując Talwoszowi.

— Bóg niech ci zapłaci — rzekła — bo ja nie wiem, czy kiedy wdzięczność moją waszmości okazać potrafię.

Litwin skłonił się aż do ziemi... Obawiał się, aby go królewna nie rozpytywała więcej, i natychmiast cofnął się do progu, jakby podziękowań unikał.

Teraz dopiero odetchnął swobodniej, gdy do swej izby powróciwszy, usiąść mógł, czoło otrzeć, i podumawszy przyjść do tego przekonania, że się z polecenia szczęśliwie wywiązał.

Nadchodzący Bobola zastał go siedzącego nad stołem, z daleko jaśniejszym czołem, niż wczora...

Tuż prawie za Krakowską bramą, stała ogromna gospoda dla podróżnych, znana dobrze w owych czasach, bo była niemal jedyną w mieście, do której, czasu pobytu dworu, podróżni z daleka, mianowicie Niemcy zajeżdżali.

Wywieszony na drągu z jednej strony znak, wyobrażał bardzo nieforemnie z drzewa wyrzezanego i biało pomalowanego konia z grzywą i ogonem karmazynowym.

Słoty i pył wprawdzie białego konia szarym i pstrym uczyniły, a czerwoną niegdyś grzywę i chwost wyblakowały, ale niemniej zwała się gospoda: „pod białym Koniem". Obok rumaka tego, który w powietrzu dwiema nogami przebierał, na mniejszym drążku była ogromna wiecha, mająca z obowiązku być zieloną, lecz także zżółkła i na pół opadła.

Domostwo wielkich rozmiarów, z szopami, stajniami, chlewami i szpichrzami, opasane parkanem dokoła — na oko nie wyglądało wytwornie, ani nawet czysto, ściany miało szare i pobryzgane, okiennice nie szczelne, dach połatany, ale wiadomo było wszystkim, że lepszej gospody i usłużniejszego gospodarza nad Barwinka, nie było w Warszawie.

Barwinek miał szczególniej przywilej przyjmowania u siebie podróżujących Niemców, z któremi w ich języku macierzystym mógł się rozmówić, czem był dumnym. On sam utrzymywał, że z biedy coś niecoś i łaciny miał w zapasie na nieprzewidziany wypadek.

Oprócz tego gospodarz w osobie swej łączył jeszcze — z powołania — rzeźnika, i mówiono, że zawód swój począł od zabijania, nim się wziął do karmienia. Postać Barwinka, który fartucha i noża z zapasa nigdy we dnie nie zrzucał, odpowiadała w zupełności tradycyom cechu, do którego się liczył. Ogromnego wzrostu, ramion i szyi silnych jak u żubra, twarzy okrągłej i rumianej, połyskujących policzków, Barwinek był niezmordowanym w pełnieniu swych dwoistych obowiązków. Przez cały dzień na nogach, gęby też nie żałując, chodził, biegał, krzyczał, i nie raz pięści względem czeladzi zażywał.

Z gospody swej, choć wiele może zostawiała do życzenia, bardzo był dumnym. Na dole mieściła się olbrzymia izba wspólna dla ogółu podróżnych, która zarazem i kuchnię zastępowała, gdyż w głębi jej na ogromnym kominie, w oczach gości przysposabiały się potrawy, które im Barwinek podawał.

Przy kilku stołach jedzono tu i zapijano od świtu do późnej nocy. Kilka zabrukanych kobiet ledwie usłudze starczyć mogło. Naprzeciw znajdowała się rzeźnia, z okiennicą wywieszoną na ulicę, na której i przy niej mięsiwo świeże wywieszano. Przez szerokie wrota w pośrodku wchodziło się do stajeń i do dalszych izb i komor na tyłach. Wschody stare i wychełtane prowadziły ztąd na strychy i na górę, gdzie izb kilka było dla podróżnych, co lepiej zapłacić mogli i na szczególne względy zasługiwali.

Bywały czasy, iż w gospodzie pod białym koniem panowała cisza, i Barwinek na ławie mógł się zdrzemnąć przy kufelku piwa, ale gdy dwór zawitał do Warszawy, trudno się tu było docisnąć.

Niemcy, którzy z cesarstwa często przybywali, od księżnej Zofii z Brunświku, od książąt pruskich, wszyscy tu się mieścili, a choć kto dostojniejszy na zamku miał kwaterę, konie i poczet pod białym koniem zostawiał.

Z Mazowsza też i innych ziem, kto przybywając do Warszawy, u mieszczanina znajomego, albo w klasztorze nie miał gospody, musiał się wpraszać do Barwinka.

W niemałą też dumę wbijało to gospodarza, iż świat i ludzi znał, a lepiej był oświadomiony ze wszystkiem, co się gdzie działo, od innych.

Nieraz panowie radni, burmistrze i mieszczanie, chcąc się czegoś dowiedzieć, do Barwinka ciągnęli, a o kim on nie dał dobrego świadectwa, temu nie ufano.

Skarżyli się cudzoziemcy szczególniej na niego, iż przy obrachunkach litości nie miał nad niemi i słono sobie płacić kazał, ale Barwinek powiadał, że darmo pracować nie mógł i za te pieniądze spokój swój sprzedawał.

Mało z kim i z jakiejkolwiek narodowości człowiekiem, choćby najopryskliwszym, najbutniejszym, nie dał sobie rady Barwinek. Wiele zimnej krwi w początku, a potem żelaznego uporu, w tem mu posługiwało. Ludzi z aspektu, z przyborów, ze stroju, z miny, a jak powiadał, nawet z ucierania nosa, nauczył się poznawać tak, iż mu nie wiele czasu było potrzeba, aby wiedzieć jak ma postępować z niemi.

Milczący w pierwszych godzinach, gdy swojego podróżnego raz spenetrował, grał na nim jak na znajomym instrumencie. Z każdym niemal postępował inaczej, a mało kogo potem nie wyśmiał...

Nie pochlebiał i nie płaszczył się nikomu, a dumnym kłaniał się nizko, ale im potem za to płacić sobie kazał.

— Kiedyś wielki pan, dobądźże mieszka! — powiadał.

W tej porze, gdy się nasze opowiadanie poczyna, Barwinek, jak rzadko, chodził posępny i nie kontent z siebie. Chłopcy mogli to poznać po własnych plecach, podróżni po usposobieniu milczącem. Dziewki, posługujące w wielkiej izbie, uchodziły na sam widok jego, tak biegał zły i kwaśny i niczem mu dogodzić nie było można.

Przyczyną tego było upokorzenie. Rzadko się kiedy trafiło Barwinkowi, aby kogoś do dwóch dni nie poznał, nie wiedział, jak się z nim obchodzić i z kim miał do czynienia.

Tymczasem już cztery doby mijało od czasu gdy do niego zajechał podróżny, a Barwinek dotąd nawet narodowości jego zbadać nie mógł.

Na oko wydawał mu się Niemcem, służbę miał niemiecką, konie i wóz na sposób niemiecki przybrane. Sam się nosił jak Niemcy, i uzbrojenie miał jak oni, a okazało się, że po polsku rozumiał i mówił nawet polszczyzną trochę zepsutą, w której czuć było, że ją niegdyś dobrze umiał.

Z Barwinkiem wolał mówić po niemiecku, ale gdy gospodarz się łatał polszczyzną, nie miał najmniejszej w zrozumieniu trudności.

Nazwisko też nie mówiło wiele, słudzy zwali go Ritter von Nemetsch; on sam nazwał się gospodarzowi Niemeczkowskim, ale mógł być zarówno Czechem i Polakiem, a Barwinek go nawet za Czecha z początku wziął.

Z pytań, które zadawał gospodarz, wnosił, że niegdyś w Polsce bywał i znał ją dobrze, ale nie dzisiejszego czasu.

Z czem i po co tu przybył, nie mógł też Barwinek odgadnąć ani z niego wyciągnąć. Człowiek był dobrze nie młody, posiwiały, twarzy opalonej i pofałdowanej, marsowego oblicza, rycerskiej postawy i obyczaju. I on, i służba żołniersko wyglądali, a karność między czeladzią była wielka.

Około tego Niemeczkowskiego wyglądało dostatnio wcale i sobie ani ludziom nie skąpił; ale co on tu robił, dlaczego przesiadywał, w tem sęk był dla Barwinka.

Pocieszał się tem tylko, że prędzej czy później dojść tej tajemnicy musi.

Zrana podróżny wychodził zwykle na miasto, a choć go śledził gospodarz, wysuwając się za nim, nie mógł dojść gdzie przez cały dzień przebywał. W rozmowy się nie rad wdawał i za język pociągnąć nie dopuszczał.

Wiedział Barwinek, że i na zamku bywał ów Niemeczkowski, ale u kogo?... dojść nie potrafił.

Najbardziej zagadkową była mowa jego, w której czasami najdoskonalsza brzmiała polszczyzna, to znów słów i wyrażeń brakło nagle, tak że się niemieckimi posługiwać musiał.

Żeby się tak Polak dał przerobić na Niemca, to się Barwinkowi w głowie pomieścić nie mogło. Znał on takich wielu, co w służbie u cesarza, u króla rzymskiego, u księżnej Brunświckiej bywali, ba nawet w Szwecyi przez długie lata z królewną Katarzyną przeżyli, a języka przecie własnego nie zapomnieli i stąpiwszy na rodzinną ziemię, zaraz łatwość mówienia nim odzyskiwali.

Niemeczkowski zaś już dziś lepiej po niemiecku i łatwiej się wyrażał niż po polsku, więc, zdaniem Barwinka, Polakiem być nie mógł.

Piątego dnia pobytu owego zagadkowego podróżnego w gospodzie pod białym koniem, zdziwił się niepomału gospodarz, gdy zrana ujrzał znanego sobie z widzenia rotmistrza Bielińskiego, przychodzącego i zapytującego wprost o Niemeczkowskiego.

Trafił z tym zapytaniem na samego Barwinka, który nizko się pokłoniwszy, skorzystał ze zręczności i spytał.

— My tu mamy tylko Rittera von Nemetsch! miałżeby to być Polak Niemeczkowski?

Bieliński się rozśmiał głośno.

— A juści nie kto inny jest, tylko szlachcic polski, Niemeczkowski.

— No, proszę! — odparł Barwinek — a języka rodzonego tak zapomniał!!

— Ba! — zawołał Bieliński — co za dziw, gdy może przez te lat dwadzieścia i kilka, jak Niemcom i cesarzowi służył, nie wiem czy go raz w rok przy świętej spowiedzi używał!!

Zapisał to sobie Barwinek w pamięci i z tem większą ciekawością przypatrywał się gościowi swemu.

Rotmistrz tego dnia poszedł szukać dawnego znajomego aż do izby na strychu, i tam się między niemi zawiązała następująca rozmowa.

Niemeczkowski z początku mówił ciężko i połamaną polszczyzną, dopiero, gdy się z Bielińskim rozgadał, popłynęła mu coraz łatwiej.

Uścisnęli się w progu.

— Toś mi dopiero gość — rzekł Bieliński. — Gdyśmy cię z oczów stracili, a potem głucho było, jakbyś w wodę wpadł, naprawdę wszyscyśmy cię opłakiwali. Wszak to temu...

— Dwadzieścia siedem lat — przerwał Niemeczkowski. — Młoda królowa Elżbieta naówczas, uproszona przez ś. p. hetmana Tarnowskiego, dała mi listy polecające do cesarza na wojnę francuzką. Chciałem się rzemiosłu rycerskiemu u obcych przypatrzeć i ani mi się śniło tam zagnieździć.

Cesarz Karol V. przyjął mnie jak nie można lepiej i dał w wojsku pomieszczenie. Prawda, że w początkach ciężko było i z mową i z obyczajem się oswoić a do nich nałamać, alem młody był i chciwy uczyć się, a wojsko całe, bodaj nawet te lancknechty ich, tak się od naszego różniło, iż mi się korzystać pragnęło, aby co do domu przywieźć. Więc jąłem się do ich oręża, do sukni, do zbroiczki, i na podziw mi się poszczęściło...

Ludzie też mnie polubili z tego, żem zapamiętały był a dziarski...

Cóż powiecie? Od roku do roku, jakem się z niemi zżył, a w domu z rodziny nikogo nie było, zasiedziałem się aż po te czasy.

Niemeczkowski nagle oczy spuścił, i zawahał się, jakby mu się do czegoś przyznać było nie łatwo.

— Trochę w tem i babska chytrość była winna — dodał — polubiłem w Wiedniu dziewczynę i musiałem się żenić...

Bieliński parsknął.

— Domyślałem się — rzekł — inaczej byś tam nie wytrwał tak długo.

— A! piękna bo była, piękna, krew z mlekiem! wesoła i rozumna — mówił Niemeczkowski — opętała mnie... Panie świeć nad jej duszą, bo już nie żyje. Dopiero po śmierci żony tęskno mi się do kraju zrobiło, choć w nim tak jak nikogo już nie mam.

Pamiętacie rotmistrzu, młodemi byliśmy oba... dwadzieścia siedem lat... król Zygmunt panował jeszcze... królowa Elżbieta żyła... Jak się tu u was w Polsce wszystko zmieniło! Nic nie rozumiem, nikogo nie znam... Naówczas gdym jechał na dwór Karola V., nasz Zygmunt Stary chorzał i rychłą mu śmierć przepowiadano, a teraz, słyszę, August też bez nadziei życia... i... bez potomka!

Szlachcic zniemczały powiódł oczyma po zamyślonym rotmistrzu, jakby chciał odgadnąć co odpowie, i urwał czekając; ale Bielińskiemu smutek nie dał rychło przyjść do słowa.

Milczeli tak dobrą chwilę. Rotmistrz podniósł głowę.

— Słuchajno, Niemeczkowski — rzekł — nie kryj się przedemną. Dwadzieścia siedem lat nie byłeś u nas i nie pilno ci było, teraz nagle ochota przyszła... Przyznaj się otwarcie... wysłano cię na zwiady?

Cesarz ma wielki apetyt na Polskę?

Niemeczkowski rzucił się tak gwałtownie, usłyszawszy to pytanie, jakby w niego piorun uderzył; stanął przerażony niemal.

— W imię ojca i syna! któż to powiedział? — krzyknął.

Bieliński śmiał się.

— Nikt nie mówił, ale ja cię o to posądzam — rzekł. — Kręci się tu różnych ludzi siła i od Szweda, i od cesarza, i od Francuzów, a w Litwie od cara. Cesarz ma dużo swoich u nas... naturalnaby rzecz była, gdyby i z ciebie chciał skorzystać.

Pan Zygmunt — tak było imię Niemeczkowskiemu — nie odpowiadając, wąsa zagryzał; w twarzy widać było jakieś wahanie i obawę.

— Gdzieżby znowu mieli takiego małego jak ja człowieka posyłać — odezwał się — nie na wieleby się im przydało. Alem ja tyle lat cesarzom służył, napatrzył się ich potęgi, że sam z siebie, gdybym mógł, gotówbym im pomagać, po dobrej woli.

Więc jak tu rzeczy stoją, rotmistrzu?

Bieliński śmiejąc się poklepał go po ramieniu.

— No! no — rzekł — więcej wiedzieć ja nie chcę. Co do cesarskich zalotów o naszą koronę, niewiele wiem i znam tych rzeczy. Jest tu możnych panów dosyć, co z cesarzem trzymają; prawda, będą tacy, co go za pieniądze zechcą popierać, ale szlachta się boi. Na Węgrzech i w Czechach Niemcy dobrze swobód i przywilejów ukrócili, a my o swoje dbamy. Gdyby nawet kogo z rodziny wybierać chciano, naprzódby się musiał z naszą królewną ożenić, a powtóre... dobrzeby go obwarowano, aby nam *absolutum dominium* nie wprowadził.

Szlachta nie lubi Niemca...

Niemeczkowski słuchał z zajęciem.

— Ale dla obrony od Turka i Moskala — rzekł — potęga cesarza bardzoby się nam przydała...

— Dotąd myśmy się bez niej obchodzili — odparł Bieliński.

— Któż się więcej do korony swatał? — począł po chwilce Niemeczkowski.

— O Francuzie mówią — rzekł Bieliński — a ten siłę ma bodaj nie mniejszą, jak cesarz, a groźnym nie jest. Pruski książę pokrewny takżeby rad być wybranym. Litwa chciałaby cara, ale się pono rozmyśli... Są tacy, co o małym synku króla szwedzkiego, z naszej królewnej narodzonym, bąkają...

Kto może zgadnąć przyszłość, wszakci król żyje.

— Ale mu życia nie obiecują? — zapytał Niemeczkowski.

— Bardzo źle jest — począł rotmistrz. — Nieszczęśliwy pan przez baby popadł i w chorobę i w taki stan, że mu się życia nie chce.

Dziś lub jutro testament ma pisać kazać i pieczętować.

Bieliński sparł się na ręku i łzę otarł.

— W testamencieby mógł wyrazić życzenie co do następcy? — wtrącił Niemeczkowski.

— Nie wiem czyby się to na co zdało — ciągnął dalej Bieliński — a mniej niż komu cesarzowi, bo z powodu królewnej żal do niego ma. Powtarza to iż umiera bezpotomnym przez niego, gdy mu się wczas rozwieść z żoną nie dano.

Niemeczkowski słuchał pilno, nie odpowiedział nic i rozmowa zdała się wyczerpaną, gdy stanąwszy znowu przed Bielińskim spytał.

— Nie słyszeliście tu co o Gastaldim?

Ruszył ramionami rotmistrz.

— Jakim? tym co się na naszym dworze wychowywał?

— Myślę, że ten właśnie jest, bo ich dwu nie znam — odezwał się pan Zygmunt. — Nie ma go tu?

— Nic nie wiem o nim.

Znowu czas jakiś rozmowa nie szła. Niemeczkowski przysiadł na tarczanie.

— Cale ja tu — odezwał się — inaczej u was znajduję niż się spodziewałem. Mówiono w Wiedniu, że cesarz potężne ma stronnictwo w Polsce i prawie zapewniony wybór. Tu zaś kogo zapytam, komu o tym napomknę, słuchać o nim nie chce.

Myślałem, że się wam na co przydam, bom się zżył z wielu dworskiemi, panami i rycerstwem.

— Ale wszystko to za wczesne — przerwał Bieliński. — Król żyje, Bóg dać może iż się podźwignie.

W ten sposób przerywana rozmowa trwała jeszcze czas jakiś, gdy rotmistrz zapytał Niemeczkowskiego, czy długo myślał tu bawić i jaki był właściwie cel podróży, ażali tu osiąść nie myślał.

— Sam nie wiem — odezwał się Niemeczkowski — rodzinę mam daleką, która mnie nie zna a ja jej też. Chciałem się w kraju rozpatrzeć na wypadek, gdyby cesarz miał tu jaką nadzieję.

— I wybrałeś się w złą godzinę — dodał Bieliński — gdy powietrze już do Warszawy zagląda a po kraju się szerzy. Lada chwilę my z królem ztąd wyruszamy.

— Dokąd?

— Nie wiem, ku Litwie pewnie — mówił Bieliński.

— A królewna? — badał Niemeczkowski.

— Ją także wyprawią, ale pewno nie tam gdzie król będzie — rzekł rotmistrz. — Ci co przy naszym panu są, nie radzi, aby na ich czynności zblizka patrzano.

Mówiąc to wstał stary Bieliński.

— Do licha mi tu u ciebie w tej izbie pod strychem duszno, albo ty ze mną chodź ztąd, lub ja sam na zamek muszę.

— Weźmiecie mnie z sobą? — spytał wahając się gość?

— Dlaczegożby nie — uśmiechnął się Bieliński. — Najlepszy to będzie sposób przekonania cię jak tu na cesarskich patrzą, gdy ciebie ze stroju i z mowy za jednego z nich wezmą.

Zawahał się posłyszawszy to pan Zygmunt.

— Jeżeli tak — odparł — wolę w gospodzie pozostać.

— Ja mam izbę na zamku — dodał Bieliński — pójdziesz do mnie. Przyjechałeś się rozpatrzeć, a w gospodzie tylko czeladź spotkasz, u mnie zawsze się kto znajdzie. Choćby ci co nie w smak było, lepiej ażebyś się nie łudził.

Wyszli tedy na zamek oba.

Stojący w progu Barwinek pozdrowił ich przechodzących i powiódł za niemi oczyma. Od czasu, jak rotmistrza widział na rozmowie poufałej z gościem swoim, znacznie był uspokojony i miał go już za Polaka. Zacnego Bielińskiego znano jako prawego rycerza, który w żadne potajemne konszachty się nie wdawał.

Nie miał też czasu bardzo się zajmować Niemeczkowskim, gdyż od wczoraj inna i jeszcze osobliwsza figura zjawiła się pod białym koniem.

Ta większą była może dla Barwinka zagadką, niż w pierwszych dniach ów domniemany Niemiec.

Nad wieczór wcale piękna zatoczyła się przed gospodę kolebka, czterema gniademi woźnikami w błyszczącej uprzęży ciągniona, ze służbą w barwie, z pachołkami i wozem za nią. Panowie i panie, które naówczas same tylko kolebkami jeździły, do gospody nigdy prawie nie zwracali się. Możniejsi mieli albo własne dwory lub znajomych w mieście.

Wyszedł Barwinek czapki już zawczasu uchylając i spodziewając się zobaczyć wychylającą z powozu kobietę, gdy dwóch pachołków, zbliżywszy się do stopni, wydobyli z wnętrza kolebki coś, jakby małego wyrostka, dziecko... i postawili go na ziemi.

Figurka ta Barwinkowi zaledwie do kolan sięgała, ale nie było to dziecko, gdyż schyliwszy się dostrzegł ze zdumieniem gospodarz maleńkiego, niemłodego człowieczka, karła, ubranego z cudzoziemska, z miną butną, przy mieczyku.

Karły po dworach naówczas nie były osobliwością, miała ich Bona kilkoro, z których dwoje darowała cesarzowi Karolowi; Dosieczkę karlicę zabrała z sobą do Szwecyi Katarzyna, i ta w więzieniu z nią siedziała, Jagnieszkę wzięła księżna Brunświcka, ale karła, któryby sam sobie panem był, kolebką jeździł, sługi miał, barwę i pańsko występował, Barwinek jako żyw nie widział i nigdy o podobnym nie słyszał.

Nie wiedział jak miał się znaleźć, uczcić go, czy sobie równym poczytać. Jeszcze rozmyślał, gdy karzeł coś żywo zaszwargotał do sługi, a ten zbliżył się do Barwinka i oświadczył mu, że pan jego, podkomorzy królewski (jakiego króla nie mówił) dowiadywał się gdzieby wygodną i piękną gospodę mógł znaleźć, za którą jak należy zapłaci.

— Ale — dodał sługa — lada czem pan nasz nie da się zaspokoić, nawykł do królewskich pokojów, trzeba mu czystych i pięknych izb parę.

Barwinek byłby go chętnie u siebie pomieścił, dla zarobku, lecz miejsca nie było; tarł więc głowę i rozmyślał, a tymczasem zobaczywszy tak ustrojonego karła, gromada się ludzi jak na dziwowisko koło niego i u wrót zebrała, co małego pana mocno niecierpliwiło.

Strasznie był żywego temperamentu, począł wołać na sługi, niecierpliwie się kręcąc — i nim Barwinek się namyślił zaprowadzić go w sąsiedztwo do mieszczanina Sówki, który mógł pięknych parę izb odstąpić, karzeł porwał się nazad do swej kolebki i już precz chciał jechać, rozkazując do dworu starosty, choć pora była spóźniona.

Barwinek ledwie miał czas przypaść i zaofiarował się do Sówki zaprowadzić, a że tam szopy i stajni nie było, dwór i konie małego owego podkomorzego, miały pod białego konia powrócić.

Od ludzi później dowiedział się gospodarz, iż karzeł zwał się Krassowskim, że był szlachcicem polskim z Podlasia, możnym człowiekiem, i że przez czas długi na dworze królowej francuzkiej bawił, a niedawno do Polski powrócił.

Tegoż dnia rano widziano go z kolebką jadącego do pana Wolskiego starosty, który nietylko przyjął gościa, ale go od Sówki do siebie na dworzec zabrał z ludźmi i końmi. Około południa potem nadjechał posłaniec ze Szwecyi z listami i ten pod białym koniem stanął, a pod wieczór od księcia Pruskiego dwóch przybyło.

Słowem, nie miał Barwinek spoczynku i wnosił z tego ruchu, jaki się tu objawiał, iż z królem źle być musiało, kiedy się tak dowiadywano pilno ze wszech stron.

Na zamku dzień ten nie zmienił położenia, ci co bliższy mieli przystęp do króla, powiadali, że polepszenia na zdrowiu nie rokowali doktorowie, a na wyjazd nalegali.

Zamęt panował wielki wśród służby usiłującej z chwil ostatnich życia pańskiego korzystać. Wynoszono skrzynki i worki, przyprowadzano żydów i lichwiarzy, włóczyły się kobiety różne, ulubieńcy króla postępowali sobie tak śmiało i zuchwale, jak gdyby bezkarności byli pewni.

Wieść chodziła dnia tego, że król długo z ks. Krasińskim podkanclerzym siedział zamknięty i testament już ułożony, na kilka rąk spisywać kazał. W stajniach wszystko przysposabiano do podróży. Zygmunt August z łóżka prawie nie powstawał.

Dzień wyjazdu jeszcze nie był postanowiony. Krajczy i podczaszy, którzy oba liczyli się do przyjaciół Giżanki, zwłóczyli z podróżą, chcąc się jej tu doczekać, aby jeszcze dla siebie i dla córki swej u króla coś wyłudzić mogła.

Z mnogich ulubienic Zygmunta Augusta, Barbara Giżanka najgłośniejszą była, a w tym roku powiwszy córeczkę, którą za królewskie dziecię miano, korzystała z tego, aby dla siebie obfite wyjednać wyposażenie.

Piękna bardzo, córeczka ta mieszczanina i burmistrza warszawskiego, żyła z matką w klasztorze, gdy ją krajczy i podczaszy napatrzyli i z pomocą żyda Egidego, który im w podobnych sprawach służył, uwiedli dla króla. Podczaszy miał być pierwszym, co się tam wkraść potrafił pod nazwiskiem siostry Opackiej.

Sprowadzona na zamek, w którym na jednym dziedzińcu z królewną Anną mieszkała, boleśnie dała się czuć jej, gdyż z okien królewnej widać było po całych dniach wyglądającą i przyjmującą mnogich gości kochankę, a potem nieraz i kwilenie jej dziecka dochodziło do uszu upokorzonej pani.

Dwór królewnej Anny oburzony i ona sama dziecięcia tego inaczej jak „szczenięciem" nie nazywali.

Łaski u króla wielkie mnogich jej zjednały przyjaciół, na których czele stali krajczy i podczaszy. Pierwszy z nich obdarzył ją zaraz karetą i końmi, któremi po mieście się pyszniła, gdy u królewnej grosza na kuchnię dla dworu nie było. Hieronim Sieniawski kasztelan kamieniecki, Łaski wojewoda mazowiecki, wielu innych skarbiło sobie Giżankę, przez nią u króla wyrabiając przywileje i dary.

Boleśniejszem może jeszcze nad sąsiedztwo Giżanki na zamku, było porwanie z własnego królewnej fraucymeru pięknej Anny Zajączkowskiej, z którą król chciał się żenić. Zażyto fortelu, oszukano królewnę, udając jakoby Zajączkowska za mąż wychodzić miała, i w ten sposób wzięto ją do króla, a potem umieszczono tymczasowo w Witowie, niedaleko Piotrkowa, gdzie po książęcemu ją utrzymywano. Po kilka tysięcy czerwonych złotych posyłał naraz król Zajączkowskiej, a samo jej wystawne łoże cztery tysiące kosztować miało.

Krwawemi łzami srom ten domu swego opłakiwała Anna, a że oburzenia swego powściągnąć nie umiała, że o tem co mówiła donoszono Augustowi i usiłowano ich poróżnić, przyszło do tego, iż się od dawna brat z siostrą nie widywali i król o wszystkich jej potrzebach zdawał się zapominać.

Anna miała wprawdzie przyjaciół i na królewskim dworze, ale mniej śmiałych niż ci, którzy z ostatnich godzin dla siebie starali się korzystać.

Testament, który właśnie dnia tego spisywano, dowiódł najlepiej, że serce Zygmunta Augusta nie odwróciło się od siostry. Wstyd raczej niż gniew był powodem zerwania stosunków. Obawiał się król wymówek słusznych, łez samych, któreby go dotknęły boleśnie.

Nie dawano też pokoju choremu, odosobniano go umyślnie, zajmowano coraz nowemi lekami bab i sprowadzanych czarownic — tak że osłabły, zmęczony nie był panem siebie.

Obożny Karwicki jednym z tych był, którzy najuroczyściej sobie przyrzekli nie dopuścić wyjazdu króla, dopókiby się z siostrą nie widział i nie pojednał.

Gdy tak w jednej zamku połaci około chorego kręci się rój ludzi chciwych, w drugiej około królewnej Anny zbierają się wierni jej i rodzinie, gotowi bronić opuszczonej. Do tych należał, jakeśmy widzieli, i starosta warszawski, który będąc na zamku, a do króla nie mogąc się docisnąć, kazał się do królewnej prowadzić.

Przyjmowała go zawsze mile, gdyż szacowała w nim człowieka, który nikczemnem służalstwem się nie plamił, a u króla łaskę miał zasłużoną pracą, jaką podejmował około mostu na Wiśle, bo Zygmunt August pragnąc to dzieło widzieć dokonanem, powierzył jemu i po nim się go spodziewał.

Ogromny ten most, budowa na swe czasy trudna i kosztowna, już w połowie była ukończoną. Jeździł gdy zdrowszym się czuł król oglądać ją, przypatrywała się królewna, chlubił nią Wolski.

Zobaczywszy go u siebie, Anna, która jak zawsze, tak i tego dnia z zapłakanemi wyszła przeciwko niemu oczami, sądziła iż przybywał dziełem się swym pochlubić.

— Dawno was nie widziałam, panie starosto — odezwała się smutnie — a no wiosna, zima pono nie uszkodziła robót waszych, które pewnie daleko postąpić musiały.

— Nie spoczywamy — odpowiedział starosta wesoło, gdyż zawsze oblicze pogodne zwykł był okazywać — lękam się tylko teraz, aby nam postrach powietrza nie rozpędził ludzi.

Westchnęła królewna. Wolski coś jeszcze o moście powiedziawszy, nagle zmienił przedmiot rozmowy.

— Gościa mam ciekawego u siebie — rzekł — którego bym i waszej miłości rad okazać, ale bez zezwolenia nie śmiałem.

— Któż to taki? — obojętnie zapytała Anna.

— Szlachcic polski, Krassowski, ale długim pobytem we Francyi na dworze królowej matki, której ulubionym był i jest, na poły już Francuz. Zowie się on Krassowski. Pan Bóg go dotknął kalectwem, bo ja tego inaczej nazwać nie mogę, gdyż nie wiem czy nad łokieć ma wzrostu, ale Łokietek ten rozumem, dowcipem, nauką a nawet postacią i twarzą nie jednego olbrzyma przechodzi. Potrzeba go widzieć aby temu uwierzyć.

Tak mu owa karłowatość, co miała być upośledzeniem, stała się narzędziem fortuny. Długie lata na dworze francuzkim przebywając, zebrał sobie i mienia dosyć i wziętość uzyskał. Zatęskniło mu się jednak do Polski i teraz tu przebywa. Najciekawsza to co o dworze francuzkim, królowej matce, królu i jego rodzinie opowiada, posłuchać warto.

— Starosto mój! — westchnęła Anna — dziś u nas tak smutno, iż najpiękniejszą bajeczką o królach zabawić nas trudno!

Wolski nie zraził się tą odprawą.

— A jabym — rzekł — pomimo to pokornie dla niego o posłuchanie upraszał. Gdyby król zdrowszym był, przyjąłby go pewnie, w zastępstwie choć miłość wasza zechcesz mu tę łaskę wyrządzić.

Obojętnie dosyć, nie podnosząc oczów, odezwała się królewna.

— Jeżeli to koniecznie potrzebne, a wam miłem być ma?

Starosta się do kolan pokłonił.

— Chciałbym mu to wyjednać, bo do mnie miał z Krakowa polecające listy — rzekł. — Człowiek zresztą ciekawy, bo jak mały tak w nim rozumu wiele, i warto widzieć tę osobliwość, gdyż się podobna nierychło zjawi.

Karłów myśmy wszyscy znali i widzieli wielu, pospolicie złośliwych i dziecinnych, ten zaś wcale różny i wstydu narodowi polskiemu u Francuzów nie uczynił.

Zapytał starosta kiedyby mógł Krassowskiego z sobą przywieść, a królewna zafrasowała się nieco.

— Kiedy chcecie — rzekła — tylko nie wówczas gdy mi u brata, u króla JMości posłuchanie wyjednają, bo się go dziś, jutro spodziewam.

— Dziś wątpię — rzekł starosta — z ks. podkanclerzym zajęty i wiem że się nieprędko to skończy. Gdybyś więc miłość wasza dozwoliła, nad wieczór bym go tu mógł przywieść.

Królewna nie zdawała się ani ciekawą, ani żądną poznania tego stworzenia tak oryginalnego, które jej starosta zalecał, lecz nie chciała się sprzeciwiać Wolskiemu.

— Dobrze więc — odparła zimno — a mówi on po polsku czy po włosku?

— Zna oba te języki, i francuzki naturalnie, bo do tego przywykł długim we Francyi pobytem.

Wolski krótko tak zabawiwszy odjechał, a królewna Anna zakłopotała się zaraz tem, że karzeł, który do przepychu na dworze paryzkim był nawykły, miał u niej znaleźć takie ubóstwo i prostotę. Kazała Dosi postarać się, aby posłuchalna komnata trochę świetniej wyglądała.

Ale zkądże tu było wziąć do niej sprzętów i przyozdobień?

Zagłobianka z innych izb powynosiła co mogła, postarała się o kwiatki i odświeżyła nieco smutną i ciemną komnatę.

Jak starosta zapowiedział, przed wieczorem zajechał z kolebką pod małe zamkowe podwórze, gdzie kilka osób ze służby się znajdowało i zdumiało się widząc przechodzącego Krassowskiego.

W istocie była to figurka tak osobliwa, że się jej cały Boży świat zdumiewał i wydziwić nie mógł. Karzeł był bardzo wytwornie wedle mody francuzkiej ubrany, a że zręczny był i pełen życia, choć nie młody, obracał się rzeźko, nastawiał bardzo śmiało i butnie — miło było na niego popatrzeć. Począwszy od włosów utrefionych kunsztownie, wszystko, co miał na sobie niezmiernie starannie było dobrane, kosztowne a piękne. Łańcuch, mieczyk, były dla niego robione umyślnie.

Twarzyczka, acz podstarzała i pomarszczona, miała wiele życia, oczy ognia, ruchy wdzięku.

Nawykły do wielkiego dworu, do towarzystwa królów i książąt, obracał się żwawo, śmiało, bynajmniej nie zmięszany i pewien siebie.

Królewna przystroiwszy się trochę staranniej, choć ubierać się niebardzo lubiła, wyszła na spotkanie starosty, który jej Krassowskiego przedstawił.

Karzeł z kapelusikiem w ręku, przybrawszy postawę dworaka, pokłonił się królewnie i nader śmiało wypalił swój komplement po włosku.

Głos jego nie tak piskliwy, jak zwykle karłów bywa, brzmiał przyjemnie i Krassowski w ogóle miłe na Annie uczynił wrażenie.

Spytała go jak długo w kraju nie był. Naówczas karzeł począł opowiadać, jak się przed dwudziestu niemal latami dostał do Francyi przypadkiem, jak dla swej ułomności był przedstawiony na dworze królewskim, polubiono go tam i zniewolono pozostać.

— Chociaż mi tam bardzo dobrze było i cieszyłem się łaskami całej rodziny królewskiej — mówił dalej — nieraz mi za krajem było tęskno i nigdy o nim zapomnieć nie mogłem.

Królowa matka, w której usługach miałem honor zostawać, nie chciała mnie odpuścić, musiałem nawet przyrzec iż powrócę odwiedziwszy moją rodzinę, i tak się tu teraz dostałem.

— W smutną dosyć godzinę — odparła królewna Anna. — Dwór nasz z powodu słabości króla okryty smutkiem, rozerwany, a oto i powietrze nam zwiastują. Prędko waszmość pewnie, przekonawszy się co u nas się dzieje i jak tu życie ciężkie, powrócisz do weselszej Francyi.

Krassowski odparł, że mu tu jednak miło było między swemi i że tyle doświadczył już dobrego, będąc przyjętym łaskawie przez panów Zborowskich i innych znaczniejszych, że nie rad Polskę opuści, a pewno nieprędko. Zatem zręcznie zwrócił rozmowę karzeł na rodzinę królewską we Francji panującą, na jej potęgę, bogactwa, wielkie przymioty, przywiązanie do kościoła i wierność Stolicy apostolskiej.

Opowiadał jak królowa matka miała wiele zgryzot, porówni z synem swym panującym Karolem, usiłując się opierać zamachom Hugonotów, którzy herezyę szczepili i jednolite dotąd a zgodne królestwo rozerwać usiłowali na dwa obozy.

— Coś podobnego i u nas widzę — dodał Krassowski — gdyż i my swych Hugonotów mamy, również możnych jak francuzcy; daj Boże tylko, aby się znaleźli tak czynni obrońcy kościoła, jak królowa matka we Francyi, która pewnie Hugonotom przewagi wziąć nie dopuści.

Ponieważ królewna dosyć ciekawie się przysłuchiwała, rzuciła kilka pytań i zdawała się żywo zajmować opowiadaniem o francuzkim dworze, Krassowski o jego zabawach, grzeczności, wykształceniu, wielkiej wytworności i elegancyi obyczaju szeroko się rozwodzić zaczął.

— Król sam — dodał — mało dotąd się rządami kraju zajmował, więcej zabawom i polowaniu oddając, za to królowa matka bardzo jest czynną. Szczególną ona ma miłość dla drugiego syna swego, młodego książęcia andegaweńskiego Henryka, który jest nieochybnie jednym z najmilszych i najpiękniejszych książąt swojego czasu w Europie.

Jest też ulubieńcem matki, która właśnie szuka dla niego pomieszczenia po za krajem, gdyż się obawia, aby król o niego zazdrosnym nie był, i stronnictwo Karola co przeciwko niemu nie knuło...

Chciano dla niego utworzyć królestwo nowe z ziem poganom podległych, ale trudno, aby to przyszło do skutku.

Jam sobie myślał — dodał śmiało Krassowski — że gdyby kiedy nasze królestwo przez bezdzietność pana osieroconem zostało, nie mogłoby lepszego uczynić wyboru, jak prowadząc na tron Henryka.

Słysząc to, zarumieniła się mocno królewna, a karzeł dodał żywo.

— Książę Andegaweński nie żonaty jest i lepszego dla dziedziczki tronu męża życzyćby, ani marzyć nie można.

Wystąpienie to trochę zuchwałe, nie podobało się królewnie, gdyż udała jakby go nie słyszała lub nie rozumiała, ale karzeł się tem nie zraził bynajmniej.

— Należy mi przebaczyć — rzekł, kłaniając się — iż do obu rodzin królewskich będąc przywiązanym, snuję sobie takie plany, i takąbym rad przyszłość im zapewnić.

Dla Polski nie byłoby sprzymierzeńca potężniejszego a pewniejszego nad Francyę, i bezpieczniejszego daleko niż cesarz Maksymilian, który tu ma swych przyjaciół, ale też boi się go tu wielu, bo tego losu się spodziewają, jaki Czechy i Węgry spotkał.

Królewna Anna zaczęła słuchać z uwagą.

— Widać — rzekła — żeś waszmość korzystał z krótkiego czasu, jaki w Polsce przebyłeś i już rozsłuchałeś się potroszę, co się u nas dzieje.

Smutne to przewidywania są, o których mnie szczególniej nie przystało sądzić.

Krassowski powrócił do rodziny królewskiej Francyi.

— Książę Andegaweński — rzekł — jako bardzo gorliwy katolik, prędkoby u nas sobie serca pozyskał... Osobiście też pełen jest przymiotów, które go czynią miłym. Młody, wesół, dowcipny, lubiący się bawić, umiejący sobie zawsze wynaleźć rozrywkę... z powierzchowności nawet wszystkim się podoba...

To mówiąc, Krassowski z płaszczyka i sukni, zapiętej na piersiach, dobywać coś zaczął.

— Przy rozstaniu królowa JMość, która zawsze tak łaskawą dla mnie była — dodał — najdroższym mnie podarunkiem i pamiątką zaszczyciła... Noszę ją zawsze przy sobie... Są to wizerunki królowej JMci, która dotąd jeszcze majestatem i pięknością góruje nad młodszemi nawet, króla JMci Karola IX. i brata jego, młodego książęcia Andegaweńskiego.

To mówiąc Krassowski, dobył nareszcie w aksamit szkarłatny oprawny rodzaj pugilaresu i przyklękając zręcznie podał go królewnie.

Zawahała się zrazu Anna, czy ma rzucić okiem na te wizerunki, lecz po chwili namysłu wzięła z rąk Krassowskiego pugilares, i przypatrywać się zaczęła z kolei wizerunkom.

Karzeł tymczasem starał się szczególną jej uwagę zwrócić na ostatnią z tych miniatur, wyobrażającą bardzo pochlebnie upiększonego księcia Andegaweńskiego.

Starosta Wolski, który stał blizko, mógł dostrzedz, jak blade lice królewnej zarumieniło się i twarz jej wyraziła pewne pomięszanie...

Krassowski wciąż tymczasem opowiadał: o dostatkach, wspaniałości, o zabawach na dworze, maszkarach, tańcach, turniejach i o wielkiej wytworności, z jaką się tu wszystko odbywało.

— Niczem są przy tem — mówił — słynące z wykwintności i przepychu dwory książąt włoskich, z których żaden dostatkami i potęgą królowi Francyi dorównać nie może.

Z całej Europy, z Włoch też, co jest najprzedniejszych kunsztmistrzów, malarzy, rzeźbiarzy, tu się zbiega na usługi potężnego monarchy. Nie ma życia, jak tam...

Książe Henryk, który od kolebki do niego przywykł, gdziekolwiek się obróci, pewnie z sobą poniesie to, co mu jak powietrze jest potrzebnem... Szczęśliwa pani, która serce jego i rękę pozyskać potrafi.

Naleganie ciągłe na przymioty księcia Henryka, tak jakoś było znaczące, że królewna nie mogła go niezrozumieć, rumieniła się, milczała, ale każde słowo Krassowskiego głęboko się w jej pamięć wrażało.

Czas na tych jego opowiadaniach, dowcipem i wesołością ożywionych, upływał tak prędko, iż ani się spostrzegła królewna, jak wieczór nadszedł.

Starosta dał znak Krassowskiemu, iż czas było pożegnać królewnę.

Karzeł zostawił w jej rękach swój pugilares z wizerunkami i nie upominał się o zwrot jego, a królewna położyła go przy sobie na stoliku; lecz Krassowski nie sięgnął po tę swą własność i już żegnał się, gdy mu ją królewna przypomniała.

— Jeżeli miłość wasza pozwolisz — odezwał się — mogę wizerunki te, dla lepszego ich widzenia zostawić tu, dopóki się je zatrzymać podoba... Może je kto więcej widzieć zechce, a radbym bardzo, aby one sobie tu serca pozyskały... dla drogiej mi dobroczyńców moich rodziny.

Nim Anna miała czas zaprotestować, karzeł się uwinął prędko, pokłonił się i wyszedł z Wolskim, pugilares zostawiwszy na stole.

Zaledwie byli za progiem, gdy królewna drżącą ręką chwyciła książeczkę z miniaturami, i wizerunkowi księcia Henryka chciwie przypatrywać się zaczęła.

Twarz jej mieniła się, drżała; widać było, że jakieś marzenie, nadzieja jakaś nią owładła. Stała zadumana, wpatrzona w te niemal niewieście pieszczone rysy młodego księcia, którym malarz nadał wyraz i wdzięk, a urok młodości, jakiego może w naturze nie miały.

W Henryku nawet najmniej wprawne oko mogło wyczytać szyderstwo i zimną jakąś, okrutną ironię człowieka, który siebie tylko kochać umie; na obrazku wcale inaczej się on stawił: łagodnym, uprzejmym, miłym.

Królewna uczuła się dziwnie pociągniętą ku temu nieznajomemu, który mógł być jej przeznaczonym, jej, co tak długo czekała na kogoś, na tego opatrznościowo dla niej wskazanego męża i pana. Biedne jej serce od tak bardzo dawna pragnęło kochać kogoś, dla kogoś się poświęcić, przywiązać się do jakiejś istoty, któraby jej choć odrobiną miłości za całe serce wypłaciła.

Ileż to razy zazdrościła losu siostrze Katarzynie, dzielącej więzienie Jana, cierpiącej z nim, odpowiadającej tym, co ją rozdzielić chcieli od męża: Bóg nas złączył, wierną mu będę do śmierci.

Temu sercu biednej królewnej przez cały ciąg życia tylko najboleśniejsze zadawano ciosy. Ojciec dla niej był obojętny, matka kochała przedewszystkim Izabellę... brat był zimnym... Poświęciła się dla Katarzyny, której praw swego starszeństwa odstąpiła, nie zdobywszy tem jej serca. Zofii Brunświckiej służyła, korzyła się przed nią, padała przed nią, rzadko otrzymując dowód pamięci i przywiązania.

Wszystkie projekta wydania jej za mąż pełzły z kolei na niczem... została coraz bardziej samą, samą, a teraz brat się jej wyrzekał, znać nie chciał, i śmierć jego mogła lada chwila, bez opieki, bez przyjaciół, rzucić na łup rozterek domowych o wybór pana.

Panowie polscy i litewscy mieli o niej pamiętać, czy nie?? Pomiędzy niemi liczyła przyjaciół niewielu, niechętnych i obojętnych tysiące.

Nadzieja, jakkolwiek słaba, ułudna jakiegoś szczęścia, odżycia, odmłodzenia, poruszyła jej sercem. Henryk się jej podobał, coś zdawało się mówić, że on był tym przeznaczonym!

W błogiem, razem i tęsknem marzeniu, Anna spędziła chwilę długą... Siadła zadumana, a lękając się, aby jej wizerunków nie odebrano, aby się nie wyśmiewano może z zajęcia niemi, schowała je skrzętnie.

Żalińska, która wiecznie i zawsze teraz wymówkami ją karmiła, naganiała, gniewała się, dąsała — i to marzenie pewnie znalazłaby grzesznem... i niewłaściwem.

Z tem marzeniem o Henryku, milcząca... poczęła się wreście modlić, aby natrętne myśli odpędzić.

Talwosz, dla miłości królewnej Anny, a trochę i dla pięknych oczów Dosi Zagłobianki, nabiegawszy się zrana ze srebrem i szczęśliwiej, niż się spodziewał, dostawszy grosza, spoczywał już na laurach dnia tego i wesoło rozmawiał z Bobolą, który posępny siedział na swoim tarczanie, biadając, gdy do drzwi zapukano i w tejże chwili uchylono je; głów-

ka wyrostka, dziewczyny z krótko ostrzyżonemi włosami, ukazała się w nich, oczyma poszukała Talwosza i zawołała.

— Pana Talwosza proszą!

Nie pytając kto i sądząc, że albo Żalińska go potrzebuje, lub królewna wołać każe, porwał Litwin za czapkę i pobiegł.

Dziewczyna poprzedzała go, wyskakując przez korytarz aż do antykamery, w której z założonemi rękami na piersiach, z podniesioną dumnie głową, stała oczekująca na niego Zagłobianka.

Niespodziewane szczęście dla rozkochanego Talwosza.

Dziewczę, które przyprowadziło go tutaj, wskazało palcem Dosię. Talwosz się ukłonił, serce mu biło...

Zadumana Dosia zdawała się namyślać, co mu ma powiedzieć.

— Nie potrzebuję was pytać — rzekła — czyście tak przywiązani do królewnej, jako ja? Choć niedawno jesteście na jej dworze, ale mam was za wiernego sługę naszej pani.

— I możecie za to poręczyć — przerwał Talwosz, rękę kładnąc na piersiach.

Zagłobianka powiodła białą rączką po czole.

— A! — rzekła smutnie — gdyby ona tylu miała przyjaciół, co ma wrogów... Na nią się wszyscy spikają i sprzysięgają. Opuścił ją król i zaniedbał... a drudzy, gdy on oczy zamknie, wszystko będą czynili w interesie jakichś tam przyszłych panów, którym się chcą zaprzedać... a o królewnie, choć się jej to państwo należy i korona, ani pomyślą!!

Westchnęła Dosia i nagle zniżywszy głos, poczęła żywiej.

— Cesarz Maksymilian ma już tu więcej przyjaciół, niż ona... Wszyscy za nim i z nim...

Królewna wie na pewno, że kardynał Commendoni tylko o cesarskich interesach myśli, a o jej los wcale nie dba.

Jak i zkąd my to wiemy, z tego ja nie potrzebuję wam się spowiadać, ale to pewno, że kardynał, który codzień wyjeżdża do lasku Bielańskiego dla świeżego powietrza, dzisiaj się tam ma spotkać z kimś... pono z Litwy. Będą tam jakieś narady.

Spojrzała na Talwosza, nie śmiejąc dokończyć. Litwin się zarumienił.

— Niemiła to rzecz — odezwał się — podsłuchiwać i szpiegować, i jeśli komu, to mnie ona nie przystała... ale gdy idzie o królewnę...

— O ocalenie jej może! — przerwała Dosia gorąco — bo niebezpieczeństwo dosyć czasem znać, aby go uniknąć. Gdybyś waszmość choć o tem się dowiedział, kto tam kardynała oczekuje, z kim i... o czem będzie narada.

Wejrzenie dziewczęcia, które doskonale wiedziało, że niem co zechce, wymoże na Talwoszu, stało się tak nalegającem, iż Litwin gotowym się uczuł na wszystko.

— Już kiedy kardynał — dodała Zagłobianka — takich sposobów używa, iż za miastem w lesie zwołuje schadzki, niemałej wagi sprawa być musi, i osoby do niej wezwane.

— Ja naszych Litwinów wszystkich znam, i Chodkiewiczów i Radziwiłłów, i ile ich tam jest — rzekł Talwosz.

Dosia przerwała mu.

— Ponieważ Commendoni już wprzódy się znosił z Polakami, z wojewodą Firlejem, z Zebrzydowskiemi nawet... a teraz Litwinów sprowadza, oczewista rzecz, że idzie o ważne sprawy, o spadek po królu, którego już uważają jakby dni jego policzone były.

Talwosz zamyślony stał, wąsa mordując i wargi zakąsywając.

— Kardynał, Włoch przebiegły, jak tu żaden — rzekł — dosyć przypomnieć, że króla zmógł, gdy mu o rozwód chodziło; miarkujcież miłość wasza, jeżeli on do lasku jedzie dla skrytości, postawi pewnie straże i zbliżyć się do nich nie będzie podobna.

Dosia rzuciła ramionami.

— Na to waszmość masz rozum i przebiegłość — odezwała się rzeźko. — Zapewne że tak jak stoisz, nie zbliżysz się, ale...

Talwosz się rozśmiał.

— A! prawda — zawołał — juści się za chłopa albo za babę po grzyby idącą mogę przebrać.

— Dosyćby za żebraka — wtrąciła Zagłobianka żywo.

— Nie wiecie o której godzinie ta schadzka w lasku ma się odbyć? — zapytał Talwosz.

— Przed wieczorem, czasu dużo do stracenia nie ma, a choćbyś waszmość się jaką godzinę przechadzał, oczekując, nie tak to sroga męka.

Litwin nic jeszcze stanowczego nie odpowiadał, poczęła się niecierpliwić Zagłobianka.

— Pójdziesz, czy nie? — spytała.

— Muszę — rzekł posłuszny Litwin — ale jak ja to potrafię, co mi rozkazujecie... jeden Bóg wie.

— Ja wam nie rozkazuję — przerwała Dosia — nie dla mnie to uczynicie, ale dla królewnej.

Talwosz wejrzeniem zdawał się jej mówić, że przynajmniej równie dla niej, jak dla Anny, podejmował się bardzo niebezpiecznego i nieprzyjemnego szpiegostwa.

Nie upłynęła godzina potem, gdy odarty żebrak z osmoloną twarzą, w sukmanie dziurawej, w łapciach, o kiju, z zamku się przez ogród spuścił ku Wiśle, odwiązał u brzegu przytwierdzone czółenko małe, siadł do niego niepostrzeżony i potężnie wiosłem robiąc posunął się, obejrzawszy dokoła, z biegiem rzeki ku Bielanom.

Trudno w nim było poznać młodego i przystojnego chłopaka, który się stroić lubił i dbał o to, ażeby nie gorzej od innych wyglądał. Ale czegoż miłość nie zrobi i poczciwe serce.

Talwosz wiele dla Dosi czynił, to pewna, niemniej jednak pragnął usłużyć królewnie, którą dwór jej i ci, co ją teraz w położeniu tem sierocem widzieli, kochali mocniej niż kiedy, dlatego, że ją prześladowano.

Talwosz nie darmo nad brzegami Niemna się wychował, z maleńką łódką umiał sobie doskonale radzić, kierował nią zręcznie i bardzo krótkiego potrzebował czasu, aby się dostać do lasku, który zarosłym brzegiem schodził aż do rzeki.

Ukrywszy łódkę w trzcinach i sitowiu, wyskoczył z niej, i przygarbiony, o kiju, rozglądając się pomiędzy sosnami, począł wspinać się na górę, usiłując odgadnąć, gdzie kardynał i tajemniczy owi Litwini zejść się mieli. Znał on trochę lasek ów, bo do niego na przechadzki z miasta chadzano.

Nie spostrzegł w nim zrazu nikogo, pusto było... Dopiero dalej nieco idąc, na maleńkiej polance, konie, które masztalerz wodził, widzieć się dały. Z siodeł i przykryć, choć skromnych, poznał, że nie lada kto z tych wierzchowców zsiąść musiał.

Ale oprócz pachołka, przy koniach nikogo nie było. Ostrożnie od drzewa do drzewa przesuwając się tak, aby go pnie i zarośla zasłaniały, wdarł się Talwosz aż w głąb lasu, ciągle na wszystkie strony oczyma rzucając i nastawiając ucha.

Długo nic słychać nie było.

Dalej idąc, zdało mu się, że cichą posłyszał rozmowę... Szedł więc w tę stronę, z której ona go dochodziła. Wkrótce mignęły mu dwie postacie. Pełznąc prawie po ziemi Litwin, teraz usiłował się jak najbardziej ku nim przybliżyć.

Kilkanaście kroków zrobiwszy, mógł już twarzy dostrzedz... i zdziwił się nadzwyczajnie, gdy mu się zdało, że w nich poznał Jana Chodkiewicza i Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła.

Nie osobom się zdumiał, ale temu, że one się zbliżyć do siebie i spokojnie z sobą mogły rozmawiać. Wiadomo mu bowiem było, że Chodkiewicze naówczas z Radziwiłłami o lepszą idąc, kto na Litwie zawładnie, na noże byli z sobą.

Nikt nie słyszał i nie przypuszczał pojednania. Cudem się to wydało Talwoszowi, gdy ich postrzegł spokojnie stojących obok siebie i zamieniających z sobą co chwila po słów kilka.

Serdeczności wielkiej widać po nich nie było. Chodkiewicz stał, w bok się wziąwszy, z tą dumą ogromną, która go nigdy nie opuszczała, nawet obok tronu. Radziwiłł nieco opodal, z twarzą obojętną, z udanym może chłodem, spoglądał na niego bacznie — nie dając sobie imponować tym wyrazem buty.

Radziwiłł był jakby ten, który już swojego stanowiska zdobytego czuł się pewnym. Chodkiewicz zdawał się dopiero chcieć je zdobyć i zapewnić sobie.

Mówili mało.

Talwosz idąc w kierunku ich oczów, bo oba w jedną stronę wzrok zwracali, domyślił się, że ztamtąd pewnie kardynała oczekiwać musieli.

Upłynęła dobra chwila. Talwosz począł się pilno rozglądać, chcąc domyśleć, gdzie rozmowa miejsce mieć może, aby się zbliżyć ku niemu i choćby na ziemi w krzakach przylęgnąć.

W lesie dosyć zarosłym podówczas, pełnym gałęzi połamanych, suszy i łomu, przechadzać się nie było podobna, aniby wypadało szukać w nim kątów jakichś; należało przypuszczać, że kardynał nadjedzie drogą z Warszawy, i że na tym gościńcu z oczekującemi na niego zatrzyma się dla rozmowy.

Zdala słychać już było turkot powozu, i Litwin podniósł głowę, usiłując go dostrzedz, lecz wkrótce umilkło wszystko. Radziwiłł i Chodkiewicz spojrzawszy na siebie, posunęli się kilkanaście kroków naprzód, jakby na spotkanie, a z za drzew w głębi wystąpiły dwie postacie idące pieszo.

Talwosz nie jeden raz widywał kardynała, ale zawsze w jego szatach urzędowych, w szkarłatach. Teraz miał on na sobie tylko ciemne fiolety na spodzie, a wierzchem suknię długą i płaszczyk czarny. Na głowie takiż kapelusz z szerokiemi skrzydłami.

Tuż za nim, tak samo ubrany, szedł drugi duchowny tylko — nikogo więcej. Służba i powóz zostały zapewne gdzieś u skraju lasu.

Kardynał szedł coraz żywiej, oglądając się pilno dokoła. Była to taż sama, znana Talwoszowi twarz Włocha, w której niezmierną przebiegłość, niesłychaną zręczność, okrywał wyraz takiej łagodności i dobroci, takiej słodyczy i naiwności prawie dziecięcej, iż nikt się go obawiać, nikt o chytrość posądzić go nie mógł.

A był to swojego czasu najzręczniejszy z negocjatorów, najrozumniejszy z dyplomatów, mąż niepościgniony umiejętności pozyskiwania ludzi, przekonywania ich, zdobywania.

Dość jest na dowód przytoczyć, że potrafił ludzi już od Kościoła odpadłych, straconych dla niego, skłonić do wyboru zgodnego z katolikami, że umiał sprządz zawziętych wrogów, jakiemi byli: marszałek Firlej i wojewoda Zebrzydowski, Radziwiłł i Chodkiewicz.

Gorliwy katolik, gdy tego interes Kościoła wymagał, umiał Commendoni, sprawę religii wrzekomo odłożyć na stronę, nie tykać ją, uczynić podrzędną; wyrzekał się propagandy, nawracania, zamykał oczy na żądania wbrew jego przekonaniom przeciwne.

Zyskiwał sobie naprzód słodyczą i łagodnością ludzi, potem dopiero do sumienia ich kołatać probował. Na przemiany tolerujący i nieubłagany, od nikogo nie stronił, nikim nie gardził — i dokazywał też cudów, o ile mogły być dokonane.

Przeszkodzenie rozwodowi króla, utrzymanie go wiernym Kościołowi, gdy o niewiele szło, by od Rzymu odpadła Polska i sprzeniewierzyła się jemu — już za prawdziwy cud zręczności i taktu Commendoniego uważać można.

Chodkiewicz i Radziwiłł powitali go z wielkiemi oznakami uszanowania. Commendoni szedł ku nim z twarzą rozpromienioną, uśmiechający się, słodki, z wyrazem ojcowskiej dla obu czułości.

Nie było więcej nikogo, nad ich czterech tylko. Jakim sposobem Talwosz zdołał podpełznąć ku nim niepostrzeżony, on samby może tego zuchwalstwa, które mu się szczęśliwie powiodło, wytłómaczyć nie umiał. Na wypadek, gdyby go towarzysz kardynała, który pilno się rozglądał dokoła, był postrzegł — miał gotowe tłómaczenie: chciał udać uśpionego w zaroślach.

Szczęściem nie domyślano się nawet, aby w lesie pustym zupełnie, mogła się żywa dusza znajdować.

— Cieszy mnie niewymownie — począł po przywitaniu Commendoni — iż uprzedzając wypadki, naradzić się możemy, zapobiegając klęskom, jakieby na to piękne państwo, będące przedmurzem chrześciaństwa, spaść mogły, gdyby je zdać przyszło na niepewne losy chwili rozstrojenia w umysłach i trwogi.

Król żyć nie będzie.

Związmy się uroczystą przysięgą, iż to, co tu między sobą ułożymy, pozostanie tajemnicą.

Chodkiewicz i Radziwiłł zamruczeli coś niewyraźnie, skłaniając głowy, kardynał rękę na piersiach położył, i mówił dalej.

— W tej chwili, stanowiącej o przyszłości, od Litwy zależy los państwa całego. Nie ulega wątpliwości, iż Polacy muszą wybrać tego królem, kogo wy obierzecie wielkim księciem. Tak zawsze bywało, tak będzie i teraz.

— Unia jest wprawdzie zawartą — odparł posępnie Chodkiewicz — ale Litwa nie jest nią zaspokojoną. Oderwano nam należne ziemie... W przymierzu z Polską chcemy trwać, ale jej podlegać i przez nią pochłonięci być nie powinniśmy.

— Jeżeliście odrębność waszą potrafili dotąd ocalić — przerwał kardynał — tembardziej ją ugruntujecie na przyszłość, jeżeli mnie posłuchacie. Zaręczy ją wam jeden z synów cesarskich, jeśli go wybierzecie.

Ani Chodkiewicz, ani Radziwiłł nie zaprotestowali przeciwko temu, spojrzeli po sobie tylko, badając się wzajemnie i milczeli.

— Aby poprzeć elekcyę tę, siłę też zbrojną przygotować trzeba i nie zawadziłoby mieć ze dwadzieścia tysięcy jezdnych.

— To się zbierze łatwo! — zamruczał Radziwiłł.

— Ernest lub inny z synów cesarskich — dodał kardynał — może pozostałą zaślubić królewnę, aby swe prawa umocnił tym związkiem.

Chodkiewicz się namarszczył.

— Królewna żadnych praw już nie ma — odparł butnie. — Wszakże się dziedzictwa swego nad nami zrzekł król, gdy Unię czynił, zatem i spadku po sobie nikomu nie może przekazać. Swobodni jesteśmy pana sobie wybrać jako chcemy.

Kardynał spojrzał na niego.

— Sądzę — rzekł łagodnie — iż przywiązanie do dawnych panów, jeżeli nie u wszystkich, znajdzie się jeszcze u wielu na Litwie. Uczucie to uszanowaćby należało i nie wyłączać go z rachuby.

Radziwiłł zasępiony nie ujął się za prawa królewnej, myśl jego zdawała się gdzieindziej wędrować.

— Cesarz — odezwał się — pewnie dla nas najlepszym panem będzie i obrońcą, ale w Polsce ma on wielu nieprzyjaciół.

Commendoni uśmiechnął się.

— Ci się nawrócą — rzekł — nie obawiajcie się. Korzyści z wyboru członka cesarskiego domu są tak wielkie dla kraju, dla Kościoła, dla całego świata, że je w końcu wszyscy uznać muszą.

— A jeśli Polacy się oprą temu wyborowi — przerwał Chodkiewicz — tem lepiej, zerwiemy Unią. Nie przyniosła ona nam korzyści żadnych a straciliśmy na niej wiele.

— Nie mówcie tego, niech Bóg uchowa — począł łagodnie Commendoni. — Osłabłyby oba państwa, a że, jak mówicie sami, sporne są granice i posiadanie ziem niektórych, cóż gdyby do wojny pomiędzy nimi przyjść miało.

Korzystaliby z tego nieprzyjaciele Krzyża św., Turcy i czyhający na posiadłości wasze carowie moskiewscy. Litwa, choćby coś poświęciła nawet dla Unii, nie tyle waży utrzymując ją, ileby mogła stracić zrywając.

Chodkiewicz nie nalegał, ale się nie zdawał być przekonanym, zamruczał tylko:

— Cesarz nam nasze odrębności, jakieśmy ocalili dotąd, poręczyć musi.

— I poręczy! i utrzyma! — zawołał kardynał. — Właśnie dlatego wy pierwsi go wybierzcie, wam winien będzie tron i sprawom waszym da pierwszeństwo.

— Musi nam przywrócić oderwane ziemie — dodał uparty Chodkiewicz.

— To sobie przy wyborze zawarujecie — wtrącił Commendoni.

— A starostwa i urzędy — ciągnął dalej Litwin — tylko urodzonym Litwinom rozdawać ma.

— Mogę was zapewnić, iż wszystkie te warunki przyjęte zostaną — począł prędko Commendoni, chwytając za rękę Chodkiewicza. — My tu nie o nich mówić mamy, ale się zgodzić na wybór potrzebujemy.

Macież co do zarzucenia przeciwko niemu — dodał zwracając się do Radziwiłła.

Milcząc głowę skłonił tylko powołany. Chodkiewicz nieuspokojony nalegał znowu na odrębność Litwy i wyswobodzenie się od Unii, na zwrot ziem i powiatów oderwanych.

Commendoni zwrócił rozmowę na więcej osobiste stosunki, zaręczając za cesarza, iż tym, którzy mu drogę pierwsi do tronu utorują, potrafi zawdzięczyć ich miłość i zaufanie i że najwyższe czekają ich dostojeństwa.

Ani Chodkiewicz, ani Radziwiłł nie zdawali się do tego przywiązywać wagi, a przynajmniej okazać jeden wobec drugiego, iż mogli osobiste widoki mieć na myśli.

— Litwa więc niech przoduje — dodał kardynał. — W Polsce mogą być zdania i głosy rozbite, wy za sobą rozprzężonych pociągniecie.

— Ernest, syn cesarski, jeżeli na niego padnie wybór — odezwał się nareszcie Radziwiłł — powinien być pogotowiu osobą swą, abyśmy go podnieśli na księztwo i ukoronowali.

Zawczasu zbliżyć się musi ku granicom.

— Sądzę i ja, że nic nie zagraża mu, gdy się narodowi litewskiemu powierzy — dodał kardynał — ani wahać się może.

Chodkiewicz potwierdził to. Nie było już sporu. Ani kardynał, ani żaden z przybyłych nie wspomniał o królewnie Annie, tak jak gdyby wcale praw jej nie uznawali.

— Mam więc słowo wasze i mogę na nie rachować? — spytał wpatrując się po kolei w obu Commendoni.

Radziwiłł spojrzał na Chodkiewicza, który już nie stawił oporu.

— Uczynimy co w mocy naszej — rzekł Radziwiłł.

— A w mocy was dwu, miłościwi panowie — ciągnął dalej Commendoni — jest wszystko. Jeżeli zechcecie w tej sprawie być zgodni, kraj pójdzie za wami, oprzeć się nikt nie może.

Dawnych sporów i nieporozumień zapomnieć należy.

Zapanowało milczenie.

— Nalegam na pośpiech — odezwał się raz jeszcze kardynał. — Potrzeba ażeby Litwa Polskę wyprzedziła i dała jej dobry przykład, od tego wszystko zależy. Pierwsza ona, okrzyknąwszy Ernesta, pozyska większe prawa do jego serca i wdzięczności. Młody jest i przez matkę świątobliwą wychowany, więc Kościołowi będzie podporą i wam opieką przeciw tym, coby rozdwoić chcieli pod pozorem wiary, gdy ona najlepszą i jedyną trwałą jest spójnią narodu.

— Cesarz zapewne kogoś nam przyszle od siebie — wtrącił Chodkiewicz — abyśmy się porozumieć lepiej mogli.

— Tak sądzę i skłonię go do tego — odparł Commendoni.

Bogu więc niech będą dzięki, jeżeli król ocalonym być nie może, a zgon jego was osieroci, nie zostaniecie nieprzygotowani.

I z kolei Radziwiłła naprzód, potem Chodkiewicza ucałował obejmując kardynał, obiecując im błogosławieństwo i modlitwy Ojca świętego.

— Ufam — rzekł — znanej mi wierności domu cesarskiego dla Stolicy apostolskiej; jednakże, jeśli nie dla dnia dzisiejszego, to dla przyszłości radziłbym wam, abyście od króla przyszłego wymogli przywrócenie tego wydartego kapitułom, a słusznie im należnego prawa, iżby z pomiędzy siebie biskupów wybierały.

Monarchowie najświątobliwsi rządzą się, mianując ich od siebie, więcej tem co im dogodne, niż co interesom Kościoła odpowiada. Bezpieczniej zawsze, gdy Kościół od państwa niezawisłym pozostanie, bo może po stronie praw narodu, w razie gdyby zagrożone były, zająć przeważne stanowisko.

Mówiąc to Commendoni, spojrzał na obu z kolei. Radziwiłł się zgadzał i przyzwalał, Chodkiewicz pozostał obojętnym. Jedna tylko niezawisłość Litwy i odrębność jej od Polski najmocniej go obchodziła.

Talwosz usłyszał raz tylko wymienione imię królewnej, lecz w tej chwili kardynał razem z przeprowadzającemi go ku powozowi swemu zwolna iść zaczął, a las w tem miejscu przerzedzony nie dozwalał pełznąć dalej niepostrzeżonemu.

Musiał więc pozostać w krzakach i widział tylko jak się na pół drogi pożegnali z kardynałem Litwini i jak on prędkim krokiem napowrót do karety swej podążał. Chodkiewicz i Radziwiłł, mało co mówiąc do siebie, zwolna iść do swych koni poczęli.

Chociaż rozmowę nie całą może podchwycił Litwin i nie mógł zapamiętać jej szczegółów, smutnie go to w niej uderzyło, iż Chodkiewicz wszelkich praw królewnie zaprzeczał, a Radziwiłł się też nie ujmował za nią.

Kardynał zaś o warunku zaślubienia jej przez przyszłego króla nie wspomniał prawie potem i nie nalegał wcale.

Niepłonne więc były obawy, iż się tu coś knuło, co biednej Annie zagrażało.

Niedługo czekając teraz na odejście Chodkiewicza i Radziwiłła, Talwosz, który się już nie lękał być postrzeżonym jako żebrak, wstał z ziemi i napowrót poszedł ku łódce, którą

zostawił u brzegu. Powiodło mu się szczęśliwie, ale to, co posłyszał, wcale pocieszającym nie było.

Utkwiło w nim boleśnie, co z taką mocą przekonania wygłosił Chodkiewicz, iż królewna wcale żadnych praw nie ma i do żadnego spadku przypuszczoną nie będzie.

Zdało mu się to zuchwałem, niemożliwem, chociaż Chodkiewicz pewnie mówił to nie z siebie, ale wiedząc o usposobieniu części znacznej kraju. Nie potakiwał mu Radziwiłł, lecz się też nie sprzeciwił i za królewną nie ujął.

Zaczynało zmierzchać, gdy zsunąwszy się z brzegu, Talwosz dopadł łódki swej szczęśliwie, znalazł ją na miejscu i siadł, aby nią powrócić do zamku. Ciężej mu teraz przychodziło, przeciwko dość silnemu prądowi rzeki wiosłować i dla pośpiechu trzymać się musiał brzegów, a wiosła do popychania używać. Dobrze się tem umęczył i kawał czasu upłynęło, nim wreście dzwony na pacierze wieczorne odzywające się posłyszał i przybił w miejscu, zkąd niepostrzeżony mógł się dostać do zamku.

Bobola, towarzysz jego, właśnie był z miasta powrócił i próbował ogień rozpalić dla odświeżenia powietrza, gdy Talwosz w tych łachmanach, w których się ztąd wykradł, wpadł do izby.

— A toż co się z tobą stało! — krzyknął zdziwiony koniuszy.

— Ani pytaj, ani mów o tem — odparł Talwosz. — Masz wiedzieć, żem się musiał przebrać, ale po co i na co, tego ci powiedzieć nie mogę.

Bobola poruszył głową.

— Doigrasz ty się — rzekł krótko.

W jednej chwili Litwin żwawo łachmanów się pozbył, twarz i ręce obmył, suknię codzienną wdział i biegł, bo mu pilno było zdać sprawę z wycieczki przed Dosią.

Ta oczekiwała na niego, niespokojna chodząc po podwórku. Zobaczywszy go, choć zawsze starała mu się obojętną pokazać, tym razem pośpieszyła na spotkanie.

Talwosz w krótkich i prostych słowach wszystko jej opowiedział.

Rozumne dziewczę słuchało chciwie.

— Nie ma co z tem do królewnej śpieszyć — rzekła — dobrze wiedzieć co kardynał knuje, chociaż to rzecz nie nowa. Na teraz i rady nie ma. Pan Bóg wam za poczciwe serce zapłaci — dodała. — Nowina za nowinę... ja też powiem wam, że oboźny Karwicki wymógł nareście na królu dziś, iż jutro siostrę przyjmie. Królewna i rada temu, i płacze. Pojutrze, jeżeli się królowi nie pogorszy, wywieźć go ztąd mają, może jutro nawet.

— A my? — zapytał Talwosz.

— Zdaje się, że pozostaniemy na zamku, nikt o nas nie myśli, królewna się powietrza nie obawia, a choć ono w pobliżu już jest, w mieście go nie ma dotąd. Łacniej nam tu i żyć i ludzi znaleźć i radę sobie dać, choćbyśmy tylko starostę Wolskiego mieli.

Za królem jechać nam nie dadzą, bo teraz więcej niż kiedy nie chcą dopuścić, aby kto wglądał jak umierającego odzierać będą.

Talwosz słuchał nie przerywając, a korzystał z tej chwili, aby oczyma jeść piękną Dosię, która zwykle nawet mu na siebie patrzeć nie bardzo pozwalała.

Westchnął boleśnie.

— Królewnę Wolski dziś trochę rozerwał — dodała Zagłobianka — bo jej przywiózł karła, szlachcica polskiego, który długi czas przebył na francuzkim dworze i o nim wiele opowiadał.

Zajął tem naszą panią. Bogu dzięki, i dawnom jej nie widziała tak ożywioną, tak zaciekawioną i zajętą, jak dziś powieścią karła tego.

Żalińska i to jej ma za złe, a nieustannie ją fuka i gderze...

Nie dokończyła.

— Gdyby tak mnie spytano — zamruczał Talwosz — jabym dawno tę jędzę i sekutnicę wyprawił stąd na cztery wiatry.

— Tsyt! — odparła oglądając się Zagłobianka — królewna ją znosi i kocha nawet, choć ona srodze jej dokucza. Musimy i my znosić.

— Ale ona wszystkim już kością w gardle.

Uśmiechnęło się dziewczę i głową skinąwszy Talwoszowi, natychmiast do królewnej powróciło.

Litwin siadł na ławce przy drzwiach i rozważał co czynić.

Czy o królewnie myślał, czy o Dosi, trudno było poznać — brwi mu się ściągały, ręce wyprężały i opadały, dumał tak, nawet o wieczerzy zapomniawszy, gdy wyrostek od pana Konieckiego, ochmistrza królewnej a raczej miejsce jego zastępującego, bo Anna dawno go już nie miała, przybiegł przypomnieć, że misy na stole były, a z jedzeniem nie czekano na nikogo. Talwosz powlókł się za nim.

Krajczy i podczaszy napróżno zabiegając, aby królewnej do brata nie przypuścić, gdy się to niemożliwym okazało, ściągnęli spotkanie się rodzeństwa do ostatniego dnia przed wyjazdem Augusta z Warszawy i postarali się o to, aby jak najkrócej trwało.

Gdy oboźny Karwicki przypomniał ten obowiązek królowi i nastał na przyjęcie Anny, król naznaczył dzień, zgodził się bez trudności i nie okazał już najmniejszego żalu i niechęci. Czuł w tych ostatnich życia swego godzinach, że wina nieporozumienia nie ciężyła na królewnie, ale na nim samym.

Spowodowało je słuszne oburzenie Anny, gdy podstępem z jej dworu wykradziono Hannę Zajączkowską dla Augusta. Krajczy i podczaszy starali się gniew siostry odmalować w takich barwach, że króla do najwyższego rozjątrzyli stopnia. Zapobiegali potem, korzystając z tego, aby pojednania nie dopuścić, nosili plotki, oczerniali Annę, i gdyby nie starania Karwickiego i Żalińskich, możeby do zgody nigdy nie przyszło.

Zapowiedziane przybycie królewnej, której ochmistrz jej tymczasowy Koniecki miał towarzyszyć i Żalińska, wygnało obu oblubieńców królewskich, nieśmiejących się na oczy pokazać Annie. Musieli się skryć, równie jak czynniejsi ich pomocnicy.

Godzina ranna była na to posłuchanie naznaczona; zapowiedziano zawczasu, że króla chorego długo nie mogła siostra zatrzymywać i żadnemi go skargami i żalami trapić. Doktór Fogelweder sam jeden miał być świadkiem spotkania, bo Karwicki chciał u drzwi pozostać, których niepoczciwy, rozpustny łotrzyk Kniaźnik pilnował.

Z łoża wstać król ani mógł, ani myślał; okryto go jedwabnym płaszczykiem i pozostał leżący z nogami przykrytemi.

Zaprawdę była to dla obojga uroczysta godzina; wiedziała królewna Anna, że brata pewnie już nie ujrzy żywym, że go miała pożegnać na wieki. I on też żyć się nie spodziewał, a czuł się względem siostry winnym. Jedno to, że był sam wielce nieszczęśliwym, powinno mu było wyjednać przebaczenie.

Od czasu jak się z Anną nie widzieli, zmiana w twarzy Augusta była niezmiernie wielka, straszna i znacząca. Wychudzenie, żółtość, wzrok zaostrzony chwilami i nagle ospały i znużony, mowa niezrozumiała, głos stłumiony, oddech głośny i ciężki, czyniły go na wejrzenie przerażająco znędzniałym i jakby dogorywającym.

Chwilami opanowywała go jakby gorączka i rozdrażnienie, częściej jednak wpadał w rodzaj ospałej apatyi, w odrętwienie zobojętnienia na wszystko.

Gdy godzina, w której królewna nadejść miała, zbliżyła się, łatwo ją poznać mógł król, bo ci, co zwykle łoża jego nie odstępowali, znikli nagle, pozostał Fogelweder; w komnacie było pusto, w pokojach sąsiednich cicho.

Szelest szat i chód powolny zwróciły wejrzenie chorego na drzwi, podźwignął się trochę niespokojny.

Szepty dały się słyszeć w progu, drzwi otwarto powoli, Karwicki wpuszczał czarno ubraną, chwiejącym postępującą krokiem, zmięszaną, bladą królewnę Annę. Za nią szła Żalińska, która się zatrzymała u progu.

Wzruszenie przybyłej było tak wielkie, iż łzami wybuchnąć musiało, ale cichemi; przycisnęła do ust chusteczkę, skłoniła głowę i nieśmiało, nie mówiąc słowa, pokornie podstąpiła do królewskiego łoża.

Widok brata, na którego licu już śmierć wycisnęła swe piętno, rozbroił zażaloną i zbolałą.

Czemże były jej osobiste cierpienia wobec tego umierającego a zrozpaczonego ostatniego z rodu, który schodził sam, bez rodziny, wyniszczony rozpaczą, znękany życiem, bez żadnej, bez najmniejszej pociechy.

August dobył z pod przykrycia bladą rękę drżącą i wyciągnął ku siostrze, która chwyciła ją i pocałowała z uczuciem.

Dopiero teraz wejrzenia ich się spotkały. Król spoglądał na siostrę bez gniewu, łagodnie spokojnie, jak gdyby wszystko przeszłe w niepamięć poszło. Szeptał, lecz nic słyszeć nie mogła.

Anna chciała coś powiedzieć, ale słów jej zabrakło, tchu nie miała. Po przestanku dopiero, widząc go tak cierpiącym, a w nim razem króla, ojca i brata, głowę rodziny czcząc, odezwała się pokornie.

— Jeżelim w czem pobłądziła, a była przyczyną W. K. Mości żalu jakiegoś, raczcie mi to przebaczyć. Złej woli nie miałam, i źli ludzie chyba przypisać mi ją mogli.

Król obawiając się zapewne, aby rozmowa dłuższą w tym przedmiocie do wzajemnych wyrzutów nie była powodem, przerwał żywo.

— Wzajem sobie przebaczyć należy. Przekonasz się z testamentu, który ci oddaję, żem o tobie pamiętał i nie dozwolił, aby cię rodzeństwo pokrzywdziło. Zdrowa mi bywaj...

Głos słabnął, rękę wyciągnął znowu — rozpłakała się Anna.

Wtem August znak dał Fogelwederowi, który się domyślił o co chodziło, i podał leżący na stole testament dla oddania go królewnie.

Jakby spełniwszy ten obowiązek, pilno mu było rozstać się z Anną, raz jeszcze pożegnał ją król, ucałowała rękę jego i zachodząc się z płaczu, z zakrytemi oczyma, wyszła podtrzymywana przez Żalińską, która zaraz, za próg wyszedłszy, strofować po swojemu i fukać zaczęła.

Ale biedna królewna nie słyszała nic i nie wiedziała co się z nią dzieje.

Wyjazd królewski zapowiedziany był na dzień następny; tymczasem, po pożegnaniu, przestraszeni panowie krajczy i podczaszy lękając się zbliżenia większego i wnosząc, że serce brata dla siostry obudziło się, natychmiast po oddaleniu się Anny, wbiegli dowodząc, że i z dnia pogodnego i z polepszenia małego na zdrowiu króla należało korzystać. Mieli za sobą doktora Ruppertta i całą swą służalców gromadę.

Ani oboźny Karwicki, ani się nikt im nie mógł oprzeć, król słuchał ich, powodując się biernie, nie sprzeciwiając się w niczem.

Umyślnie już od dni kilku przygotowany wóz ogromny zatoczono pod same drzwi zamkowe.

Gawiedź mogła się zbiedz oglądać wcale niezwykłą i niewidzianą kolebkę, która dla króla zbudowaną została. Rozmiary jej, olbrzymie koła, grube osie, nakrycie na słupkach zawieszone, opona szkarłatna, stopnie dla pacholąt, które stojąc na nich, króla strzedz i na zawołanie mu być miały, ośmiokonny cug koni grubych i silnych, przygotowanych do ciągnienia tej arki, wszystko to w istocie tłum ciekawych sprowadziło.

Ponieważ krajczy i podczaszy władali tu wszystkiem, na znak przez nich dany, czarodziejsko zaraz napełniły się podwórca ludem konnym, służbą, czeladzią, wozami.

Pilno im było wywieźć Zygmunta Augusta, ażeby go od siostry odłączyć i wpływowi jej zapobiedz.

Pomimo łagodności jej, bezbronności, upokorzenia, potwarcze głosy czyniły Annę straszną, przepowiadały w niej drugą Bonę.

Sam ks. Krasiński nawet, potakując królowi i Mniszchom, wszystkich od królewnej odstręczał, ostrzegał aby się do niej nie zbliżano.

Anna szła płacząc do swoich pokojów na zamku, nic nie wiedząc o nagłem wyjazdu postanowieniu; pochlebiała sobie nawet może, iż pierwsze lody przełamawszy, brata pozyskać potrafi.

Otaczający ją szczupły dwór winszował, cieszył się, prorokował zgodę, i ani się domyślano, że w tej chwili już Mniszchowie wóz kazali zatoczyć, czeladzi na koń siadać, a króla skłonili do wyjazdu nagłego.

Przyśpieszono tak wszelkie do niego przygotowania, iż w niespełna kilka godzin, służba na ramionach już niosła schorzałego pana do zaprzężonego wozu, przy którego koniach stali pachołkowie, każdy swojego za uzdę trzymając. Z trudem niemałym, przyszło łoże na wozie tak ustawić, aby za każdem poruszeniem jego nie drgało i nie przechylało się.

Świeże powietrze, którem August odwykł był oddychać, drażniło mu piersi, sam ten wyjazd z takiemi przybory czynił na nim wrażenie przykre. Wiedział, że tu już nie powróci. Blady, oczyma błędnemi rzucał dokoła, jakby ratunku szukając i Fogelweder na krok go nie mógł odstąpić.

Krajczy, podczaszy, najulubieńsze sługi, Kniaźnik, Konarski skarbnik, chirurg Łukasz, Maciej Żaliński dozorca łoża, otaczali wóz, czepiając się dokoła.

Podwórze przedstawiało widok niezwykły a smutny, pośpiech sprowadzał nieład, ludzie się rozbijali, pędzili, wołali, odpychano cisnące się tłumy, zasłaniano leżącego króla — a Mniszchowie naglili, aby co prędzej ruszać z miejsca.

Woźnice, pachołkowie, paziowie ustawiali się niespokojni.

Na dany znak wszystkie osiem koni ruszyło z miejsca i ciężki wóz zaskrzypiał, lecz jakby na *omen* nieszczęsny, jeden z woźników na kolana padł i dźwignąć go nie było można. Wóz z łożem stanął.

Koniuszowie biegali klnąc na służbę, król dopytywał niespokojnie co się stało. Ćwierć godziny potrzeba było, nim znowu koniom znak dano i powolnie jak z marami żałobnemi ruszył naostatek zaprząg ku bramie.

Słudzy tak szczelnie zewsząd poopinali firanki i trzymali je przy drążkach, iż nikt ani posłania, ni leżącego na nim króla dostrzedz nie mógł.

Daleko pewnie dnia tego nie myśleli Mniszchowie wywieźć króla, szło im o to tylko, aby Warszawę opuścił. Tłómaczyli się troskliwością o pana z powodu zbliżającego się powietrza, gdy w istocie szło im o skutki pojednania z siostrą, której zbyt się dali we znaki, aby się jej zemsty nie obawiali.

Królewna cieszyła się jeszcze tą oznaką dobrego serca, jaką jej dał brat, jeszcze rozmawiała o nim, bolejąc nad zdrowiem a obiecywała sobie, iż nazajutrz przypuszczona zdoła odzyskać odebrane zaufanie, gdy Talwosz wpadł do komnaty.

— Króla wywożą! — zawołał.

Zerwali się wszyscy.

— Nie może to być — odparła królewna — miał jechać jutro dopiero. Wozu może próbują.

— Tak jest jak mówię! — potwierdził żywo Litwin. — Patrzałem na to, jak łóżko z nim zniesiono i na wóz wkładano.

Osłupiała królewna ręce łamiąc. Jak stała z Żalińską razem wybiegła ku wrotom z drugiego podwórza wychodzącym na pierwsze, zkąd widać było wszystko co się na niem działo.

Panował tu nieład i zamięszanie, służba królewska wyciągała, wozu już widać nie było.

Przechodzący dworzanin, spytany potwierdził, iż króla właśnie już wywieziono.

Jakkolwiek pośpiech ten był niespodziewany, wyjazd nagły, Żalińska na swój sposób to tłómaczyła, nic nie widząc nadzwyczajnego, nic tak bardzo dla Anny niepomyślnego.

Na wpół zdrętwiała powróciła królewna do izb swoich, rozmyślając co teraz pocznie.

Chociaż król pogodził się i oddał jej testament, choć gniew ustał i poróżnienie, położenie się w niczem nie zmieniło. Niewiadomo było czy August pomyślał o tem, aby siostrze przyzwoite stanowi jej opatrzyć utrzymanie. Brakło pieniędzy, rozkazów, opieki nad nią.

Panowie, którzy pomocni w tem jej być mogli, razem z królem wyruszyli z Warszawy; wszystko, co żyło, miało się dla zbliżającego powietrza i dla opustoszenia zamku rozproszyć.

Anna zostawała tu zupełną sierotą na łasce warszawskiego starosty, który niewiele mógł i miał prawo uczynić dla niej.

Rozpłakała się więc znowu, a nieznośna Żalińska, gdy ona wybuchnęła łzami, razem buchła wyrzutami i narzekaniem, że Annie nigdy niczego dosyć nie było, że sobie tworzyła troski, aby je módz opłakiwać.

Anna była tak do tych strofowań nawykłą, że mało one na niej czyniły wrażenia, co jeszcze bardziej jątrzyło i niecierpliwiło Żalińską.

W takich razach jedna Dosia Zagłobianka poradzić coś mogła, uprowadzając królewnę do jej sypialni, a starając się Żalińską oddalić.

Pośredniczyła ona, łagodziła, jednała, a gdy inaczej nie umiała, gniewy i fukania ochmistrzyni odciągała albo na siebie, lub na kogoś, co je obojętniej mógł znosić.

Wyjazd nagły króla, natychmiast po widzeniu się z siostrą, którego znaczenie zrozumieli dworscy i przyjaciele Anny, wywołał powszechne oburzenie.

Jeżeli powietrze od Okuniewa idące, spodziewane lada dzień, wybuchnąć tu miało, potrzeba było i królewnie uciekać. Dokąd? o czem? o to się nikt nie troszczył.

Talwosz pobiegł na zwiady czy nie było jakich rozporządzeń lub rozkazów, tyczących się królewnej? Nikt o tem nie wiedział, nigdzie się nią nie zajmowano.

Mniszchowie i ks. biskup Krasiński nie zapobiegli wprawdzie testamentowi na korzyść Anny, ale potrafili tymczasem uczynić ją sierotą, bezbronną i na łasce narodu, który w tej chwili więcej myślał o własnem zagrażającem mu osieroceniu, niż o losie królewnej.

W mieście, po którem się rozeszła błyskawicą wieść o wywiezieniu chorego króla, uczyniła ona wrażenie przerażające. Mówiono sobie, że ta ucieczka zwiastowała mór nadchodzący, więc kto mógł, chciał także się wynosić.

Z gospody pod białym koniem widziano ogromny wóz wyciągający Krakowską bramą. Barwinek załamał ręce, bo dla niego to zwiastowało też wprędce pustki.

Niemeczkowski stał właśnie we wrotach, gdy z zamku ruszać poczęto; domyślił się co to znaczyło i zapowiedział, że on też rusza ztąd.

Starosta Wolski, który dopiero nazajutrz spodziewał się wyjazdu, gdy się o nim dowiedział siadł na koń, aby króla dognać i pożegnać, ale Fogelweder go nie dopuścił, utrzymując, że kołysanie wozu chorego uśpiło.

Zwrócił się więc na zamek, aby się o królewnie dowiedzieć, i przybył w sam czas aby ją pocieszyć.

Uradowała się gdy jej oznajmiono o nim i wyszła natychmiast zapłakana.

— Panie starosto — zawołała — godzin temu para zaledwie, gdym miała to szczęście zbliżyć się do króla.

Dla łez i wzruszenia parę tylko słów mogliśmy przemówić do siebie, spodziewałam się widzieć go jutro... porwano i uwieziono!

— A miłość wasza co myślisz czynić? — spytał Wolski.

— Ja? czekałam woli i rozkazów króla — odparła Anna. — Nie wiem co pocznę, nie mogę się dowiedzieć czy wydał jakie rozporządzenia.

Przy pomocy Bożej, powietrza się nie lękam, siedzieć będę, dopóki od brata nie otrzymam wiadomości co chce abym z sobą postanowiła.

— Ja także — odezwał się starosta — goniłem próżno za wozem pańskim, chcąc się mu pokłonić. Nie dopuszczono mnie, pod pozorem, iż usnął w drodze.

— Jam teraz na opiece waszej — dodała smutnie Anna.

Dzięki choć za to Bogu, iż odjechał nie mając żalu do mnie, żem mogła przebłagać go za niemoją winę. Dziś zrana dał mi krótkie posłuchanie. Dłuższemby ono stało się może, ale czyhano na niego aby mu się poczciwe, braterskie otworzyć nie mogło serce.

Królewna zapłakała.

— Miłościwa pani — odezwał się Wolski — łzy tu nie pomogą, męztwa potrzeba i wielkiego serca, bo niedaj Bóg, przyjdzie chwila, gdy na waszej miłości męztwie losy narodu spoczywać będą.

Cud stać się może i zdrowie powróci, lecz tak jak dziś jest król, nie obiecują mu dni długich doktorowie.

W przewidywaniu nieszczęścia tego, w całym kraju niepokój się szerzy i trwoga. Król żyw a już biegają obcych panów posły i szpiegi jednając im przyjaciół.

Cesarz Maksymilian zdaje się ze wszystkich najczynniejszym dotąd, a że ma po sobie kardynała, który stanie za wielu, bodaj abyśmy się w rakuzką niewolę nie popadli.

Królewna słuchała ciekawie, łzy ocierając.

— Wasza to rzecz — odezwała się — zapobiedz wcześnie, aby się wam krzywda nie stała.

— A razem i miłości waszej — dorzucił Wolski. — Ja do cesarskich nie należę, a wolałbym abyśmy francuzkiego księcia, którego karzeł zaleca, dostać mogli.

Zarumieniła się królewna Anna, ale Wolski nie mógł dostrzedz zmiany na jej twarzy, bo łzy jeszcze ciągle ocierała.

— Krassowski tak samo jak tu — dodał Wolski — w Krakowie panom Zborowskim opowiadał o księciu Andegaweńskim i zaręcza, że bardzo wzięli do serca jego kandydaturę do korony.

— Wszystko to zawczesne — szepnęła Anna.

— Miłościwy pan nasz, gdyby mu nawet Bóg życia przedłużyć raczył — podchwycił Wolski — zawszeby sam nawet, bezdzietnym będąc, powinien myśleć o wyborze następcy, przyczem i waszej miłości los przyszły mógł i powinien był zabezpieczyć.

— A! mój starosto — tęskno i smutnie odezwała się królewna — mój los dla wszystkich ostatnią będzie rzeczą, o której pomyślą. Jam na sieroctwo bez opieki skazana.

— Nie — sprzeciwił się Wolski — jeżeli miłość wasza zechcesz tylko dla samego dostojeństwa krwi swej o prawa swe się upominać i zamiast łez, okazać energią i wytrwanie. Ja mam lepsze przeczucia. Po tych dniach smutnych, Bóg i nam i miłości waszej nagrodzi jaśniejszemi.

Nie śmiała królewna wspomnieć staroście o pozostawionych u niej wizerunkach królewskiej rodziny, ani o Krassowskim, którego sobie jeszcze widzieć życzyła, lecz sam Wolski napomknął zaraz jak miłe miał towarzystwo karła, który przebywał w domu jego, zapytując królewnę czyby mu dozwoliła raz jeszcze pokłonić się sobie.

Półsłówkiem zgodziła się na to Anna, zapytując co dalej z sobą myśli ów gość poczynać, zostanie-li w Polsce, czy nazad do Francyi się wybiera.

— Nie wiem — rzekł starosta — ale mi się zdaje, że odwiedziwszy na Podlasiu rodzinę, wróci naprzód do panów Zborowskich, którzy go sobie bardzo upodobali, a ci pono tak biorą do serca Henryka, na przekorę tym, którzy się już dziś z cesarzem noszą, iż gotowi Krassowskiego użyć za narzędzie.

Nowy rumieniec okrył twarz Anny, która nic nie odpowiedziała.

Wolski wkrótce ją pożegnał, ale zaraz nazajutrz z południa zjawił się tu znowu, Krassowskiego przywożąc z sobą.

Karzeł, jakby chciał okazać iż francuzkiego dworu przejął obyczaje, ustroił się jeszcze staranniej niż pierwszym razem i było mu dziwnie do twarzy w tych sukniach tak szytych, przyozdobionych, wykwintnych, jakby najwybredniejszej niewieście przeznaczone były.

Od sukni i płaszczyka począwszy, aż do kapelusza i łańcucha, wszystko znowu było inne, nowe i dobrane, aby piękną stanowiło całość.

Śmielszy teraz, wesół, Krassowski opowiadał o zabawach wykwintnych dworu, o pałacach i rezydencyach królewskich, o przepychu królowej, o jej rozumie wielkim i nadzwyczajnej przebiegłości.

Mało co o królu Karolu mówiąc, przeszedł zaraz do księcia Andegaweńskiego, wielkiego ulubieńca matki, który rozum i talenta jej miał odziedziczyć... a być bardzo mogło, że i tron francuzki później mógł spaść na niego.

Królewna słuchała z zajęciem, chociaż ani pytać, ani okazywać nie śmiała, że to ją żywo obchodziło.

Bolało ją wielce, że słuchając o przepychu, o wykwintności dworu, do którego karzeł był przywykłym, sama tak ubogo i skromnie, sieroco go przyjmowała. Rzuciła więc o tem słówko, jako ona i brat w podróży byli, a z powodu słabości króla wszystko się rozprzęgało.

Krassowski, któremu na osnowie do opowiadań o dworze, o najgłówniejszych osobach, otaczających króla młodego i królowę matkę, nie zbywało, gwarząc o różnych przygodach, o zabawach i zajęciach, kilka godzin zajmował królewnę, a musiał ją w istocie zainteresować, gdy żegnającemu się zapomniała oddać pozostawionych wizerunków.

Przypomniała je sobie zapóźno, gdy już starosta z Krassowskim do kolebki wsiedli, a posyłać je za niemi wstydziła się. Tak więc zostały przy niej jeszcze... i biedna królewna uradowała się w duszy, że mogła lepiej się przypatrzeć tej nadziei swej, której wstydziła się, ale wyrzec nie chciała.

Wszystko się tak jakoś składało, jak gdyby Opatrzność, ulitowawszy się nad nią, miała za długie dni łez i tęsknoty, za opuszczenie i sieroctwo niespodzianie świetnym nagrodzić losem.

Serce jej biło na tę myśl, że i ona mogła mieć rodzinę, męża, dziecię... własną wolę i moc dobrze czynienia ludziom, gdy teraz skrępowana, nawet litościwą być nie miała z czego.

To imię Henryka powtarzało się jej ciągle, obraz młodzieńczego narzeczonego przesuwał się przed jej oczyma.

Wprawdzie Ernest rakuzki był także młodym, był synem cesarskim, ale jakiś wstręt i obawę czuła dla tego domu, z którym połączenie nigdy szczęścia Polsce nie przyniosło.

Augustowi jedna z arcyksiężniczek żałobę z sobą dała, druga męczarnię długą i rozpaczliwe lata walki.

Oczy królewnej zwracały się ku Francyi i nadzieja wstępowała w serce.

Nigdy może żadna niewieścia gałązka wielkiego panującego domu nie znalazła się w takiem położeniu, w jakiem królewnę Annę, co chwila spodziewany zgon brata, miał postawić.

Z licznego rodzeństwa, wszystko co żyło, rozproszone było i rozbite. August konał zobojętniały już na wszystko w świecie, schodząc bezpotomnie, ostatnim rodu.

Królowa szwedzka, przecierpiawszy wiele i strasznie, całkiem teraz była oddaną rodzinie swej i krajowi, nad którym mąż jej panował. Pomiędzy nią a Anną trwały stosunki, biegały listy, ale dowodów miłości wielkiej nie dawała Katarzyna, więcej żądając od Anny, niż przynosząc jej, troszcząc się głównie o spadek po matce i po bracie.

Sprawy tego spadku stanowiły najsilniejszy węzeł, który królowę Katarzynę łączył z Polską i z siostrą.

Czułości serca, współczucia nie było w listach.

Anna próżno swojemi pokornemi, posłusznemi starała się w siostrze obudzić uczucie, którem jej serce było przejęte.

Jan III., mąż Katarzyny, wiedząc o tem, że Augusta lekarze na śmierć skazywali, sam już myślał o tronie polskim, o połączeniu dwu państw. Miał młodziuchnego syna Zygmunta, któremu też, jeżeli nie sobie, rad był koronę zapewnić.

A Anna — Anna już naówczas gotową była dla szwagra i siostrzeńca, którego jak własne dziecię kochała, wyrzec się marzeń swoich i praw swoich. O tem dziecku siostry, przyswajając je za własne, pisała, dowiadywała się, chciała mu być matką. Serce jej domagało się kogoś, aby kochać i poświęcić się mogło.

Z księżną Brunświcką, drugą siostrą, stosunki były ściślejsze jeszcze, serdeczniejsze ze strony Anny i nacechowane taką pokorą, poddaniem się, posłuszeństwem, ofiarnością, jak gdyby Zofia odpłacała to uczucie. Tymczasem Brunświcka księżna obchodziła się w listach swych do Anny pisywanych dosyć szorstko z nią, nadużywała powagi, wymagała, rozkazywała, rzadko słowem uprzejmem wywzajemniała się Annie, która padała przed nią.

Więcej mogąca, mająca, swobodniejsza księżna Brunświcka, rzadko w czemś pomagała Annie, najczęściej od niej wymagała ofiar, przysług, poświęceń i krzywiła się, gdy jej rozkazom natychmiast nie czyniła zadość.

Ze strony królewnej szły dary za darami, wszelkiego rodzaju posługi, a od księżnej z trudnością, w najcięższych godzinach mogła małą jakąś wyprosić pożyczkę.

Zofia obchodziła się z nią jak mentorka, nauczycielka, przybierając tony protektorskie. Lecz z dwu ich, królowej szwedzkiej i księżnej Brunświckiej, jeszcze ostatnia dla Anny była serdeczniejszą, więcej siostrą.

Widzieliśmy jaki smutny skutek sprowadziły intrygi dworskie, dzieląc Zygmunta Augusta od siostry. Ona mu nie mogła przebaczyć tego, że na jednym dziedzińcu, pod jednym dachem musiała mieszkać z Giżanką i jej „szczenięciem", z bezwstydną Orłowską, czarownicą, z innemi babami, że z pod jej opieki porwano Zajączkowską, swatając królowi za małżonkę.

Mniszchowie malowali niechęć Anny i żal do brata w takich barwach, że serce jego odwrócili od niej. Dopiero w chwili pisania testamentu, chociaż biskup Krasiński, pochlebiając Augustowi, także był przeciw Annie, sumienie tknęło króla i nie ukrzywdził jej, ale, jak należało, uczynił, znaczniejszej części swojego spadku dziedziczką.

Najlepszy to był dowód, że schorowany król ulegał zausznikom, ale czuł swe obowiązki i na łożu śmiertelnem chciał krzywdę wyrządzoną nagrodzić.

Pomiędzy znakomitszymi panami, którzy w chwili tej przy królu i w królestwie główniejsze zajmowali stanowiska, królewna nie miała prawie nikogo, na któregoby rachować mogła.

W Małej Polsce wcale się nie zajmowano i nie myślano o niej, a na Litwie zawczasu zaprzeczano wszelkich praw nietylko do dziedzictwa kraju, ale nawet do spadku po panującym.

Ks. podkanclerzy Krasiński, niby wtórując królowi a w rzeczy pobłażając Mniszchom, głośno mówił, że kto chciał mieć łaskę u pana, nie powinien był ani bywać u królewnej, ani z nią stosunków zachować.

Z możniejszych i znaczniejszych jako przyjaciel, opiekun, jako wierny sługa Jagiellonów, zatem i Anny, a szczególniej księżnej Brunświckiej, występował Sędziwoj Czarnkowski referendarz, postać charakterystyczna swojego czasu, dwuznaczna, dwulicowa, wcale inna w istocie, niż się na oko ukazywała.

Przywiązanie jego do Jagiellonów i Jagiellonek było pokrywką oddania się zupełnego, zaprzedania cesarzowi Maksymilianowi, którego sprawę Czarnkowski nader zręcznie popierał, ale czynił to tak potajemnie, tak umiejętnie, aby popularności nie postradał i nie naraził się nikomu.

Dla Czarnkowskiego losy własnego kraju, a tem mniej Anny, nie były rzeczą pierwszą i główną — interes cesarza brał górę.

Udawał wylanego dla Anny, dlatego tylko, aby pomagając jej, miał na nią oko i nie dał nic uczynić przeciwnego interesom Maksymiliana. Czego nie mógł sam dokazać, to starał się przez księżnę Brunświcką, z którą był w ścisłych stosunkach, wymódz na Annie.

Przy królu Czarnkowski do ostatniej godziny tak umiał chodzić, iż ani Mniszchowie, ani Krasiński się go nie obawiali i nie znajdowali niebezpiecznym. Służył, przewoził pieniądze, nie sprzeciwiał się, a nawet Anny nie bronił, aby się nie dać w podejrzenie.

Zręczny, chytry, przebiegły, myślący tylko o sobie, Czarnkowski spodziewał się z obraniem rakuzkiego księcia wypłynąć na wierzch i dojść najwyższych dostojeństw. Nikt nie mógł się domyśleć jego podziemnych chodów, zabiegów, rachub i sieci intryg, jaką oplątywał królewnę.

Anna jego zaręczeniom i przysięgom, gorącym zapewnieniom miłości dla rodziny, wierzyła najmocniej, nie posądzając go nawet o to, co knował, gdy referendarz i ją i jej los gotów był bez skrupułu poświęcić cesarzowi.

Z możnych panów i urzędników wyższych nie miała królewna nikogo więcej. Najlepszego serca, ale zbolała, smutna, wyrzekająca, często zamknięta w sobie, nie wiedzieć czem wyrobiła zawczasu opinię kobiety, która, zdaniem wielu, „mogła być drugą Boną".

Nieprzyjaciele jej posługiwali się tem wyrażeniem groźnem, zapowiadając w niej chytrą intrygantkę, która wszelkiemi środkami mogła się dobijać władzy. Potwarz ta nie miała najmniejszej podstawy, ale raz rzucone słowo, gdy z ust do ust pójdzie między ludzi, ma siłę dziwną.

Najłagodniejsza z Jagiellonek, która dotąd energii i charakteru nie miała zręczności okazać, uchodzić zaczęła za „drugą Bonę".

Tego dosyć było, aby od niej odstręczyć. Losem zresztą sieroty nie zajmował się nikt.

Można było przewidzieć, że ją mogli ludzie użyć za narzędzie w swych rachubach, ale dla niej samej nikt nic czynić nie myślał.

Przywiązanie do dynastyi nie było tak silnem, aby dla niego najmniejszą chciano uczynić ofiarę.

Tak Anna była ostatecznie skazaną na — niewielkiego znaczenia sługi swoje — kilku życzliwych, którzy żadnego wpływu nie mieli.

Poczciwy oboźny Karwicki sprzyjał jej przez dobre serce i litość. Rotmistrz Bieliński, jako wierny sługa rodziny, z rycerską gotowością stawania w obronie uściśnionej.

Jeden i drugi przecież niewiele mogli, wpływ ich był tak jak żaden, Karwicki wyrobił ostatnie posłuchanie, Bieliński miał później stać na straży spadku po królu, dla zachowania go królewnie.

Do tych dwu doliczyć trzeba równie jak oni wiernego królewskiej rodzinie Rylskiego, którym się posługiwała to szwedzka królowa, to księżna Brunświcka, to Anna. Wylany dla nich, jeździł z listami, z powierzonemi przesyłkami, z ustnemi poleceniami; niezmordowany, gorliwy, ale to jedno tylko mógł uczynić, nic więcej.

Człowiek był mały i nieznaczny.

Od śmierci ostatniego ochmistrza, królewna Anna, nie miała wyznaczonego po nim następcy. Pełnił te obowiązki niejaki Jan Koniecki.

Był to dobry człowiek, życzliwy dla swej pani, wierny, uczciwy, ale ciasnej głowy, niewidzący daleko, dający sobie z kolei wmówić, co się komu podobało. Tłuściuchny,

zażywny, powolny, nadający sobie powagi, której utrzymać nie umiał, Koniecki popełniał omyłki nieustanne przez dobroduszność i głupotę.

Ludzie sobie z niego żartowali, ale on zawsze był rad z tego co czynił i nigdy się nie dał przekonać, ażeby mógł się omylić.

Talwosz, Litwin, żywy, czynny, roztropny, syn zamożnego ziemianina, dostał się niedawno na dwór królewnej, zbiegiem dziwnych okoliczności, przy królu miejsca nie znalazłszy.

Nie byłby może pozostał tu, bo służba królewnej żadnej przyszłości mu nie obiecywała, ale na nieszczęście, piękne oczy Dosi go przykuły. Stał się jednym z najgorliwszych, najzapaleńszych pomocników osieroconej pani.

Różnił się on tem od innych, że gdy wszyscy niemal Annę starali się utrzymać w bezczynności, wyczekiwaniu spokojnem, wyrzeczeniu się wszelkich starań na swoją rękę — Talwosz dowodził, że królewna powinna była wystąpić czynnie w obronie swych praw i nie zapominać, że była Jagiellonką, której Polska i Litwa przecież coś dłużną była.

Z tego powodu Talwosz i z Konieckim iż innymi ciągle musiał się ujadać. Znajdowano go niebezpiecznym, chciano się pozbyć, ale i on trzymał się twardo i Anna powoli zaczynała się ośmielać, słuchać go, nabierać energii, jakiej nigdy nie miała.

Okoliczności też wyrobić jej nie mogły nigdy. Zahukana, zapomniana, słuchać musiała zawsze Bony, która dla niej jak i dla reszty sióstr nie miała serca, słuchać potem sióstr, poddawać się woli brata.

Zaledwie parę razy dozwolono jej objawić własne przekonanie, gdy szło o małżeństwa sióstr, a Anna dla nich uczyniła z siebie ofiarę.

Energia, jaką ją obdarzyła natura, spoczywała jakby uśpiona, służyła tylko do oporu przeciwnościom, upokorzeniom, sponiewieraniu, które znosiła z powagą i dumą. Teraz po raz pierwszy bliski i przewidywany zgon brata powoływał ją do czynu, do wystąpienia, do objawienia siły.

Talwosz usiłował ją w niej obudzić. Nie mogło po długich latach bezczynności przyjść to łatwo, królewna zresztą otoczoną była ludźmi, przeciw którym działać musiała z ostrożnością.

Z męzkiego otoczenia, dodawszy doktora Czeczera, milczącego medyka, który zioła zbierał, w politykę się nie wdawał i zabawić mógł królewnę, ale pomódz jejby nie potrafił; księdza Jana Borakowskiego sekretarza króla, ograniczającego się duchowną posługą, nie było przy królewnie bliżej nikogo prawie.

Z kobiet miała przy sobie dawną swą ochmistrzynię Żalińską, która teraz stanowiła ciężar i nie zdała się wcale do posług, bo, dla swoich widoków, gotową była poświęcić królewnę.

Ufna w tę przewagę, jaką jej dawały długie lata służby, Żalińska, która miała dwudziestokilkoletniego syna pana Matyasza, na dworze Zygmunta wychowanego na zepsute a zarozumiałe chłopię, ułożyła sobie plan zawczasu, wyrobienia mu stanowiska przy królewnie takiego, aby nią, jej majątkiem i sprawami zawładnął.

W tym celu trzymała go przy sobie, narzucała nieustannie królewnie, a gdy ta dosyć zimno przyjmowała niemiłe sobie usługi, gniewała się, burczała i nie ustępowała. Patrzano już na to krzywo, że Żalińska, mieszkająca obok swej pani, w komorze przy sobie trzymała syna na uwięzi, i nocować mu tu nawet kazała.

Gdziekolwiek potrzeba było pośrednictwa, poufnego rozmówienia się, Żalińska syna narzucała królewnie. Kazała mu pisać listy, utrzymywać regestra, wciskała go gdzie tylko mogła.

Królewna znosiła cierpliwie, lecz widać było, że jej to ciążyło.

Zuchwały, naprzykrzony, rozpuszczony Matyaszek, był tu, oprócz matki, wszystkim dokuką wielką.

Żalińska, nie mogąc królewnej zmusić do poddania się, ciągle teraz ją strofowała i w sposób najnieprzyzwoitszy burczała. Wyrzucała jej, że udaje choroby, że się skarży nadaremnie, że jest wszystkim ciężarem, że jej w niczem dogodzić nie można.

Starą piastunkę, nudną i naprzykrzoną, z angielską cierpliwością znosiła królewna.

Prawdziwą przyjaciółką od serca, dla której tajemnic nie miała Anna, była Zofia ze Śmigla Łaska krajczyna koronna, zdawna z królewnemi Zofią, Katarzyną i z nią związana wspomnieniami dzieciństwa.

Krajczyna równie kochała księżnę Brunświcką i Annę, ale teraz nie mogła być z nią i listami tylko się z sobą znosiły. Obiecywała jednak przybycie. Była to niewiasta czynna, żywa, lubiąca zajęcie, szlachetnego charakteru, a nadewszystko nienawidząca spoczynku. Potrzebowała ciągle coś pisać, o coś się starać, coś wiedzieć, czego nikt się nie domyślał.

Gotową była narazić się, pracować, jeździć, byle nie nudzić się spoczynkiem i bezczynnością.

Krajczyna była w sercu Anny jedyną, a choć obok niej stały pani Elżbieta Świdnicka i Elżbieta z Gulczewa Brudzewska, wdowa po łęczyckim wojewodzie, i Zosia Łaska córka wojewody sieradzkiego, żadna z nich mierzyć się nie mogła z krajczyną.

Brudzewska nie młoda, trochę już wiekiem ociężała, nie mogła tak czynnie służyć królewnie, jakby chciała, Świdnicka nie była wolną, dla rodziny; Zosia Łaska za młodą, aby coś, oprócz wesela, uśmiechu i słowa pociechy przynieść tu mogła.

I te wszystkie przyjaciółki rozproszone, nie rychło się obiecywały przybyć, aby samotność Anny ożywić i podzielić jej losy. Za całą więc pociechę, jako jedyną powiernicę, miała Dosię Zagłobiankę, którą wychowała, do której się przywiązała jak do dziecka.

Była to istota wyjątkowa, rozumna, odważna, gotowa na wszystko dla Anny, ale mimo niezmiernej energii i przebiegłości, niewiele ona mogła; chyba w domu i gdy szło o obronę od Żalińskiej.

Zamiast Matyasza Żalińskiego, jej Anna używała do listów, gdy ich nie mogła pisać sama, nią się posługiwała chcąc zachować w czemś tajemnicę. Dosia umiała ją pocieszać, dodawać odwagi, zapobiegać nieustannym napaściom ochmistrzyni, pozbywać się jej syna i t. p.

Matyasz chłop jak od siekiery wyciosany, dworak zepsuciem ale nie umysłem, bo był tępy, choć wiele trzymał o sobie, nie mógł codzień widywać i ocierać się nieustannie o Zagłobiankę, nie rozmiłowawszy się w jej nadzwyczajnej piękności.

Wzdychał do niej, równie z wielu innemi, mając więcej niż inni zręczności zalecania się, ale wszystkie jego zabiegi, starania, wdzięczenie się, nie potrafiły mu zjednać dziewczyny, dla której był zanadto ograniczonym.

Posługiwała się nim, ale zbliżyć się do siebie nie dopuszczała.

Na próżno matka, która dla syna była słabą, starała się go popierać. Dosia zaloty w śmiech obracała.

— Wiadomo wszystkim — mówiła Żalińskiej — że jestem podrzutkiem, do którego się nikt przyznać nie chce, za mąż iść nie myślę, boby mi mąż mógł wypominać, żem mu nic, nawet poczciwego szlacheckiego imienia nie przyniosła!

Żalińska rachowała jednak na swoją potęgę, wpływ na Annę, jej pośrednictwo i sieroctwo Dosi. Z powodu syna też nie występowała tak przeciwko niej, jakby nieraz mogła, znajdując ją na zawadzie.

Zagłobianka nie cierpiała Żalińskiej, jasno widząc jej zamiary względem królewnej. Nie taiła się z niemi ochmistrzyni, mówiła otwarcie.

— Ma lat blizko pięćdziesiąt, co jej się tam śni, że jeszcze za mąż wyjść może. Po co jej to. Weźmie po bracie dosyć grosza, wyposażą ją panowie i dadzą oprawę czy na Mazowszu czy gdzieindziej i będzie Pana Boga chwalić, a my przy niej spokojnie żyć i używać.

Ja dla niej na ochmistrza syna wychowałam, ja i on, byle głupich podszeptów nie słuchała, wystarczym aby wszystko w porządku otrzymać.

Teraz się ze śmiercią króla wszystko tak składało, że Żalińska poczynała być niespokojną. Słyszała dokoła mówiących o tem, iż na przypadek zgonu jego, gdy nowego króla obierać będą, pewnie mu Annę za żonę nastręczą.

Nie obawiała się odprawy Żalińska, znając dobre serce pani, ale przewidywała, że i syn, i ona znijść musieli na stronę i już jej tak opanowaćby nie mogli, jak ona sobie ułożyła.

Wśród tej gromadki zastępujący ochmistrza Koniecki, z wielką powagą obracał się sądząc, że nadzwyczaj jest czynnym, a w istocie nie widząc nic i nie robiąc nic wcale.

Pilnował porządku, chodził, pytał, wydawał rozkazy, których nie słuchano, zapominał o tem, co mówił, a zresztą gorliwie zawsze narzucał się pani do wszystkiego, choć nigdy go prawie nie używano do niczego.

Konieckiemu starczyło gdy go służba i dworacy czcili tytułem ochmistrza i drwiąco mu się kłaniali.

Odjazd Zygmunta Augusta, którego królewna ostatniego dnia dopiero widziała i znalazła niemal dogorywającym, zrodził niepokój wielki.

Zostawała sama na tym pustym zamku, nie będąc nawet pewną, czy o zdrowiu brata mieć będzie wieści. Nikt się o to nie troszczył. Jeden starosta Wolski mógł jej w tem posłużyć.

Czarnkowski referendarz miał się znaleźć też przy królu i na tego rachowała, że listem ją zawiadomić może.

Wyzdrowienia zaledwie się można było spodziewać, a doktór Czeczer zapytany, odpowiedział, że choć się cuda dzieją, ale tam gdzie baby i czary doktorom robotę psują, nie wielką w nich nadzieję pokładać należy.

Opowiadano wówczas wszędzie, że zaniedbana przez króla czas jakiś Zajączkowska, co tydzień wieczorem dnia jednego, z jakiemiś obrzędami groch na ogień ciskała, przeklinając aby się tak rozpuknął ten co jej wiernym być nie chce.

Inne czarownice myły i naparzały chorego, odrywały strzępki jego szat, aby go mieć w swej mocy. Jedna z nich dała królowi prostą obrączkę, którą on jak najkosztowniejszy pierścień nosił.

Było zawsze około króla tych bab z Wilna i z różnych stron przywożonych dosyć... cóż potem mogli doktorowie?

W parę dni po odjeździe króla dowiedziała się Żalińska i przyniosła to królewnie zaraz, że po drodze z Warszawy do Knyszyna, Barbara Giżanka czekała na Augusta w Ostrowie. Nie było temu końca!

Któż mógł przewidzieć, co czekało króla w Knyszynie? i co z nim poczynać mieli ulubieńcy, na których łaskę był zdany?

W niedzielę dnia 6 lipca zmierzchało, gdy starosta tykociński Łukasz Górnicki, wysiadłszy z wozu przede dworem, pieszo przyszedł do drzwi budynku, w którym król leżał w Knyszynie, dowiadując się z obawą o zdrowie pańskie.

Z twarzy ludzi, którzy stali w gankach i na podwórzu, z ciszy, jaka tu panowała, chociaż ruch był niespokojny, mógł wnieść że się tu źle święciło.

Poznawszy mimo mroku starostę, wyszedł naprzeciw niemu dworzanin Lissowski i szepnął, że król kilka razy słabym głosem pytał czy nie przybył, a nakazał go natychmiast gdy się zjawi puścić do siebie, choćby odpoczywał i drzemał.

Szedł więc już nie zatrzymując się starosta, a tu go w pierwszej komnacie spotkał referendarz Czarnkowski, który u okna siedział z rękami złożonemi, jakby się modlił, i ujrzawszy Górnickiego, ku niemu powstał.

— Idźcie do króla, idźcie — szepnął, zniżając głos — pragnął mówić z wami. Źle się ma. Duchowni go do pojednania z Bogiem i przyjęcia Sakramentów już przygotowują. Życia pozostało niewiele.

Gdy to mówił, z drugiej izby wystąpił Jakób Zaleski starosta piaseczyński i ujrzawszy Górnickiego pośpieszył ku niemu mówiąc:

— Król na was czeka.

Nie wdając się więc już w pytania Górnicki pośpieszył za Zaleskim, który go do sypialni prowadził.

W izbach, przez które przechodzili, cisza panowała i smutny mrok wieczora je zalegał. Powietrze ciężkie było i parne.

U drzwi sypialni, gdy zcicha zapukali, zjawił się Kniaźnik, który już się zabierał ofuknąć aby panu nie przerywano spoczynku, gdy zobaczywszy starostę, podniósł zasłonę i wpuścił go prędko, nie pytając.

W izbie było przyciemno też, tylko w kątku osłoniona gorzała lampka mała, a że okno nie było całkiem zamknięte, płomię jej poruszało się i migotało.

W głębi na szerokim, nizkiem łożu, osłonionem pawilonem szkarłatnym, spoczywał król drzemiąc chorobliwie i marząc, cały w bieliźnie, z nogami tylko okrytemi jedwabną kołderką.

Żółtą, wychudłą twarz jego widać było na białych poduszkach leżącą z oczyma zamkniętemi. Ręce białe, kościste, złożone trzymał na piersiach.

Pomimo że starosta jak najciszej wnijść się starał, Zygmunt August posłyszał czy przeczuł jego przybycie, powolnie ciężkie podniosły się powieki i poruszyły usta blade.

Górnicki przejęty widokiem umierającego stał jak wryty i oczy mu się zwilżyły.

Chwilę trwało milczenie, słaby głos dał się słyszeć od łoża.

— A to ty... nareście... czekałem...

Ręka jedna z trudnością podniosła się nieco i skinął aby przystąpił. Górnicki posłuszny zbliżył się na palcach powoli.

Oczy króla, które były zapadły, podniosły się ku niemu i usta drgnęły.

Starosta, który od tak dawna i dobrze króla znał, a widywał go w różnych ducha usposobieniach, przerażony został zmianą jego twarzy.

Było to zawsze tożsamo, poważne, Jagiellońskie oblicze, wiekuistym jakimś obleczone smutkiem, lecz teraz zbliżający się zgon nadawał mu wyraz uroczysty, jeszcze bardziej majestatyczny i namaszczony.

Nie był to już człowiek na ziemi żyjący i ziemskiemi sprawami przejęty, lecz duchem na poły na świecie innym.

Starosta pytania żadnego zadać mu nie śmiał, stał z boleścią w duszy wpatrując się w niego i ręce załamał.

Słychać było oddech w piersiach ciężki i chrzęszczenie.

Parę razy powieki trochę się poruszyły i opadły.

— Koniec, koniec się zbliża — odezwał się po cichu po długiej chwili oczekiwania. — Żyłem za długo, za długo, cierpiałem wiele... zostawiam was sierotami.

Górnicki ledwie mógł stłumić płacz, który, mimo męztwa, pierś mu i oczy napełniał.

— Miłościwy panie — rzekł — żyjcie, Bóg łaskaw, zdrowie wam przywróci.

Na ustach króla widać było jakby uśmiech niedokończony.

— Ani dla siebie, ani dla was tego nie życzyć — odezwał się cichym bardzo głosem. — Walczyłem próżno, z dolą walczyć nadaremnie, nikt swego nie uniknie losu.

Zatrzymał się król, jakby mu tchu zabrakło, spojrzał na Górnickiego i szeptał znowu:

— Całe życie, całe stoi przedemną jak rozwinięta karta. Widzę je przed sobą. Pasmo przeznaczeń. U kolebki, matka! tak, matka, która być miała mi prześladowcą i mojego szczęścia nieprzyjaciółką. Ojciec kochający a surowy... pochlebcy i kobiety... a! te kobiety, te sokoły, które mi żywot zatruć miały.

Przez nie ginę! a tak je kochałem?

Zamilkł znowu. Górnicki chciał powstrzymać go i szepnął, że mówienie rozdrażnia i męczy.

August nie zdawał się słyszeć i rozumieć. Oddech stał się żywszym, powieki odkryły oczy wpadłe, ale jaśniejące blaskiem niezwykłym.

— Widziałeś Elżbietę, pierwszą moją... padła ofiarą, niewinna, biedna, anielska istota. Co ona zawiniła, że jej męczennicą być przeznaczono...

Barbara... a! ukochana Basia moja, o którą z narodem walczyć, z matką wojnę prowadzić, z całym światem się poróżnić przyszło, ją i mnie żółcią i piołunem poili.

I ta jak kwiat w mych oczach uwiędła... i ta...

Górnicki dostrzegł jak dwie łzy dobyły się z pod powiek powoli i nieotarte potoczyły zwolna po twarzy, znikając gdzieś na bieliźnie, w którą wsiąkły.

I znowu było milczenie, król się podniósł nieco, uczynił wysiłek, lecz osłabłe ciało zmusiło opaść na pościel bezwładnie, oddychał coraz ciężej, ale oddech stawał się przyśpieszony.

— Chcieli bym żył z Katarzyną, to mi śmierć zadało. Nie mogłem się zwyciężyć. Przez to umrę bezpotomny, ostatni, ze mną do grobu pójdą Jagiellonowie.

Bóg, los, przeznaczenie, fatalność, żelazne prawo zniszczenia.

Górnicki chciał coś wtrącić, aby smutne te myśli odwrócić, król mówić mu nie dał.

— Bezpotomnym! — rzekł — to nic, ale zejść bez dobrego imienia, bez pociechy z wielkiego dzieła.

Starosto, wszystkom chciał, nic nie mogłem. Litwa dotąd dąsa się na to co jej przyszłość miało zapewnić. Na Unię pracowałem życie całe, dla niej praw się zrzekłem... oni jej nie chcą.

Swobody ich szanowałem... plwali mi w oczy za to.

Nie było nieszczęśliwszego nademnie. Na Ruś zbierałem się iść odzyskać zabrane... zawady mi stawili.

Wrogów wszędzie, przyjaciół nie miałem nigdzie, nigdzie, nikogo.

— A! miłościwy panie — przerwał Górnicki — nie czyńcie nam wiernym sługom swoim krzywdy, myśmy cię cenili i miłowali!

— Wielu? kto? — przerwał król. — Mój starosto, śmierć oczy przemywa i wzrok daje co do głębi dusz sięga... widzę w każdym co w sobie nosi, do szpiku kości.

Przyjaciół dla łupieży, kochanek dla łask i darów, jest wiele, a ktoby kochał?...

Zamilkł nagle i zwolna w piersi się uderzył.

— Winienem, winienem — szeptał — przebacz mi panie, winienem wiele, ale przejrzałem za późno.

Starosto, pamiętajcie o tej sierocie królewnie Annie, ja życie jej zatrułem. Co z nią będzie? maż ona do końca żywota łzami się obmywać?

— Miłościwy panie — podchwycił Górnicki — naród nigdy panów swoich krwi nie odtrącił i nie zapomniał o niej. Nie trwożcie się o los królewnej.

— Zapóźno przyjdzie jej korona i małżeństwo — przerwał znowu ciszej król. — Katarzyna przecierpiała wiele, Zofia owdowiała, sierota Anna na łasce waszej.

A cóż z tem państwem?

Wstrzymał się król i milczał długo, spojrzał na starostę, jak gdyby go wyzywał.

— Wybierajcie ostrożnie, abyście za soczewicę praw swych nie pozbyli. Jest ich dosyć co sięgną po koronę naszą.

— Cesarz pierwszy — podszepnął Górnicki.

— Cesarz? — zamruczał król — przez nich my straciliśmy Czechy i Węgrów, oba kraje Jagiellonom należały. Ojciec dał się im uwikłać i wydrzeć je sobie.

Cesarz uczynił mnie bezpotomnym, cesarz zakuje was w niewolę!

Podniósł rękę, która opadła ciężko na posłanie.

— Litwa za carem ze strachu. Tyran jest. Katarzyna truchlała, by mu jej nie wydano; nie oddawajcie mu Anny, biednej Anny. Zabije ją.

Nie śmiał Górnicki wspomnieć o Francuzie, ale król sam szepnął.

— Francuskiego króla brat się swata, obcy nam, daleki, młody. Polska niczem dla niego, on na nic dla was.

I dodał po namyśle.

— Pruski książe? któż wie? Zechcecie go?

Starosta słuchał z natężoną uwagą, lecz te myśli przesuwające się z kolei rozmarzonemu po głowie, zdały mu się go dręczyć nadto; przerwał uspokajając.

— Miłościwy panie, Bóg miłosierny. Jeśli osierocić zechce, opiekować się będzie! Pocóż trapić się zawcześnie.

— Tak! przeznaczenia są nieuniknione, konieczność żelazna — westchnął. — Widzę przyszłość, widzę ją... smutna...

— Wasza miłość — odezwał się Górnicki — zechcecie mi wydać jakie rozkazy. Rozkazaliście mnie przywołać.

Król niespokojnie ręką powiódł po czole.

— Nie wiem już — rzekł — tak... potrzebowałem was... Chciałem mieć kogoś przy sobie...

Oczy jego skierowały się na drzwi.

— Sokoły i sępy... chciwe... nikogo więcej... wszyscy czegoś żądają, nikt nic nie przynosi. Słowa pociechy... łzy poczciwej...

Jaki to dzień? — zapytał nagle.

— Niedziela — szepnął Górnicki.

— Tak, byłoż to dziś rano? czy wczoraj, czy miesiąc temu? już nie wiem. Wszystko się zmięszało razem, cała przeszłość leży pogmatwana przedemną.

Te sokoły...

— Zbyćby się ich, miłościwy panie — rzekł starosta.

— Płaczą — począł król — jak ojciec łez niewieścich znieść nie umiem. Giżanka ma córkę... dziecko moje jedyne. Zajączkowska... wiesz... żenić się z nią chciałem... czeka... świat zawiązany.

Zuzię Orłowską aż tu przywieźli... i ta... A! te sokoły!

Nie śmiał nic powiedzieć Górnicki, ale mu się zrobiło przykro, a gdy potem król zamilkł, odważył się podszepnąć:

— Nie myślećby o nich!

— Tak — po chwili dodał król — czarami mnie i napojami wzięły, a zdrowie i życie poszło.

Te, którem kochał, los mi wydarł prędko... przemknęły mi przez życie moje jak cienie, tylko śnię teraz o nich. Widzę je jakby żywe były. Stają koło mnie... Elżbieta i Basia razem.

Starosto — odezwał się żywiej — przywiozłeś mi z sobą ich wizerunki?

— Są w Tykocinie — odparł Górnicki.

— Jam je teraz chciał mieć... pocieszyć się niemi — rzekł król. — W Tykocinie! Jedźże po nie, proszę cię, jedź po nie, a śpiesz jutro do mnie z powrotem. Chcę je mieć, chcę je koniecznie mieć teraz, choćby do trumny.

Górnicki począł się tłómaczyć, dlaczego ich nie zabrał z sobą, lecz w myślach pogrążony, już się go słuchać nie zdawał i powtórzył:

— Jutro — przywieź mi je jutro.

Wtem jakby sobie coś przypomniał.

— Bieliński — spytał — jest w Tykocinie na zamku?

— Nie odstępuje go na krok — rzekł Górnicki. — To człowiek, na którego spuścić się można, miłościwy panie.

— Dla tegom go nad skarbem moim wszystkim postawił — słabnącym głosem dodał August. — Starej wiary to mąż, prawości starej. Mów mu, niech nikomu nie zdaje po mnie mienia, krom królewnej Anny... Ona sióstr nie ukrzywdzi, a ja chcę, aby pokrzywdzoną nie została. Biedna Anna...

Na jej sieroctwo spadnie korona! Kto wie? Wydrą jej może i mój spadek i ją... z Jagiellonek ostatnią...

— Miłościwy panie, nie może to być — przerwał starosta — myśli tych nawet nie przypuszczajcie; ludzie bywają niewdzięczni, naród się niewdzięcznością splamić nie może.

Zygmunta Augusta oblicze zmieniło się wyrazem szyderskim.

— Mylisz się, starosto, mylisz — odparł — przeciwnie, ludzi wdzięcznych znajdzie się coś może, narody zawsze niewdzięczne być muszą!

Napróżno chciał zaprotestować starosta tykociński, król głową potrząsał.

Lecz widać było w skutek długiej już rozmowy tej znużenie.

Wśród niej Zygmunt August chwilami usypiać się zdawał. Słów mu brakło i wypełniało je mruczenie... Mruczenia przerywały mowę. Starosta nie śmiał ani się oddalić bez rozkazu, ani dłużej męczyć króla, który, ile razy go zobaczył, jakby pobudzony do mówienia, usta otwierał i wkrótce wyczerpując się, słabnął.

Na ostatek sądząc, że się już nazbyt przedłużyło posłuchanie, zrobił parę kroków wstecz od królewskiego łoża, ale król posłyszał chód i oczy otworzył.

— Jedź — rzekł — zaraz, prędko... proszę cię... wizerunki, wiesz... dwa razem, Elżbiety i Barbary... przywieziesz mi je jutro.

— Natychmiast wyruszam spełnić rozkaz, miłościwy panie — odezwał się Górnicki odchodząc.

Król nie musiał już usłyszeć odpowiedzi, gdyż starosta ujrzał go z otwartemi usty, uśpionym głęboko, oddech tylko ciężki i chrapanie piersi znużonych słychać było.

Gdy ostrożnie podniósłszy zasłonę starosta tykociński znalazł się w izbie sypialnią poprzedzającej, w której podedrzwiami stał Kniaźnik, Plat i Jakób cześnik na cichej jakiejś naradzie, potrzebował chwili długiej, aby przyjść do siebie, tak mu jeszcze w pamięci, w sercu brzmiało to, co z ust umierającego słyszał.

Nie ulegało wątpliwości dla niego, iż król już z tego łoża boleści nie miał powstać, że to były ostatnie godziny i słowa ostatnie.

Wzruszony do głębi duszy, Górnicki usiłował zapanować nad sobą, lecz łkania powstrzymać nie mógł.

Do stojącego nie opodal od progu zbliżył się Fogelweder i ujął go za rękę.

— Wszelka nadzieja stracona? — szepnął Górnicki. — Doktorze, macie wy jeszcze jaką?

Fogelweder potrząsnął głową.

Milczeli chwilę. Doktór ujął go za rękę i wywiódł z sobą do drugiej komnaty, w której, oprócz referendarza Czarnkowskiego, znajdował się chwilowo marszałek Radziwiłł, na uboczu rozpytujący cicho Jakóba Zaleskiego o króla.

Zobaczywszy powracającego Górnickiego, Czarnkowski się zbliżył do niego.

— Mówiłeś z nim? — zapytał.

— Tak — rzekł starosta — i rozmowa była może dla chorego za długa. Zmęczyła go, ale odpuścić mnie nie chciał.

— Dał ci jakie rozkazy?

— Kazał mi jechać do Tykocina, abym mu jutro przywiózł dwa wizerunki: Elżbiety i Barbary, które zwykł był nosić przy sobie.

— Jutro! — podchwycił Czarnkowski smutnie — lecz któż wie, czyje jutro jest... Biedny pan! Nie wspomniał co o królewnie?

— I owszem — odparł Górnicki — los jej go obchodzi wielce, troskę ma wielką o nią.

Referendarz zamilkł.

— Doktorowie obaj — dodał po przestanku — żadnej już nadziei nie czynią. Jutro król na śmierć dysponować się będzie.

— Tem bardziej śpieszyć muszę do Tykocina — odezwał się starosta — abym ostatnią jego spełnił wolę i choć małą przywiózł pociechę.

Otarł łzę, podali sobie ręce.

Noc już była, gdy Górnicki się znalazł w podwórcu dworu królewskiego, który, choć cichym był, niemniej ludzi go mnóztwo napełniało.

Znając wszystkich, mógł starosta mimo ciemności rozpoznać tych, co się tu krzątali.

Krajczy i podczaszy z Konarskim, któremu król wszystko zwierzał i klucz od pieniędzy oddawał, stali przy ładujących się wozach. Widocznem było, że się śpieszono, aby z zaborem przewidywany już zgon króla uprzedzić.

Zaprzęgano konie, szeptali ludzie: ze śpichrzów wynoszono skrzynie i różny ładunek.

Jakób cześnik królewski, znany ze swej chciwości i bezwstydu, kręcił się także około wozów innych, z dworzanami: Platem, Kolfilskim i Kazanowskim.

Niektórzy z nich wcale na starostę nie zdawali się uważać, drudzy zmięszali się widząc go powoli przechodzącego podwórze i rozpatrującego się w tem co się tu działo.

Łatwa do poznania, po swej tuszy i zuchwałej postawie, Zuzanna Orłowska, jedyna z dawnych miłośnic króla, która była przytomną w Knyszynie, chodziła także pilnując rzeczy, które na gwałt tej nocy wyprawiano w świat, aby tylko z Knyszyna, obawiając się dnia następnego, gdyż biskup Krasiński, marszałek Radziwiłł i referendarz Czarnkowski mogli łupieztwo powstrzymać.

Zmięszany widokiem Górnickiego, krajczy przybliżył się do niego pozdrawiając.

— W przykrem jestem położeniu — rzekł — król wydał rozkazy, aby niektóre rzeczy i pieniądze rozdarowane, wysłać zaraz z Knyszyna. Muszę spełnić polecenie, a kto wie, jakie na mnie później spaść mogą potwarze. Nikt nie wie, że ja tu niczem nie rozporządzam, niczem.

— Tak — odparł Górnicki, starając się okazać obojętnym, choć się w nim krew burzyła, bo prędki był i do uniesienia się skłonny — dobrzeby było, panie krajczy, oprócz podczaszego inne świadki mieć woli króla, bo w istocie przewidzieć łatwo, iż się o roztrwonienie mienia ludzie później upomną.

— Wszyscyć widzą — odparł krajczy butnie — co się tu dzieje, świadków dosyć jest.

— To źle, iż ci sami świadkowie obwinionemi będą — zaczął Górnicki — więc zeznania ich niewiele wzbudzą wiary.

Chciał śpiesząc już odejść starosta, i oddalił się od Mniszcha, gdy od ganku ujrzał goniącego i dającego znaki referendarza Czarnkowskiego, który ująwszy go pod rękę, nie spojrzawszy nawet na krajczego, stojącego na drodze, wyprowadził za wrota.

— Widzieliście, co się dzieje! — zawołał, ręce łamiąc. — Gdy król oczy zamknie, nie będzie mu co dać do trumny. Dzisiejszej nocy rozgrabią resztę. Wiem, że Konarski co było grosza, rozesłał na wsze strony, tak, że z pieniędzy pożyczonych u gdańskich kupców

grosza pono nie zostało. Giżanka z Orłowską i innemi rabusiami pozabierały klejnoty, jednego nawet z licznych pierścieni i łańcuchów nie zostało. Co było sukna, szkarłatu, jedwabiu, futer, znikło wszystko. Pustki gdzie zajrzeć.

Do rana dzięki takim, jakim Jakób cześnik, Kniaźnik, Pągowski, który dziś jeszcze sobie przywilej na Bronowice zapieczętować kazał, nie mówię o innych i o wyżej stojących, do rana nie stanie u nas jednej misy srebrnej.

— Widziałem to — odezwał się starosta — ale radzić nie umiem, jeżeli wy nie potraficie, jeżeli ks. biskup Krasiński, marszałek Radziwiłł, nie mocni są temu się oprzeć. Krajczy i podczaszy jeszcze dosyć mają zachowania i łaski, aby nam wszystkim usta pozamykali.

— I dość bezwstydu, aby nawet śmierć ich nie powstrzymała od łupieży! — przerwał Czarnkowski zrozpaczony.

— Szczęściem — dodał Górnicki — król jakby przewidywał ten rozbój, co miał kosztowniejszego i co zachowanym mieć pragnął, wysłał do Tykocina, gdzie pod dobrą strażą rotmistrza Bielińskiego nikt nie tknie skarbu.

Król mi wyraźnie polecił, abym rotmistrzowi powtórzył, nie wydawać nikomu tykocińskich rzeczy, krom królewnej Anny.

Czarnkowski ręce podniósł do góry.

— Daj Boże tylko — dodał — aby panowie litewscy i koronni nie zagarnęli siłą co się słusznie jej należy...

Nazajutrz, gdy Górnicki do Knyszyna z wizerunkami żądanemi powrócił, zastał wszystkie okna otwarte, świece palące się około mar, a na nich ciało ostatniego z Jagiellonów, któremu do trumny pierścienia pożyczyć musiano.

Spodziewanym, przewidywanym był zgon króla, ludzie się przysposabiali zawczasu do obmyślenia mu następcy, a każdy więcej go dla siebie może wybierał, niż dla Polski; mówiono o blizkiej śmierci, a jednak, gdy z Knyszyna żałobna wieść: król umarł! rozeszła się po kraju i we wszystkich kościołach uderzono we dzwony, gdy gońce się rozbieżeli po całem królestwie i Litwie, zwiastując, że one pana nie miały, strach ogarnął niezmierny wszystkich.

Uczuli się bezbronnemi, wydanemi na łup samowoli zuchwałych i silniejszych — nikt życia i mienia nie był pewien.

Nie było króla, więc nie było sądów i sprawiedliwości — ustawała wszelka władza płynąca od tronu.

Nie wiedziano w początku nawet, komu zastępczo, tymczasowo zwierzone być miało zwierzchnictwo, kto miał prawo rozkazywać, kogo należało słuchać.

Nigdy za ludzkiej pamięci, nawet czasu wojen i napadów, tak powszechna trwoga nie objęła wszystkich; kraj stał otworem, bezbronny, na łasce nieprzyjaciół, a wewnątrz na samowoli wichrzycieli i możnych.

Jak gdyby Tatarowie lub Moskwa wtargnąć miała, obwarowywano zamki, opatrywano w broń dwory, kościoły kryły swe kosztowności, straże stawiano po nocach.

Po kilku dniach sąsiad zaczął dopadać najbliższych swych.

— Radźmy! co tu poczynać! Zjedźmy się. Nikt o nas nie myśli.

Ale kto miał zjazd zwoływać? dokąd się trzeba było skupiać?

Gromady zaczęły się zbiegać do miasteczek, gwarzono, wykrzykiwano, tracono głowy, rozpaczano.

Śmielsi docierali do grodów, do powiatów. Każda ziemia zaczęła zwoływać się osobno.

Kraj, co przez długie wieki całość stanowił spójną, osieroceniem się znowu rozbił na gromadki.

Małopolanie radzili o sobie, Wielkopolska u siebie, Litwa zamknęła się też w domu, Ruś w granicach, Mazowsze w swych lasach.

Strach pędził i dyktował pierwsze środki dla zabezpieczenia pokoju wewnętrznego i uniknienia zawichrzeń. Z gorącości wielkiej uchwalono drakońskie prawa przeciwko tym, którzyby się ważyli z bezkrólewia korzystać. Chciano za najmniejsze wykroczenia karać śmiercią.

Oglądano się z niedowierzaniem na senatorów.

Tam, w górze, wiadomość o śmierci króla może mniejsze uczyniła wrażenie, tylko to, co gorzało pod popiołem, poczęło pobłyskiwać jawnie,

Z góry odzywały się głosy, iż prędko pana wybierać należało.

Pana tego każdy miał gotowego w zapasie, ale kto, jak go wybierać mógł, kto okrzyknąć — nikt nie wiedział. Świeccy senatorowie radzi byli działać sami, najwyższy dostojnik Kościoła, będący zarazem najpierwszym senatorem państwa, głową i naczelnikiem, pierwszeństwo niezaprzeczone miał za sobą.

Szlachta nie chciała prawa wyboru ustąpić panom, panowie nie chcieli na tłum szlachty się zdać, zamieszanie w pojęciach praw tych panowało największe. Tradycya została zagubioną, albo raczej nie było jej wcale. Wybory panujących zawsze dotąd wiązały się z prawami krwi i dziedzictwa — dziś spadkobiercy zabrakło.

O królewnie jako dziedziczce tronu w tej pierwszej chwili zamętu nikt nie pomyślał.

Można śmiało powiedzieć, że pretendenci do tronu więcej się oglądali na królewnę Annę, niż senatorowie i duchowieństwo krajowe.

Biskupi i panowie lękali się tylko, aby Anna nie była przeszkodą do wyboru, aby nie dochodziła praw, nie stworzyła sobie partyi, nie związała im rąk.

I jeśli pomyślano o królewnie, to tylko, aby ją uczynić niewolnicą, odebrać jej wszelką możność działania, otoczyć ją strażą, nie dać się jej ruszyć i uczynić kroku.

Obawiano się Anny, tej osieroconej i bezbronnej, jak gdyby ona w istocie była widmem Bony, groźbą i postrachem.

Królewna w trwodze o życie brata pędziła dnie smutne na zamku, nie mogąc nawet pewnych mieć wiadomości z Knyszyna, gdy goniec od referendarza Czarnkowskiego nadbiegł z listem, zwiastując żałobną nowinę.

— Król nie żył!

Anna rzuciła się płacząc i mdlejąc na kolana, czuła, że w życiu jej przyszła godzina wielka, że powołaną być miała do piastowania tu sama, ona słaba, całej godności krwi swojej, że musiała stawać w obronie praw nie jej jednej, ale dynastyi służących.

Ale myśl ta przemknęła się jak błysk po skołatanej głowie, opłakać naprzód musiała brata i jedynego opiekuna, ofiarę niecnych służalców.

Zakwefiona czarno, poszła podtrzymywana przez sługi swe naprzód do zamkowego kościoła na pierwsze żałobne nabożeństwo. Tu padła na kolana, prosząc Boga o siły i natchnienie.

Wśród tej modlitwy czuła, jakby promień z góry padł na nią, jakby siła jakaś zstąpiła z niebios wołając ją do czynu.

— Jesteś ostatnią, wszyscy twoi przodkowie w tobie są i żyją, ich sławę i wielkość możesz albo pogrześć na wieki, lub ocalić i dać jej życie. Wstań, idź, działaj!

Głos ten powtarzał się w jej duszy jako wołanie Boże, jako rozkaz przyniesion przez aniołów.

Broniła mu się słabością swą i płakała, a nieubłagane wołanie trwało ciągle: Wstań, idź i działaj! Płakałaś długo bezsilna, dziś czas łez przeszedł, a nastał czas trudu i krwawych potów...

Mężną być musisz i niezwyciężoną; z grobów dziadowie nakazują ci, nie wypuść berła ich z dłoni.

Gdy po długiej modlitwie, czując się nią złamaną, powstała Anna, znalazła się zdumiona nagle silniejszą niż była. Duch w nią wstąpił, i ci co widzieli do kościoła idącą, z głową zwieszoną na piersi, chwiejącą się na nogach, zdumieli się, gdy powracała powoli z oczyma oschłemi, wyprostowana, z podniesionem czołem, w majestacie swego sieroctwa, jakby wiodła za sobą cały szereg zmarłych przodków.

Łzy niekiedy wytryskały jeszcze z pod powiek, lecz osychały natychmiast.

Gdy w chwilę potem starosta Wolski wszedł z pokłonem i kondolencyą, spojrzawszy na królewnę zdumiał się. Stała przed nim tak majestatyczna, pewna siebie, poważna, jaką nie widział ją nigdy.

— Stało się — rzekła do niego — kraj i ja sierotami jesteśmy, ale ja teraz dzieckiem się czuję tego państwa i pod jego opiekę oddaję z ufnością. Nie opuścicie mnie.

Skłonił się Wolski zapewniając, że wszyscy z miłością wielką przy swych panach stali zawsze i stać będą.

Anna zapytała go o szczegóły zgonu brata, o ostatnią godzinę, ale nikt więcej nad to nie wiedział, że skończył życie w Knyszynie, że tam nieład panował wielki w chwili zgonu i że ciało tymczasowo przeprowadzić miano do Tykocina.

Popłoch jeszcze panował taki, że starosta co do pobytu królewnej i przyszłego jej utrzymania nic nie umiał postanowić; nie rozkazywał nikt, nie wiedziano kto miał rozkazywać.

Anna po raz pierwszy ośmieliła się oświadczyć staroście, że co do osoby swej, czuje się swobodną i wolną postąpić tak, jak uzna właściwem. Wolski się nie sprzeciwiał.

Oczekiwano referendarza Czarnkowskiego, który przywieźć miał i wiadomości pewniejsze i skazówki jak postępować należało.

Następne dni królewna spędziła na nabożeństwie i rozmyślaniu, była milczącą i pogrążoną w sobie, jakby już teraz przyszły plan zakreślić chciała.

Każdego dnia wstawano z nadzieją, że Czarnkowski nadbieży, oczekiwano na niego do wieczora napróżno, a gdy i listy nie nadchodziły, odkładano nadzieję do jutra.

Następny ranek i wieczór tak samo upływał, a niecierpliwość rosła, Czarnkowskiego nie było.

Dnia jednego naostatek, jak zawsze żywy, ruchawy, mówny, na oko szczery, otwarty, wylany, z twarzą, która co chwila inne jakieś wyrażała uczucie zbyt dobitnie aby mogło być prawdziwem, przybiegł pan referendarz, cały w kirze i żałobie, i dramatycznie bardzo upadł przed królewną na kolana, ze łzami całując kraj jej szaty.

Któż w tym wybuchu żałości mógł się domyślać pocałunku Judasza?

Referendarz głośno deklamował.

— Pani moja, królowo! przybywam cały się oddać na twe usługi, stać w obronie twej, być twoim rzecznikiem! rozkazuj mi!

Gdy powstał i z kolei rękę ucałował i pohamowawszy zapał ten, począł ostygły mówić o zgonie króla, o stanie umysłów, o przyszłości, już wcale nie był tym człowiekiem, jakim wszedł przed chwilą.

Królewna rada go była słuchać, bo miała w nim wiarę niezachwianą; zdziwiło ją to tylko, że gdy ona czuła się powołaną do czynu, referendarz zalecał jej przeciwnie, nadzwyczajną oględność, aby najmniejszym ruchem śmielszym nie obudziła obaw i nie ściągnęła podejrzeń.

Według niego senatorowie obawiali się, aby sobie nie chciała zawcześnie zapewnić praw, których oznaczeniem oni sami mieli rozporządzać. Radził ostrożność, umiarkowanie, bierność.

Królewna słuchała go, nie śmiejąc się odzywać, ale serce jej biło — czego innego się spodziewała.

— Jeżeli ja całkiem zamilczę i o żadne prawa stać a przypominać ich nie będę — odważyła się przerwać — łacno one zostaną zabyte i mogą być sponiewierane.

— A! nie — przerwał Czarnkowski — my stojemy na straży, my nie damy was pokrzywdzić, ani zapomnieć o was, lecz panom senatorom narażać się nie należy.

Anna zamilkła; referendarz napomknął, iż nawet, zdaniem jego, należało się gdzieś królewnie usunąć, aby nie znajdować się tam, gdzie tłumne zjazdy i narady szlachty i panów się obiecywały. Nie chciał, by pozostała w Warszawie.

Musiał na twarzy królewnej dostrzedz przykre wrażenie, jakie ta rada uczyniła, gdyż natychmiast zręcznie odwrócił rozmowę na przedmiot inny.

— Ja stoję na stronie i czynnie tylko o obronę spraw waszych, miłościwa pani, działać będę, do wczesnych zabiegów nie mięszam się, ale już ze wszech stron słyszę głosy i domysły o wyborze przyszłego pana.

Królewna rzuciła pytające wejrzenie.

— Największa część głosów — dodał referendarz — jest za cesarzem, a raczej za jednym z synów jego. Sprawa to kardynała, który potrafił na stronę swą nawrócić nawet tak zażartych jak Firlej i Zebrzydowski wrogów, którzy jeden przeciwko drugiemu na złość iść mogli, a pójdą razem.

— Przejeżdżając przez miasta, wstępując do grodów — ciągnął dalej referendarz — miałem sposobność przekonać się, iż większość głosów jest za pośpiesznym wyborem i za Rakuszaninem.

Strach wielki opanował umysły, boją się wszyscy bezkrólewia, radziby jednej godziny pana sobie dać, aby lada warchoł nie panował i nie wichrzył.

— Ale na żaden sposób rychło się to stać nie może — odparła Anna. — Obmyśleć muszą sposób w jaki wybierać będą.

— Toteż śpieszą wszędzie ze zjazdami — dodał Czarnkowski. — Zaledwie jeden się rozszedł, zwołują drugi, myślą o trzecim. Zbiegali się po powiatach, zbiegają po ziemiach, a dalej chcą po prowincjach, dopóki wszyscy razem gdzieś się nie zbiorą, z Litwą pewnie też...

Królewna słuchała, Czarnkowski mówił z zapałem, a co rozpoczął o innym kandydacie do korony, jakby mimowoli nawracał do cesarza.

Przyszły na stół sprawy osobiste królewnej.

Miała ona testament brata i przekazaną znaczniejszą część skarbu po bracie, złożoną w Tykocinie pod strażą wiernego Bielińskiego, ale tego tknąć jeszcze nie było można. Tymczasem królewna żyć musiała, skarb był pusty, nie było komu nawet asygnować z niego, choćby się w nim co znajdowało.

— Nie wiem co mam czynić, biedna sierota — odezwała się Anna, widząc się sam na sam z Czarnkowskim. — Pieniędzy mi nikt nie pożyczy tu, ostatek sreber zastawiłam, nie godzi mi się okazywać w takiej chwili biedną i żebrać posiłku.

Referendarzu mój! przyjacielu nasz, pisz do Zofii, u której masz zaufanie, wstaw się za mną. Nieuchronna jest potrzeba, aby mi przysłała pieniędzy. Winnam już jej, to prawda, ale łatwiej Zofii dostać niż mnie, a ja, da Bóg, wszystko jej wrócę z nawiązką.

Czarnkowski nie śmiał odmówić.

— Niech wasza miłość pisze od siebie — rzekł — ja też popierać będę, lecz pierwszy się odezwać nie mogę.

— Czyń jak uznasz lepszem — mówiła Anna — pamiętaj, żebyś mnie zwłoką na wstyd nie naraził. Ostatkami gonię. Do skarbca tykocińskiego sięgnąć nie mogę, dopóki testament ogłoszony i przyjęty nie będzie.

Załamała ręce.

— Ciężkie nad miarę położenie moje — dodała — lecz się pocieszam tem, że trwać ono nie może, że panowie senatorowie myśląc o kraju, nie zapomną i o mnie.

Z następnych zaraz słów Czarnkowskiego widać było, iż chciał mówić o czem innem.

Zapewnił tylko, że do księżnej Brunświckiej pisać nie omieszka.

Anna chciała słać umyślnego, aby jechał i powracał z pieniądzmi, ale do tego jeden Rylski się nadawał, a o tem nie wiedziała, czy był ze Szwecyi z powrotem.

Po chwili znowu Czarnkowski jakby mimowoli o potędze cesarskiej i o mnogości przyjaciół Maksymiliana w Polsce mówić zaczął.

— Z tego co ja tu słyszeć mogłam — przerwała Anna — powzięłam owszem przekonanie, że wielu miał sobie bardzo niechętnych.

Wiesz jak Polacy o swobody swe są zazdrośni, obawiają się aby on ich im nie ukrócił, jak Węgrom i Czechom, coby mu tem łatwiej przyszło, że zaciężne wojska zawsze pogotowiu ma, i niemi a siłą co zechce uczyni.

Czarnkowski śmiał się z tych obaw.

— Miłościwa Pani — rzekł — kto to wie, czyby cokolwiek swobód nie należało ukrócić? Mamy ich może do zbytku, dlatego często nieład się wkrada i buta w prywatnych, gdy pan na tronie bezsilny. Ale ci co tak są troskliwi o swe przywileje, mogą przecie dopilnować, aby ich zachowanie poprzysiężono uroczyście.

Królewna miała już na ustach, gdy potem Czarnkowski wierność cesarza dla Kościoła wynosić zaczął, iż niemniej gorliwym synem jego był dom panujący francuzki, ale się zdradzić obawiała ze słabością swoją dla tego Henryka, którego wizerunek pełen młodzieńczego wdzięku ją oczarował.

Referendarz dotąd wcale się tego nie domyślając, gdy napomknął o Henryku Andegaweńskim, śmiać się począł z tego kandydata do korony, którego całe Niemcy od Polski przedzielały, a nimby on przybył tu, stronnictwo coby cesarzewicza wybrało, miało czas sprowadzić i ukoronować swojego. Nazwał to mrzonką niemożliwą i śmieszną.

Królewna Anna zarumieniła się milcząca i nic nie odpowiedziała.

— A! Na kandydatach zbywać nie będzie, nie licząc cara moskiewskiego, którego Litwa chce niby prowadzić, ale kardynał i tam z głowy wybił Chodkiewiczowi i Ra-

dziwiłłowi dziką myśl poddania się człowiekowi, który ani ludzi i ich żywota, ani praw szanować nie był nawykłym.

Mówią także o siedmiogrodzkim Stefanie Batorym, drudzy o Auguście księciu saskim, ale to są małe książątka, których u nas nikt nie zna.

Za księciem pruskim nie ma także komu stanąć tak dalece, ani za Janem szwedzkim.

Słuchała tego wszystkiego królewna, aż milczeniem uważnem zachęcony Czarnkowski, przyszedł do Piastów, śmiejąc się z tych, co życzyli sobie wybrać kogo ze swoich, a wyrzekali się nowej siły, jaką mógł przynieść panujący obcy, bogaty, mający sojusze za sobą i rodzinę.

Według niego, co łatwo było wyrozumieć, jeden cesarz miał największą pewność wyboru.

Anna posmutniała tem więcej, że referendarz zapędziwszy się tak i zapomniawszy o niej, o jej interesach i prawach wcale nie wspomniał.

Dopiero w końcu, pomiarkowawszy się, dorzucił Czarnkowski, iż młody Ernest ożenić się ofiarował... co na lice Anny rumieniec wywołało, ale jej wcale nie rozweseliło.

Miała w myśli i w sercu Henryka, ale to musiało pozostać tajemnicą, z której nikomu a nikomu zwierzyć się nie mogła. Zdawało się jej, że — mimo wszystko — Bóg, który go przeznaczył, potrafi przyprowadzić.

Rozmowa z referendarzem, który rozpoczął ją i skończył zapewnieniami najuroczystszemi swojego poświęcenia dla Anny i rodziny, nie pozostawiła po sobie wrażenia tak uspokajającego, jak się królewna spodziewała. Chciała jechać do Knyszyna, aby się znajdować przy przeniesieniu zwłok do Tykocina, Czarnkowski jej odrazu oświadczył, że pewnie panowie senatorowie będą temu przeciwni, a drażnić ich nie potrzeba. Obawiali się, jak mówił, aby królewna zbyt wybitnego nie zajęła stanowiska i samowolnie nie zażądała postępować sobie.

Referendarz prosił o cierpliwość, o umiarkowanie w pierwszych dniach, a ręczył, że on nie da krzywdy uczynić.

Z tych półsłówek trzeba się było domyślać, że dokoła królewnej niewidzialne osnuwały się jakieś środki, aby nad każdem poruszeniem jej czuwać. Ulękła się nieco i zaniepokoiła.

Czarnkowski, który wszystkim dworował, kim się albo posłużyć mógł, lub jakąś korzyść wyciągnąć dla siebie, od królewnej wyszedłszy, dał się pochwycić dawno sobie znajomej poufale Żalińskiej, która go do swojej izby zaprowadziła; po drodze już narzekając na panią, bo do tego tak już była nawykła, że się powstrzymać nie mogła.

— A, panie referendarzu — mówiła, ręce podnosząc i wywijając niemi dramatycznie — a! zmiłuj się pan, wpłyń powagą swoją na królewnę, aby się nie gryzła nadaremnie, nie rzucała tak, nie stękała, a czekała spokojnie, co panowie senatorowie zaradzą i postanowią.

Mam z nią kłopot niewypowiedziany... zrywa się jechać do ciała królewskiego, na pogrzeb, a tu powietrze, a tu na podróż pieniędzy nie ma... Do koła nas intrygi i intryganci... — Każdy jej coś podszeptuje, wszystkich słucha, nie wiedzieć co jej po głowie chodzi, a mnie starej, wiernej, doświadczonej piastunki nie chce wierzyć i zaufać.

Czarnkowski głową wahał.

— Wiele królewnie przebaczyć należy — rzekł — zbolała jest, biedna... a ma przed sobą jeszcze niemało do przebycia...

Waćpani ją staraj się uspakajać i wmawiać, aby bez porady starych przyjaciół nie czyniła nic... niech się nie porywa... Senatorowie i tak obawiają się jej.

Żalińska łamała ręce.

Zalecał referendarz jak największe umiarkowanie i cierpliwość, a gdy ochmistrzyni uskarżać się zaczęła na niedostatek, zaręczył, że prymas, życzliwy królewnie, on i inni obmyślą dla niej teraz środki utrzymania odpowiednie.

W tem wszystkiem co tu przynosił Czarnkowski było trochę prawdy, ale nie cała.

Królewna nie czuła jeszcze i nie widziała tego, jakiemi ją strażami obstawiono, jak każdy krok jej był pilno badany. Panowie senatorowie, naówczas w Warszawie będący, w pierwszej chwili popłochu przewidywali, że Anna zechce sobie nadać zbyt przeważną rolę, że może opanować owe skarby tykocińskie, na które i Litwa i Korona zęby ostrzyły, otoczyć się partyą, uchwycić przewagę, pokierować elekcyą, narzucić im pana...

Lękano się jej energii, chociaż dowodów jej nie dała jeszcze.

Pierwszy Talwosz, który biegał, podsłuchiwał, wywiadywał się, szpiegował, doszedł do tego, iż Annę chciano koniecznie tak ścisłą otoczyć strażą i dozorem, aby kroku samowolnie uczynić nie mogła.

Pierwszy też on przybiegł przelękły donieść jej o tem.

— Miłościwa pani — rzekł żywo — z pomocą referendarza, jeżeli on istotnie wiernym jest, trzeba się temu opierać, a nie dać się uczynić niewolnicą.

Wiem na pewno, że miłość waszą chcą z Warszawy wyprawić, do jej boku dodać senatorów, którzyby z oka nie spuszczali; z Warszawy pod pozorem powietrza wysłać do Płocka lub do Łomży. Mówią, że nawet posłańców i listy będą przejmować, aby bez wiedzy senatorów nic z tych nie wyszło ani do Sztokholmu, ani do Brunświku.

Królewna zbladła słuchając, lecz tak bardzo teraz już zastraszyć się nie dała. Pomyślała chwilę.

— Sprobójmyż — odezwała się — czy ja jeszcze wolną jestem lub nie. Każ waszmość kolebki i mozaiki przygotować, pojadę do Błonia. Wprawdzie dwór tam nie zbyt wygodny, ale ja o to nie stoję wielce. Zobaczymy, czy mnie kto wstrzymywać się pokusi.

Talwosz pobiegł wydać rozkazy.

Natychmiast dano o tem znać referendarzowi i innym senatorom, zrobił się ruch pewien, naradzano się, biegano, ale postanowiono nie trwożyć królewnej, stawiąc jej przeszkody do wyjazdu.

Nazajutrz jechała do Błonia.

Talwosz, który wił się i kręcił, aby coś pochwycić i przestrzedz, dowiedział się tymczasem, że dwaj Francuzi, wysłani przez królowę matkę z Paryża, starali się w sekrecie dostać do królewnej i u niej mieć posłuchanie.

Wahał się, czy ma o tem oznajmić królewnie lub nie, i w niepewności tej, nie wiedząc jak sobie radzić, udał się do Dosi Zagłobianki.

Nikt, ani nawet ona nie wiedziała stanowczo, kogo sobie życzyła Anna: cesarzewicza Ernesta, czy francuzkiego Henryka, ale przenikliwe oko kobiety odgadło, do czego się królewna nie przyznawała.

W Błoniu więc, gdy Talwosz odpoczywał, nimby się znowu na zwiady puścił do Warszawy, Dosia poszła do swej pani, tak się wyrachowawszy, aby jej Żalińska podsłuchać i przeszkodzić nie mogła.

— Królowo moja — rzekła, przyklękając przed nią i całując jej ręce — Talwosz przybył z Warszawy... ale to, co z sobą przywiózł, tylko waszej miłości może być wiadomem. Są posłowie z Francyi od królowej matki do was, którzyby się potajemnie z miłością waszą widzieć i rozmówić potrzebowali.

Zagłobianka spojrzawszy na swą panią, spostrzegła na jej licu tak żywe poruszenie, w którem mimowoli się radość przebijała, a razem taki przestrach, iż ją to potwierdziło w domysłach.

— A! na Boga! — odezwała się głos zniżając królewna i pochylając się do Dosi — ja o tem wiedzieć nie powinnam. Lękam się o nich. Gdybym nawet chciała i dozwoliła, niepodobna ażeby potrafili się do mnie dostać niepostrzeżeni. Ty wiesz, żeśmy otoczone stróżami.

Niespokojna wstała Anna.

— Co tu począć? co począć? — zawołała. — Ja im nic, nic ułatwić nie mogę. Niech Talwosz strzeże się też, bo co on uczyni, to na mnie spadnie, ja odpowiadam za niego.

Bez panów senatorów wiedzy mnie osobno nie wolno widzieć nikogo, z nikim się układać! Ty wiesz, że nawet do sióstr listu przesłać mi nie dają, i jeśli referendarz ich nie przekradnie, nawet do nich pisać nie mogę.

Ale sąż pewnie ci posłowie?

— Talwosz nawet wiedział ich nazwiska — dodała Dosia. — Ostrożnie bardzo starali się tu przekraść, lecz widać, że mieli trudności, gdy dotąd się nie zgłosili.

Anna łamała ręce i rozważała co ma czynić. Mówiła sama w sobie.

— Potrzeba tę niezmierną bojaźń senatorów ukołysać, choć na pozór będąc w początkach im posłuszną. Wyrzec się więc podróży na pogrzeb do Knyszyna, aby się nie obawiali tam pozyskania serc i skupienia wiernych nam koło mnie.

Po namysłach królewna kazała zalecić Litwinowi, aby ostrożnym był i do niczego się nie mięszał czynnie, a wszystko miał na oku.

Sprowadzono go wreszcie na chwilę do Anny, w chwili gdy się wtargnięcia i podsłuchania Żalińskiej nie obawiano.

— Talwoszu mój — odezwała się Anna — niech ci Bóg płaci za twoje serce dobre i wierne posługi; nie opuszczaj ty mnie, ale nie daj się złapać na żadnej niemiłej senatorom imprezie. Musimy ich uspokoić. Widzisz jak czuwają nademną, jak gdybym nieprzyjacielem była!

— Niech miłość wasza tylko — rzekł Talwosz — zbytniej im uległości nie okazuje, ani nadto posłuszeństwa. Swoją wolę powinna pani nasza mieć i swą godność zachować. Senatorowie dobrze czują, co znaczy dziś dziedziczka tronu ze krwi i dlatego się jej obawiają. Wasza miłość masz potęgę wielką. Nie trzeba się dać krępować.

Słuchała królewna.

Talwosz ucałowawszy jej ręce, zawinął się i pod pozorem rzeczy potrzebnych, zapomnianych na zamku w Warszawie, puścił się zaraz z Błonia do Warszawy.

Nazajutrz przybywał Czarnkowski, zawsze jako przyjaciel i sługa najwierniejszy, chociaż los królewnej nie tyle go obchodził, co własne rachuby na cesarza.

Był on zręcznym posłem senatorów, kanclerza Dembińskiego, wojewody Firleja i innych, chociaż utyskiwał na ich despotyzm i zbyt surowy nadzór nad Anną.

Królewna poskarżyła mu się naprzód, że listów jej do sióstr nawet nie było wolno wyprawić, że i nad tem czuwano. Oburzony Czarnkowski podjął się pośrednictwa, obiecywał je potajemnie wysyłać. Oprócz tego zapewnił, że senatorowie obiecywali opatrzenie, pieniądze, ludzi, dwór dla królewnej stosowny, ale prosili, aby z okolic Warszawy dla powietrza usunęła się do Płocka.

Nie przyznał się do tego, o czem wiedział dobrze, iż chciano królewnę dlatego oddalić, bo myślano o zwołaniu sejmu w Warszawie, a przytomność jej na niem nie była na rękę panom. Obawiali się uroku wspomnień, skupienia ludzi około niej, przewagi, jakąby ona uzyskać mogła.

Anna łatwo się tego domyśliła. Same okoliczności uczyły ją co czynić miała. Instynkt wskazywał, aby to czyniła właśnie, czego jej zabraniali ci, których za nieprzyjaźnych musiała mieć.

Nawet z Czarnkowskim, któremu ufała całkiem, o tem, co najbardziej na sercu miała, nie mówiła wcale.

O posłach francuzkich referendarz albo nie wiedział lub mówić nie chciał. Przestrzegł tylko królewnę, ażeby ani nawet z cesarskiemi wysłańcami, bez wiedzy jego się nie zbliżała i nie wiązała niczem.

Referendarzowi szło o to, aby cesarz jemu nie komu innemu zawdzięczał pomyślny obrót swej sprawy.

Pokrótce i niezbyt wiernie zdawszy sprawę Annie ze zjazdu w Łowiczu, Czarnkowski powrócił nazad do Warszawy, oznajmiwszy tylko, że na wyjazd do Płocka nalegać będą.

Położenie tej osieroconej córki królów, która nigdy spraw ważniejszych w ciągu dość już długiego życia nie dotykała, a teraz sama sobie musiała radzić, czując, że na nikim się bezpiecznie oprzeć nie zdoła, było zaprawdę trudnem.

Można było, nie znając tego ile czasem sił zamknięta dusza ludzka przyzbierać może w sobie, przewidywać, że się da złamać i nie podoła walce.

Tymczasem w miarę trudności jakie się rodziły, przeszkód, zawad, umysł się budził, rosła energia, instynkt dobywał z głębi.

Anna dawniej płacząca, milcząca, modląca się, zajęta swojemi wychowankami, dobremi uczynkami, ogródkiem, podarkami dla sióstr, drobnostkami życia niewieściego, nagle umiała zająć stanowisko, z którego jej cała siła gromady senatorów zepchnąć nie zdołała.

Potrafiła milczeć, a w chwili stanowczego wyboru zawsze pójść w kierunku, który przyszłości nie zagradzał.

Niezupełnie próżnemi okazały się obawy Firleja i Dembińskiego, którzy się w niej odrodzonej Bony lękali. Nie rozpoczynając walki, nie wypowiadając wojny, pozornie im nawet ulegając, Anna umiała tak swą godność i niezależność zachować, iż musieli ciągle się z nią rachować.

Oni też przeciwko niej wystąpić jawnie nie mogli — opasali tylko żelaznem kołem.

Po kilku dniach Talwosz zjawił się znowu. Przywoził wiadomość, ze posłowie francuzcy kręcili się w okolicy, że trudno im było ważyć się do królewnej, bo ich już wytropiono i śledzono... że może nawet nie dostaną się do niej, ale mieli być dobrej myśli i ufali, że ich królewicz pozyszcze sobie dosyć przyjaciół, aby uprzedzić i zwyciężyć cesarzewicza.

Gdy to mówił, królewna obojętną udając, stała z oczyma spuszczonemi — lekki rumieniec przebiegł po jej twarzy. Talwosz przewidywał, że senatorowie na wyjazd z Warszawy do Płocka nalegać będą, i zdawało mu się, że można ich było usłuchać. Kto wie, czy w Płocku Anna spokojniejszą i swobodniejszą być nie miała?

Królewna nie odkryła się z tem, co myślała, kazała jednak Talwoszowi, aby na wszelki wypadek dwór się gotował do podróży.

I znowu nadbiegł Czarnkowski, tym razem z przyjacielską i wiernego sługi radą, ażeby Anna usłuchała senatorów i jechała do Płocka.

Królewna wyraziście mu w oczy popatrzyła.

— Nie będę się opierać — rzekła — jeżeli zechcą, pojadę; spodziewam się tam nareszcie spotkać z moją kochaną krajczyną Łaską, a tak mi dobrze czekać na jakiś koniec tam jak tu.

— Powietrze zbliża się do Warszawy! — dodał referendarz.

Uśmiechnęła się Anna.

— Panie mój — odparła — o ile ja wiem, równie ono grozi i w Płocku, ale wola Boża i opieka jego nademną wszędzie jedna!

Westchnęła.

— Pojedziemy więc do Płocka.

Czarnkowski miał jeszcze coś do oznajmienia, z czem się wahał, bo chciał niemiłej nowinie nadać pozór jakby była pomyślną.

— Panowie senatorowie — odezwał się — takby radzi czuwać nad miłością waszą, tak chcą jej bezpieczeństwo zapewnić i wszelkim jej wymaganiom zadość uczynić, iż zamierzają pono do osoby jej dodać dla powagi i uświetnienia dworu dwu z pomiędzy siebie, zacnego ks. biskupa chełmskiego Wojciecha ze Staroźreb Sobiejuzkiego i wojewodę płockiego Uchańskiego.

— A! rozśmiała się królewna — straż tedy mi postawią, abym im nie zbiegła.

Poruszyła ramionami. Czarnkowski się zmięszał nieco.

— Ale miłość wasza swobodną będziesz przy tej straży, jak gdybyś żadnej nie miała — rzekł żywo — a oni przynajmniej czuwać muszą, aby jej i dworowi na niczem nie zbywało.

— Dziękuję za tę troskliwość — dodała wzdychając Anna. — Niech będzie, jak postanowią senatorowie. Widzisz, kochany referendarzu, iż powolniejszą nademnie być niepodobna? nie prawdaż?

Skłonił się Czarnkowski, usiłując zaraz czem innem zatrzeć wrażenie.

Uprzedzał królewnę, że chodziły ciągle pogłoski o francuzkich posłach, potajemnie się uwijających, a drudzy i o cesarskich też wysłańcach podobnych do królewnej opowiadali.

— Ale, miłość wasza — dodał referendarz bardzo żywo i gorąco — nie powinnaś ani jednym ani drugim dać przystępu do siebie. Z godnością waszą się to nie zgadza, aby tajemniczym knowaniom podawać rękę!

— W tem macie zupełną słuszność — przerwała Anna — ani potrzebuję, ani chcę nic czynić sekretnie. Jedne tylko moje listy do sióstr muszą mi w ten sposób za pośrednictwem waszem przekradać, ale gdzie o stosunki między rodzeństwem chodzi, tam panowie senatorowie nosa wtykać prawa nie mają.

Czarnkowski ręce na piersiach skrzyżowawszy potakiwał.

Słyszał on coś już o wysłańcu cesarza do Anny, i lękał się, aby ona wprost się nie porozumiała z Maksymilianem, boby on naówczas i jego robota, za którą mu znaczne pieniądze obiecywano, na nic się nie przydała. Anna go zupełnie uspokoiła.

Dawno temu, za czasów gdy żył jeszcze Zygmunt Stary i królowa Bona królowała, zjawiło się na dworze jej chłopię, włoskiego pochodzenia, rodu jakoby znakomitego, ale podupadłego, a zwano je Alfonsem Gastaldi.

Na dworze Zygmunta wychowywał się ładny, żywy, dowcipny, nad wiek swój rozumny a przebiegły ulubieniec starej królowej. Uczono go, pieszczono i bawiono się nim na dworze.

Obok włoskiego języka, Gastaldi nauczył się doskonale po polsku.

Zdawało się, że dorósłszy utrzyma się przy dworze i mając opiekę a łaski wynieść się potrafi i zająć każde stanowisko.

Nagle stało się coś niezrozumiałego. Gastaldi z wielkich faworów popadł w niełaskę, a wkrótce potem z listami polecającemi go zjawił się na dworze cesarskim.

Utalentowany młodzieniec, pięknej powierzchowności, zalecony dobrze, zyskał tu posadę, umiał się podobać i stał się cesarskim sługą.

Królewna Anna znała go dobrze. Widywała często, lubiła dosyć...

Teraz, gdy do Polski potrzeba było ludzi, którzyby ją znali i wiedzieli, jak się tu obracać potrzeba, nastręczył się Gastaldi.

Mógł jako na pół Polak, mający pono nawet pewne prawo obywatelstwa, zjawić się tu nie budząc podejrzeń, i jednać cesarzowi przyjaciół. Charakter, temperament, natura czyniły go do tego bardzo sposobnym.

Czarnkowski, który o wszystkiem co spraw cesarza w Polsce się tyczyło był doskonale uwiadomionym, w Warszawie po wyjeździe królewnej do Płocka otrzymał niepokojącą wiadomość, że Signor Alfonso Gastaldi był już w Polsce, a co gorzej, że miał polecenie potajemnego widzenia się z królewną i zawarcia układów o małżeństwo jej z Ernestem.

Przestraszył się niezmiernie referendarz; znaczyło to wyrwanie mu całej zasługi, że on na tron wprowadził rakuskiego pana.

Wiedział Czarnkowski, że nie był sam jeden w Polsce, któremu powierzono sprawę elekcyi, ale dotąd zdawało mu się, że on mógł być głównym czynnikiem. Uląkł się, aby go nie podszedł Gastaldi.

Signor Alfonso był królewnie dobrze znany, zabiegliwy i zręczny.

Anna już była wyjechała do Płocka z dosyć licznym dworem wiernych sług swoich i dodanych jej wiernych sług panów senatorów. Nie mogła się uskarżać teraz ani na brak czci, ani na małą troskliwość; kłaniano się jej, posługiwano, lecz otaczano tak ściśle, tak szczelnie, iż nawet zręczny Talwosz i przebiegła Dosia nie mogli ani świstka, ani rozkazu przenieść, nie będąc zaraz wyśledzeni.

Zaopatrywano wszelkie potrzeby, ale czujne warty stały widzialne i niedostrzeżone dokoła.

Pan wojewoda Arnolf Uchański wyjechał naprzeciw królewnej, czekał na nią łagodny, uśmiechnięty biskup Wojciech, na zamku znalazła przygotowane na przyjęcie komnaty, spiżarnie zaopatrzone, lecz u wrót straże i sługi nieznane, które się nastręczały do wszystkiego, aby nic się bez nich nie działo.

W pierwszych chwilach przykre wrażenie niewoli zatarła radość z widzenia krajczyny Łaskiej, przyjaciółki serdecznej i żywej, czynnej, niezmordowanej do posług, szczerze do królewien przywiązanej.

Z nią razem przybywała sierotka Zofia Łaska, dziewczę skromne i łagodne, którą Anna przyjęła serdecznie i chciała, aby przy niej została, widząc w niej „wielką sierotę", jak się wyrażała, a sama też ona była sierotą największą.

Musiano się urządzać na zamku, rozpatrywać we wszystkiem, a nadewszystko Anna potrzebowała serce swe całe wylać przed przyjaciółką krajczyną.

Całe, aż do jednego tajemniczego zakątka, który pozostał zakryty nawet dla niej, bo się go odsłonić wstydziła.

Tego co czuła dla Henryka, swoich nadziei na francuzkim królewiczu pokładanych, nawet krajczynie się zwierzyć nie mogła.

Ludzie posądzać ją, domyślać się, przeczuwać coś zdołali może, ona się przyznać nie chciała, aby nie rumienić się potem, gdyby Bogu podobało się dotknąć ją nowym zawodem.

Z małemi odmianami ten sam dwór, ciż ludzie co w Warszawie otoczyli ją w Płocku, lecz miała tu krajczynę jako tarczę i obronę od nieznośnej zawsze Żalińskiej i jej syna; Zosię sierotkę, której Dosia Zagłobianka stała się towarzyszką i opiekunką. Troski o chleb powszechny nie tak były w Płocku dokuczliwe.

Towarzystwo codzienne pomnożyło się przybyciem biskupa chełmskiego, który był gościem ciągłym, a prawie każdego też dnia zjawiał się wojewoda Uchański, na pozór z uszanowaniem, w istocie dla zbadania, czy się tu co nie knuło potajemnie.

W parę dni po przybyciu do Płocka, czynny Talwosz już się rozpatrzył, poznał z ludźmi, zyskał niektórych i obracał się tak swobodnie jak w Warszawie, a przez Dosię, bo mu to było najmilszem, zawiadamiał królewnę gdy dostał języka.

Najgorzej na przesiedleniu wyszła Żalińska, która mniej się mogła narzucać i nie tak nieznośnie zrzędzić. Krajczyna w różny sposób zamykała jej usta, a pana Matyasza, nastręczającego się do posług, zbywała ostro.

Oszczędzano królewnie chwil nieprzyjemnych, choć trosk zawsze jej dosyć pozostawało.

W kilka dni Talwosz przyniósł wieczorem z miasta wiadomość, iż na pewno w okolicy znajdował się pan Alfons Gastaldi, który miał wszelkich środków użyć, aby się wkraść na zamek i dostać do królewnej.

Nie zdawało się to ulegać wątpliwości, chociaż razem z tą chodząca wieść, jakby przy nim przebrany znajdował się arcyksiąże Ernest, który osobiście chciał poznać i zalecić się królewnie, wyglądała na bajeczkę.

Dosia pobiegła o tem zaraz zwiastować swej pani, sądząc, że może sprawi jej tem przyjemność, ale wzbudziła tylko przestrach wielki.

Królewna Anna kazała natychmiast przywołać Talwosza.

— Cóżeś to za plotki przywiózł z miasta! — odezwała się, podchodząc ku niemu.

— O Gastaldim nie plotka — rzekł Litwin — ale najwierniejsza prawda. Nie wiem, czy on się tu dostanie, ale że po okolicy uwija się i o to stara, nie ma wątpliwości.

— Ja go widzieć ani chcę, ani potrzebuję — przerwała Anna smutnie. — Wolałabym zapobiedz temu, aby się do mnie nie dostał.

Talwosz nie umiał na to odpowiedzieć. Przynosił co słyszał, lecz sam nie miał sposobu ani sprawdzić pogłoski, ani się zbliżyć do wysłańca cesarskiego. Był tu człowiekiem nowym, a Gastaldi, wedle wszelkiego podobieństwa, musiał się chyba posługiwać dawnemi swemi znajomościami na dworze.

Królewna przeszła się parę razy po komnacie zasępiona.

— Talwoszu mój — rzekła w końcu, obracając się do niego — pilnujcie wy, proszę, na zamku, aby się ludzie obcy i nieznajomi nie wciskali. Mam i tak dosyć kłopotu z panami senatorami, którzy mi nie dowierzają, podejrzywają... Nie chcę nic robić potajemnie, z nikim widzieć się, mówić, nie potrzebuję.

Gastaldi jest bardzo zręczny i śmiały, trzeba się mieć na baczności.

Z tem wyszła Anna. Na zamku pilnowano się o tyle, o ile było można, aby obcych nie wpuszczać. Ale ludzie z miasta wchodzili ciągle, przywożono rzeczy różne, przybywali do urzędników zamkowych meldujący się nieznajomi, tak, że dopilnować się było trudno. Królewna zamknęła się niespokojna w swoich komnatach z krajczyną i Zosią. Wychodziła tylko do biskupa i wojewody, oczekiwała na Czarnkowskiego, który był niezmiernie czynny.

Miał w istocie wiele na głowie: musiał utrzymać się w łaskach i zaufaniu królewnej, nie zaniedbywać księżnej Zofii i nie dać w podejrzenie senatorom, a oprócz tego i przedewszystkiem służyć cesarzowi, po którym się najwięcej spodziewał.

W całym kraju wrzenie i niepokój nie ustawały. Na oko najsilniejsze było stronnictwo cesarskie i cesarz miał zdawna tu oddanych sobie, a blizkość granic Polski ułatwiała mu przygotowania do elekcyi. Przez kardynała Commendoniego pewien był poparcia duchowieństwa. Wszystko więc zdawało się mówić za nim. Lecz, pomimo zbliżenia się, jakie z niesłychaną zręcznością Commendoni umiał wyjednać u Firleja i Zborowskich, stara waśń i antagonizm pod popiołami gorzała. Można było przewidzieć, że gdy Firlej chwyci się jawnie cesarskiej strony, przeciwnicy pójdą za innym kandydatem.

Tegoż dnia gdy Talwosz oznajmił królewnie o Gastaldim, a ona oczekując na Czarnkowskiego z trosk swoich nawet krajczynie się zwierzyć nie chcąc, zamilkła zafrasowana wielce, wieczorem przyszedł zwykły ból głowy, który często ją trapił.

Pożegnawszy więc wcześniej niż zwykle obie Zofie, przywołała Dosię i poszła z nią do swej sypialni na spoczynek.

Zagłobianka niosła świece przed Anną, a że w komnacie była jak u siebie i wszystko tu własnemi rękami uporządkowywała, uderzył ją na stole spory zwitek papierów, który ukazała idącej za sobą królewnie.

— Niech już miłość wasza — rzekła — da dziś pokój wszelkiemu czytaniu a oczu i umysłu nie męczy.

— Ale cóż to być może? — zapytała Anna niespokojnie.

— Ja nie wiem — odparła Dosia — sądziłam, że wasza miłość samiście tu te papiery złożyli.

— Żadnych nie miałam dziś! — odparła królewna zbliżając się do stolika.

Na wierzchu leżał półarkusz papieru, nieforemnie złożony, jeszcze gorzej przypieczętowany, który Anna niespokojnie rozerwała.

Wewnątrz, ręką jakąś czy niewprawną, czy niechcącą się zdradzić stało tylko słów kilka, które przeczytawszy prędko, obejrzała się królewna, palec położyła na ustach, dała znak Dosi, aby milczała i szybko papiery schowała do stojącego u łoża stoliczka. Na licu jej malował się niepokój wielki.

W milczeniu poczęła się królewna rozbierać, nie rozmawiając nawet z Dosią, bo się obawiała, aby Żalińska lub syn jej z bocznej komory nie podsłuchiwali. Zagłobianka rada była wiedzieć zkąd się tu wzięły te papiery tajemnicze, ale pytać się nie śmiała.

Weszła w tej chwili Żalińska, rzuciła okiem dokoła i zbliżyła się do Anny.

— Cóż to? tak wcześnie do łóżka? — zapytała.

— Głowa, głowa mnie znowu boli — cicho i bojaźliwie odparła Anna.

— Jak nie ma boleć! — prawie szydersko poczęła stara, biorąc się w boki — kto cały dzień stęka, piszczy, narzeka jak wy, musi w końcu napytać biedy.

Nie trzeba się tak pieścić.

— Żalińska moja! — z wymówką odparła Anna — możeszże ty mi to wyrzucać?

— Ależ bo w istocie królewianko moja — wołała ciągnąc dalej ochmistrzyni — sami już nie wiecie czego chcecie?

— Na ten raz, Żalińsiu, chcę tylko odpocząć — odezwała się królewna — Dosia posiedzi przy mnie. Dobranoc.

Odprawiona tak ochmistrzyni usta zagryzła.

— Ja wiem, że moje usługi już teraz niemiłe i niepotrzebne — ciągnęła dalej — ani ja, ani Matyasz nie mamy łaski.

— Jesteś niesprawiedliwą — słabym głosem poczęła Anna — bądź pewną, że serca nie straciłam do ciebie, ale... proszę cię... w tej chwili daj mi spocząć... głowa boli bardzo.

Żalińska porwała się gniewna, i niezrozumiałego coś mrucząc, wybiegła szybko, stukając drzwiami za sobą, co królewna zniosła cierpliwie.

Tym sposobem uwolniwszy się od Żalińskiej, rozkazawszy Dosi opatrzeć drzwi, Anna w łóżku już poczęła rozpatrywać papiery, które znalazła na stoliku.

Karta do nich przyłączona pisana była ręką Gastaldiego, a listy pochodziły od cesarza Maksymiliana, który wprost z królewną chciał się układać o zaślubienie z nią Ernesta i odziedziczenie tronu polskiego.

Czytając je serce biło gwałtownie, oczy zaszły łzami, dziwne jakieś uczucie trwogi ogarnęło ją, smutek po straconych nadziejach. Miała niewysłowiony wstręt do rakuskiego pretendenta i do tego domu, z którym związki nigdy dla Jagiellonów korzystnemi nie były, przynosiły z sobą zawsze zawody i smutki. Pod klucz schowawszy te niebezpieczne, a nie wiedzieć w jaki sposób podrzucone papiery, Anna długo odezwać się nie mogła słowa. Dosia zdala czekała w kątku na rozkazy. Skinęła na nią.

— Na Boga, Dosiu moja — szepnęła jej do ucha — o papierach tych nikomu ani słowa! ale jeżeli się dowiedzieć możesz, dojść, dośledzić, kto je tu położył, jak się na stół mój dostały, a! będę ci bardzo wdzięczną. Powracaj do mnie, jeżeli się co dowiesz, ja spać nie będę... połóż się tu u mnie blizko.

Drżę jeszcze cała.

Rozpłakała się królewna. Zagłobianka kilku słowy uspokoiwszy ją nieco, wybiegła natychmiast na zwiady. Sama nie wiedziała jak spełni rozkazanie. Pierwszą spotkała Żalińską, która dla syna (choć nie lubiła Dosi) oszczędzać ją musiała.

— Cóż to się Annie stało? — poczęła ochmistrzyni. — Znowu głowa! znowu nas będzie męczyć piskiem i udaną chorobą.

— Ja o niczem nie wiem — obojętność udając i namyślając się, odparła Dosia. — Królewna wchodząc do sypialni postrzegła, że jej tam ktoś książki i papiery porozrzucał. To ją rozgniewało. Nie wiecie kto tam w sypialni gospodarował?

Oburzyła się Żalińska.

— Kto? gdzie? w sypialni? a to mi się podoba! Nikt nie może się dostać do niej bez mojej wiedzy... ja nie wychodziłam nigdzie. Śni się wam, nikt nie ruszył nic. Chyba ta nowa wychowanka wojewodzianka Zosia, poprzewracała szukając.

— Ale nie — zaprzeczała Zagłobianka. — Ktoś obcy musiał się wkraść.

— Obcy? a ja tu od czego? — gniewnie oburzyła się Żalińska. — Oprócz stróża, który drewka na komin przynosił, żywej duszy nie było.

Zmilczała Dosia i urywając rozmowę wybiegła do sieni. Szukała oczyma Talwosza, stał on wypatrując jej właśnie, a zobaczywszy wychodzącą domyślił się że był potrzebnym.

W kilku słowach opowiedziała mu Zagłobianka o co chodziło; Litwin zrozumiał, dał znak aby czekała na niego i pobiegł na podwórze.

Dosi nie było bardzo przyjemnie stać w antykamerze, gdzie ją zaraz otaczano, bo nie było między dworzanami młodszemi jednego, któryby się do niej nie zalecał, choć wszystkich wyśmiewała, lecz musiała.

Z kolei ilu ich było przychodzili się nastręczać do posług i odprawieni usuwali się kwaśno. Jedno to ich mogło pocieszać, iż żaden z nich nie miał się czem pochwalić.

Nawet poważny Koniecki, choć dostojeństwo swe ochmistrza nosił teraz jeszcze majestatyczniej w Płocku niż w Warszawie, przyszedł pięknej Dosi się pokłonić.

Talwosza długo nie było, Zagłobianka już się miała cofnąć nie doczekawszy go, gdy powrócił nareście, ale przy Konieckim mówić nie było można.

Dosia wprowadziła go z sobą do przedpokoju.

— Znalazłeś stróża?

— A jakże — odparł Talwosz — nie czyni on z tego tajemnicy, iż za biały grosz, który mu dał jakiś bardzo poważny pan, już nie młody, ofiarował się papiery, nikomu ich nie dając, położyć w sypialni królewnej.

— Nie doszliście kto to był? — spytała Zagłobianka.

— Stróż zaprzysięga się, że go pierwszy raz widział w życiu — mówił Talwosz — ale tak dostojnie wyglądał, iż czuł się w obowiązku usłuchać go, zwłaszcza gdy groszem poparł swoje żądanie.

Poszedłem potem na zwiady po zamku, do wrótnych, czy kogo nie widzieli obcego wchodzącego na zamek; powiadają, że połowy tych co tu teraz przybywają nie znają i pierwszy raz ich widzą. Dojść bardzo trudno. Obawiam się tylko, abym dochodzeniem tem nie obudził niepotrzebnie uwagi tych, co nas tu na każdym kroku śledzą.

Z niewielką zdobyczą powróciła Dosia do królewnej, którą znalazła z różańcem w ręku w łóżku, niespokojnie oczekującą na wiadomość. Jawnem było, że Gastoldi nie mogąc tu zwierzyć się nikomu, zuchwale i nieroztropnie papiery powierzył człowiekowi, który łatwo mógł niezręcznością się zdradzić. Cudem prawie listy cesarskie dostały się do rąk królewnej.

Co o nich i o tem wszystkiem myślała Anna, Dosia tylko z zapłakanych oczu, z westchnień i smutku w twarzy dorozumiewać się mogła. Nie przyniosły one pociechy. Serce i nadzieje królewnej były gdzieindziej.

Zrana przybywająca krajczyna znalazła królewnę bledszą i smutniejszą niż zwykle, ale badana nie przyznała się do tego, co ją trwogą nabawiło.

Zaledwie miała czas się ubrać Anna, gdy Koniecki z powagą urzędową przyszedł oznajmić, iż ksiądz biskup chełmski przybył i o posłuchanie pilno się dopraszał.

Ksiądz Wojciech ze Staroźreb był łagodnym, uprzejmym, słodkim starowiną, do którego królewna zbytniego zaufania nie miała. Stał on tu na straży, jako wysłaniec panów senatorów, którzy przy wszystkich zapewnieniach wierności i przywiązania, coraz większą grozili królewnie niewolą. Był więc nieprzyjacielem.

Anna była dla niego uprzejmą, ale ostrożną.

Ksiądz Wojciech pozdrowił ją bardzo uniżenie i serdecznie, zapytał jak się miała, zasiadł na wskazanem krześle przy stole i ciężko westchnął.

— Przychodzę do miłości waszej z niemiłem zleceniem — rzekł — ale proszę wierzyć, że co się czyni tu, wszystko dla przyszłego dobra miłości waszej.

Wiemy z pewnością, że Gastaldi jest tutaj, że się starał dostać na zamek i listy cesarskie, które miał z sobą, potrafił przesłać miłości waszej.

Królewna zaniemiała ze zdziwienia. Zbladła, nie wiedząc co odpowiedzieć w początku. Nie mogła się zaprzeć, boby jej to uwłaczało, nie wiedziała czy przyznać się wypadało.

Ksiądz Wojciech nie odbierając odpowiedzi, dodał słodko.

— Z wielkim dla mnie smutkiem muszę o tem donieść panom senatorom, a straże około miłości waszej podwoić. Nie mogą na to pozwolić panowie senatorowie, aby jakiekolwiek układy bez ich wiedzy przychodziły do skutku.

W czasie gdy biskup to mówił, Anna czas miała ochłonąć i namyśleć się.

— Ojcze mój — odparła — czyńcie to co wam polecono i co poczytujecie za swój obowiązek, nic nie mam przeciwko temu, ale mnie, królewskiej córce, która nad sobą władzy nie uznaję innej nad Boga, wolno jest też czynić co dla siebie poczytam lepszem. Niewolnicą nie jestem i nie będę.

Dosyć już odjęliście mi swobody, nie dopuszczając do sióstr nawet pisać, ani ludzi przyjmować jakichbym potrzebowała. Znoszę to do czasu, ale wreście głos podniosę i słyszanym on będzie; użalę się i znajdę przyjaciół, co staną w mojej obronie.

Wyrzekła to z taką godnością, z takiem wzruszeniem, iż biskup musiał zamilknąć.

— Nie można panom senatorom brać tego za złe — odezwał się po przestanku. — Idzie tu o los przyszły państwa, nad którem czuwać muszą, bo są odpowiedzialni.

Nie mogą dozwolić, aby bez ich wiedzy rozporządzano.

— A któż o tem myśli? — odparła dumnie królewna. — Ja się wcale nie porywam na to, ale oświadczam wam też, że nad sobą nie dopuszczę właści nikomu.

— Ale miłości waszej doręczono listy cesarskie? — rzekł ksiądz Wojciech.

— Nie widzę obowiązku tłómaczenia się z tego przed wami — spokojnie odezwała się królewna.

— Gastaldi zabiega, aby mógł się widzieć i mówić z miłością waszą.

— Anim go widziała, ani wiem o tem — mówiła królewna chłodno.

Biskup zdradził swą trwogę, załamał ręce.

— Powiadają, że z nim razem przebrany ma się znajdować Ernest syn cesarski!

— A wy, ojcze mój, wierzycie temu? — zapytała królewna — i sądzicie że ja zgodziłabym się na potajemne widzenie się z nim? Tem mi uwłaczacie.

Nigdy tak energiczną jeszcze biskup nie widział królewnę, zdumiał się, ale własnemu, zbyt ostremu wystąpieniu począł to przypisywać. Złagodniał więc.

— Wasza miłość przebaczycie mi — dodał ciszej — ja jestem posłem tylko... czynię co mi zlecono.

— A wy, ojcze, darujcie mi też, iż staję w obronie godności nie mojej tylko — rzekła Anna — ale tych Jagiellonów, z których tu jestem ostatnią.

Biskup skłonił głowę milczący, nie wiedział już co ma czynić dalej. Trwała cisza przez dobrą chwilę. Anna pierwsza ją przerwała.

— Uciekłam z Warszawy przed powietrzem — rzekła — ale od kilku dni przynoszą i tu wieść, że się ono zbliża do Płocka. Nie wiem co tam pomyślą sobie i powiedzą na to panowie senatorowie, ale jak skoro niebezpieczeństwo zagrozi, wyjadę ztąd. Tego mi nikt nie zabroni.

Ksiądz Wojciech spojrzał tylko na królewnę, na licu jej widział postanowienie mocne.

— Ale dokądże ztąd? — rzekł ręce pobożnie składając. — Zaprawdę wybór trudny będzie. Wszędzie prawie po grodach i po większych miastach szlachta się tłumnie zjeżdża dla narad, a gdziekolwiek ciżba, tam większe niebezpieczeństwo.

— Wybierzemy kąt spokojny — odezwała się Anna — a zresztą i to wam powiedzieć przystoi zawczasu, że gdy panowie senatorowie tak się obawiają, abym ja bez nich o sobie nie postanowiła, ja też czuwać muszę nad tem, aby oni o mnie nie stanowili bezemnie i mej wiedzy.

Zezwolą czy nie, tam, gdzie mi się znajdować będzie potrzeba, pojadę. Nikt nie śmie królewskiej córki zatrzymać!

Mówiąc to wstała Anna, lecz jakby siły się jej wyczerpały, padła na krzesło, chustkę do oczu przyłożyła i siedziała zachodząc się cichym płaczem.

Ksiądz biskup chełmski, którego wystąpienie doprowadziło do tak niepomyślnych następstw, siedział również zmięszany i zakłopotany.

Z ust wyrywały mu się wyrazy niepowiązane i niezrozumiałe, widział potrzebę uspokojenia rozdrażnionej królewnej, która dotąd dosyć się łagodną i powolną radom jego okazywała. Z drugiej strony lękał się, aby nie ustąpił za wiele i nie naraził się w górze.

Dochodziły już do Płocka odgróżki szlachty, która na skarb tykociński zęby ostrzyła i, mimo testamentu króla, opanować go chciała, na państwa potrzeby.

Z drugiej strony Litwa także do tego skarbu równe sobie rościła prawa, a głośniej jeszcze zaprzeczała ważności rozporządzeniu króla i samowolnie już dobra domu Jagiellońskiego, należące do rodziny, zajeżdżała i zabierała.

Takie przynajmniej wieści przynoszono z Litwy, gdzie Chodkiewicz się oświadczał, iż Unię zerwie.

Tak ze wszech stron spadały ciosy na ostatnią z Jagiellonek.

Ale właśnie może wielkość niebezpieczeństwa, groza tego położenia, wydobywały ze słabej dotąd kobiety siły, jakich się w niej nikt nie spodziewał.

Płakała jeszcze czasem zamknąwszy się w sypialni, ale gdy tak jak dziś, potrzeba było w obronie swych praw wystąpić, znajdowała w sobie dosyć energii, aby nie uledz naciskowi i nie poddać się władzy, której nie uznawała.

Biskup chełmski, ułagodziwszy jak mógł i umiał królewnę, pożegnał ją śpiesząc na naradę do wojewody Uchańskiego.

Królewna, do której prawie współcześnie z listami cesarskiemi doszły zatrważające groźby Litwinów, już zagarniających jej majętności, wahała się jeszcze jak sobie postąpić miała i kogo posłać tam, aby stanął w jej obronie. Talwosz choć czynny i obeznany z ludźmi, nazbyt jej był tu potrzebnym. On sam czuł się za małym do podjęcia sprawy takiej wagi, a obawiał się dumy i gwałtowności Chodkiewicza. Czekać więc było potrzeba.

Tymczasem po zuchwałem podrzuceniu listów cesarskich, choć i biskup i wojewoda płocki strzegli się rozjątrzać królewnę, obawiając się aby im z Płocka nie pierzchnęła, podwojono dokoła straże pilne, zamek uczyniono niemal więzieniem. Za wychodzącemi i powracającemi sługami snuli się dodani im nadzorcy. Talwosz widział wszystko, oburzało go to, po cichu donosił Dosi, ale był on i ona tego zdania, że Annie o tem mówić nie należało.

Litwin uśmiechał się gorzko.

— Gdyby potrzeba była — mruczał po cichu — potrafilibyśmy ich wszystkich wywieść w pole, a w dodatku ich własnemi ludźmi się posłużyć... ano, potrzeba być cierpliwym aż do końca.

Dosia Zagłobianka mniej tu się swobodnie obracać mogła, lecz czuwała pilno nad panią swą, a musiała też i na Żalińską mieć oko, aby jej nie dopuścić znęcać się nad królewną. Często bardzo ona sama padała ofiarą, łudząc potrosze rozkochanego Matyasza, który miał nad matką przewagę i czyniąc mu nadzieje, które się ziścić nie miały. Naówczas Talwosz, który był zazdrośny i którego oka nic nie uszło, rozpaczliwie patrzał na Zagłobiankę, a ta go szyderstwy zbywała.

Dla królewnej jedyną pociechą było, że miała swą ukochaną krajczynę, z którą obie razem po całych dniach listy do księżnej Brunświckiej układały, donosząc jej o najmniejszych zachodzących tu wypadkach. Pisma te oczekiwały na referendarza, który je potajemnie miał przesyłać.

Ksiądz biskup chełmski i wojewoda Uchański wiedzieli, że panie obie dużo pisały, domyślali się, że pisanie to musiało ztąd gdzieś odpływać, ale na trop wpaść nie mogli.

Referendarz umiał tak zręcznie chodzić, iż za sobą ślady zacierał.

O Gastaldim poszły doniesienia do panów senatorów, bo biskup lękał się odpowiedzialności, a królewnej Anny codzień się więcej obawiano, przekonywając się, że przy pozornej łagodności miała energię niepospolitą i lada czem się zrazić ani zastraszyć nie dawała.

Ks. Wojciech, chociaż z obowiązku swego dozorował i donosił, nie rad był się narazić królewnie, za każdym razem przybywając starał się łagodzić, pocieszać i dowodzić swej życzliwości. Miło mu też było, gdy wprost do niego przybył jednego ranku szlachcic z okolicy, niejaki Lesznowski, prosty sobie, zażywny, rumiany, opalony, człek w starodawnej mody wiejskiem ubraniu, cale nie wyglądający na dworaka, kłaniający się do

stóp, całujący po rękach, który mu oświadczył, że będąc żonaty z Litwinką, wielką miał miłość dla rodziny Jagiellońskiej, którą i jejmość jego podzielała, że oboje oni widzieli z kompasyą osierocenie ostatniej z rodu... pani, którejby wedle przemożności chcieli się czemś przysłużyć.

— Ale — dodał naiwnie Lesznowski — powiadają, że na zamek do królewnej nie puszczają bez wiadomości panów... więc się oznajmuję, zem wóz zwierzyny dla pani naszej przywiózł na kuchnię.

Biskup się rozśmiał.

— No, to mnie się z niego też dziesięcina będzie należała?

— Ja o tem nie zapomniałem — rzekł, w rękę go całując szlachcic — jest kozioł i dwanaście kuropatw dla pasterza.

— Więc czegoż chcecie? — zapytał się biskup.

— A o tobym ja pragnął mieć to szczęście sam do nóg upaść królewnie i ofiarę jej złożyć — otrzymał pozwolenie.

Biskup ruszył ramionami.

— Cóż bo wy znowu myślicie, że my królewnę w niewoli trzymamy, czy co? — odezwał się. — Każdemu do niej przystęp wolny, a jeźli się patrzy i ogląda, to dlatego, aby ją nie trapili intryganci, którzy w mętnej wodzie radzi ryby łowią. Takim, jakim wy, nigdy drzwi nie są zamknięte.

Lesznowski otrzymawszy pozwolenie biskupa, pojechał na zamek i, nadzwyczaj mądrze, zgłosił się tu do Talwosza, którego wziął na stronę.

— Ks. biskup chełmski pozwolił mi królewnie zwierzyny wóz ofiarować — rzekł do niego cicho — ale waszmości to ja powiedzieć mogę, żem nie dla zwierzyny przybył, posłał mnie tu poufnie pan Chodkiewicz i trzeba mi się z królewną widzieć na cztery oczy, ale tak, aby z tego gadania nie było. Ludzie mają wiedzieć, żem sarniny i ptactwa nabitego u mnie w lesie wóz do kuchni dostawił i tyle...

Spojrzeli sobie w oczy z Talwoszem, Litwin był niedowierzający.

— A jak królewna nie zechce się widzieć z wami? — spytał.

— Uczyni źle — odezwał się Lesznowski — bo o jej sprawę idzie. Litwa sobie bez niej radę da, a ona bez Litwy... nie wiem. Powiedzcie, żem od Chodkiewicza posłany; ona wie, co on znaczy i co może...

Poszedł tedy Talwosz, ale niełatwo było tak ułożyć posłuchanie, aby ani krajczyna Łaska, ani nikt ze dworu nie był przytomnym, i żeby to nie zwróciło oczów. Żalińska, Koniecki zazdrośni byli i nieradzi, gdy ich pomijano.

Udało się wszakże Talwoszowi uprosić królewnę, aby Lesznowskiego do komory osobnej wpuścić dozwoliła, od której drzwi do izby posłuchalnej miały stać otworem, a tu tylko jedna krajczyna się znajdowała.

Otrzymawszy pozwolenie Lesznowski, suknie ociągnął na sobie, pasa poprawił, czuprynę pogładził i wpadł tak śmiało i raźnie, jakby innym był cale człowiekiem, nie tym, który przed biskupem niuńkę udawał.

Królewna poczęła mu dziękować za poczciwą ofiarę jego, gdy on, nie tracąc czasu, z za żupana dobył list i pochyliwszy się, podał go królewnie.

Starosta żmudzki Chodkiewicz poświadczał w nim, że cokolwiek powie od niego Lesznowski, wiara mu być ma daną.

— Cóż mi przynosicie od pana starosty? — zapytała ciekawie się zbliżając ku niemu królewna.

— Naprzód czołobitność, jaka się swej pani należy — począł Lesznowski. — Starosta prosi pokornie miłości waszej, abyście nie zapominali, że ze krwi litewskiej idziecie, która od wieków panowała tym krajom. One też o tem dobrze pomną, i ofiarują wprost, nie omawiając wiele i długo, waszą miłość na tron swój podnieść i ogłosić wielką księżną... a dozwolić, abyście sobie mężem obrali kogo zechcecie.

Zarumieniła się Anna, a szlachcic mówił dalej głos zniżając.

— Jedno to sobie waruje starosta, a z nim Litwa, aby jej kraje te, które do Korony oderwane zostały, były przywrócone, i chce być tak niezależną i sobą samą, jak była za dawnych czasów, aby jej Polacy praw nie dyktowali.

Gdy Lesznowski mówił, a Anna milczała i dumała, Talwosz na straży stał i drzwi pilnował.

— Niedobrze rozumiem pana starostę — rzekła powoli królewna. — Litwa się tak połączyła od Horodła począwszy, aż do Lubina, gdzie Unją przypieczętowano na wieki, iż się już ten węzeł, jakby małżeński, nigdy rozerwać nie może.

— Ale to się stało z wielką krzywdą i upokorzeniem Litwy, twierdzi pan starosta — dodał Lesznowski — i teraz pora odzyskać, co się straciło. Polacy o waszej miłości zapominają zupełnie... Litwa chce jej do tronu drogę otworzyć.

— Możesz to być — odezwała się Anna — gdy ten sam pan Chodkiewicz mi dobra macierzyste zajeżdża i odbiera, praw do nich zaprzeczając?

— Wszystko wasza miłość odzyskacie i uczynicie po woli swej, oddając się Litwie — rzekł Lesznowski — ale Unii on nie chce znać, Unię poszarpać potrzeba, a Litwie wolę swą dać.

Po twarzy królewnej bladość się rozpostarła, cofnęła się krok, jakby przestraszona, ręce zacisnęła, w których trzymała różaniec.

Lesznowski wnioskować już mógł, że ofiara nie będzie przyjętą.

— Boże uchowaj — odezwała się słabym głosem Anna — abym ja do tego rękę przyłożyć miała. Jego królewska mość, ś. p. brat mój, pracy wielkiej i zdrowia nie żałował, aby tę Unię skleić, jakżebym ja miała ją rozrywać?

Dziękuj Wmość staroście odemnie, ale powiedz mu, nie uczynię tego[1].

Lesznowski stał milcząc, czekając ażby się może inaczej namyśliła, gdy królewna dodała:

— Co się kolwiek ze mną stać może, niech się stanie. Panu Bogu poruczam sieroctwo swe w opiekę Jego[2].

Postrzegł szlachcic, iż na razie więcej nie zyszcze, obejrzał się dokoła, pokłonił i szepnął, że w tak ważnej sprawie czas do namysłu potrzeba mieć, więc za dni kilka przybędzie, aby ostatnie słowo posłyszał.

Chciała mu odpowiedzieć Anna, iż nie zmieni postanowienia, ale Lesznowski uwinął się żwawo, pokłonił i wymknął.

Gdy po chwili królewna powróciła do krajczyny i Zosi, siedzących w posłuchalnej izbie przy krosnach, na których szyły antepedium do ołtarza, poznały zaraz po zmienionej twarzy jej, że wzruszoną była nad miarę. Zerwała się krajczyna niespokojna pytając, ale uspokajającą otrzymała odpowiedź, że szlachcic swą ofiarą i przywiązaniem tak serce jej przejął a sieroctwo przypomniał. Nie przyznała się, z jak wielką i ważną sprawą przybył i co mu odpowiedziała.

Trudno było potem Zosi szczebiotaniem, krajczynie czułościami i pieszczotami, Żalińskiej gderaniem, Dosi staraniami, jakiemi ją otaczała, smutek głęboki Anny rozproszyć.

Pozostała przez kilka dni ciągle milcząca, więcej niż kiedy zagłębiona w sobie, popłakując tajemnie, zdradzając cierpienie, do którego się przyznać nie chciała przed nikim.

Szanowała nadto wielkie dzieło, jedyną dokonaną panowania brata sprawę główną, aby ją zniszczyć mogła dla swojego osobistego interesu. Kochała nadto oba kraje. Wydawało się jej zbrodnią targnąć się na ten związek, na który krwią i łzami blizko trzechset lat pracowano.

Lesznowski nie dał za wygranę.

Czy potem widział się z panem starostą, lub od niego otrzymał nowe zlecenia, z tego się nie tłómaczył, ale po dziesięciu dniach z nowym wozem zwierzyny przybył, łosia przywiózł do osolenia dla czeladzi na zimę, dla biskupa drugiego; oprócz tego mniejszej zwierzyny dość i całą kadź ryb.

Znowu tedy na zamek się wprosił, Talwosza znalazł i posłuchania się domagał.

Królewna z obawą i niebardzo chętnie się zgodziła na nie.

Wyszła ociągając się. Lesznowski pokłony od pana starosty przynosił, ale i coś więcej nad nie.

— Boleje Litwa — rzekł — że waszą miłość tu na zamku, na wygnaniu pod strażami, jakby niewolnicę, trzymają Polacy. Uwłacza to godności jej i tej krwi, z której pochodzi

[1]Historyczne. [przypis autorski]
[2]Historyczne. [przypis autorski]

miłość wasza. Pan starosta mi kazał oświadczyć, że gotów jest w pięć tysięcy koni przyjść, na zamek siłą wtargnąć i miłość waszą wyzwolić a z tryumfem prowadzić na stolicę.

Królewna aż krzyknęła, posłyszawszy to, z oburzenia i przestrachu.

— Niech Bóg uchowa! — zawołała — abym ja na to przyzwolenie dać miała! Niech się pan starosta czynić tego nie waży, gdyż wolę się wyrzec wszelkich praw moich, niż zdradzić jednych dla drugich i być przyczyną zamięszania i wojny, podczas gdy zgoda i pokój najpotrzebniejsze[3].

Kusicie mnie — dodała — jak zły duch Chrystusa Pana przed męczeństwem Jego... słabą jestem niewiastą, lecz z drogi moich powinności sprowadzić się nie dam.

Powiedźcie panu staroście, iż mu wdzięczną jestem za dobrą wolę przeciw mnie, lecz co innego w sercu mam i na ofiarę gotowa jestem, a nie bym z chwili zamięszania korzystała. Od czego niech Bóg mnie uchowa.

Postrzegł szlachcic, że tu już nic do czynienia nie miał i nadziei żadnej, aby się powiodły tajemne zabiegi. Spuścił głowę i zamilkł.

— A proszę was — dodała Anna — abyście więcej mnie podobnemi nie nachodzili ofiarami, których sumienie przyjąć się wzbrania.

I skłoniwszy głowę, królewna wyszła natychmiast z komory do krajczyny, która czekała na nią.

Wkrótce potem postanowiła królewna, nie chcąc osób, które się przy niej znajdowały, narażać na niebezpieczeństwo, gdy powietrze ku Płockowi zbliżać się zdawało, przenieść się do Łomży.

Ks. biskupowi chełmskiemu wprost o tem doniosła jako o rzeczy, która konieczną była i na którą pozwolenia nie potrzebowała.

Nie chciała się bowiem poddać rozkazom i władzy panów senatorów.

— Dozoru nademną — mówiła krajczynie — wzbronić i przeszkodzić sprawowaniu go, opierać się nie mogę, ale się krępować nie dozwolę.

Czekała tylko na Czarnkowskiego, któremu zlecić miała, ażeby na zjazdach szlachty, które wszędzie się zbierały na niespokojne narady, sprawę jej i praw należnych popierał.

Referendarz przybył, jak zawsze, pełen wylania się, gotów w słowach na wszystko, przedewszystkiem bacząc na to, aby cesarskie interesa i swoje przy tem upiekł.

Królewna się wcale nie domyślała tej wielkiej miłości jego dla Maksymiliana i Ernesta, z którą niezupełnie się wydawał. Tym razem jednak próbował Czarnkowski poruszyć strunę, chcąc się dźwiękowi jej przysłuchać. Zagaił o Erneście, — królewna pozostała chłodną i nie dozwoliła się wyrozumieć; słuchała o nim, nie odpowiadając.

Referendarz mimo całej przebiegłości swej nic więcej nie dowiedział się nad to, że była obojętną i zimną. Ze swą sympatyą dla Henryka Anna wcale się też nie wydała. Była to jedna z tych tajemnic, które w najgłębszym serca zakątku zachowała, jako skarb swój najdroższy.

Mówiło jej cóś, że nadzieje na niczem nie oparte, śmieszne prawie, mimo ludzi, mimo przeszkód, mimo wszystko, ziścić się miały.

Zostawszy sama, bawiła się obrazem wymarzonego szczęścia swojego...

— Bóg mi długo na nie czekać kazał, ale mnie z jasnych chwil nie wydziedziczy!

I modliła się po cichu.

Dla wszystkich w istocie marzenie to królewnej pozostało tajemnicą, z wyjątkiem Dosi Zagłobianki.

Długim pobytem przy Annie nauczona ją odgadywać, wnikać w jej duszę, Dosia jakąś intuicyą miłości dla pani swej, wyczytała w niej, co wszystkim było zakryte.

Była prawie pewna, że królewna o tyle sobie życzyła Henryka, o ile Ernesta obawiała.

Śledząc każdy krok, poruszenie, wrażenia Anny, Dosia dopatrzyła gdy Krassowski przywiózł i pozostawił wizerunki francuzkie, jak ciekawie królewna wpatrywała się w nie, chowała, a będąc sama wydobywała, nie mogła nasycić przyglądaniem się miniaturze Henryka. Jedna Zagłobianka tylko wiedziała o tem, a raz wpadłszy na trop, później z tysiącznych małych oznak utwierdziła się w swem przekonaniu.

[3]Historyczne. [przypis autorski]

Nigdyby nie śmiała dać poznać Annie, że to, co ona skrywała i taiła tak skrzętnie, odgadnąć potrafiła, ale przez przywiązanie swe dla pani łamała sobie głowę jakby mogła dopomódz, usłużyć, zapobiedz, aby się coś przeciwnego nie złożyło.

Pomimo całej swej zuchwałości, przebiegłości, cóż mogło biedne dziewczę? nic lub tak jak nic.

Przeszkadzała tylko temu wszystkiemu, co tu cesarzowi i Ernestowi posługiwać chciało, i z pociechą się przekonała, że Anna z tego rada była.

Nie wiedział o tem nikt, nawet królewna, że śmiała Zagłobianka napadłszy raz w sypialni królewnej podrzucony przez kogoś, niewidomą ręką wizerunek Ernesta, natychmiast go zniszczyła.

Nie mogła zapobiedz, aby Gastaldi nie wsunął tu listów cesarskich, ale to były pierwsze i ostatnie. Dosia poprzysięgła, że choćby się narazić miała, wszelkie późniejsze dopilnuje i zniszczy.

Dotrzymała też danego sobie samej słowa i spaliła znalezione później w sypialni wiadomości z cesarstwa...

Istota to była dziwna to dziewczę, na pół dzikie, nic niemające do stracenia, żyjące całe przywiązaniem dla swej pani.

W jej sercu obok tej miłości, żadna inna się obudzić nie mogła. Młoda, piękna, otoczona pochlebcami, którzy szaleli za nią, wyśmiewała się ze wszystkich, widziała w nich tylko ich przywary i słabości.

Jeden może Talwosz miał u niej jeżeli nie łaskę, to trochę pobłażania, bo on najgoręcej także służył królewnie i był w tej służbie najzręczniejszym.

Ale i on nie mógł pochwalić się tem, aby mu Dosia najmniejszą uczyniła nadzieję, że łaskawiej spojrzy na niego. Gdy szło o posługę, używała go, szukała, naradzała się; jak tylko o swem sercu mówić zaczynał, wyśmiewała i odpychała go bez litości.

Jedynym węzłem, co łączył ich, było to przywiązanie do królewnej.

Talwosz nie mógł, jak ona, odgadnąć, co się działo w sercu Anny, ale to wiedział i domyślał się, że cesarzewicza sobie niebardzo życzyła...

Dosia wahała się jeszcze, czy mu się ma zwierzyć ze swych domysłów, i czy się to na co przydać mogło, gdy Litwin jednego wieczora, w rozmowie z nią niewielką do tego przywiązując wagę, rzekł śmiejąc się.

— Mnie się zdaje, że królewnaby już Francuza wolała niż cesarzewicza.

Dosia spojrzała mu w oczy wyraziście, nie mówiąc nic długo.

— Zkądże to macie?

— Albo ja wiem? — odezwał się Talwosz. — Panna Dorota musi przecie znać to, że kogo się miłuje, tego się odgaduje. A co panna na to?

— Ja? — zawołała Dosia wesoło. — Ja? powiem, że mogłoby to być, ale naszej królewnej odgadnąć trudno... Smutek na człowieku jest jak piasek na mogile, kogo on przysypie, niełatwo odkopać... a pani nasza wiele na sobie smutków dźwiga...

Ale, gdyby to przypadkiem prawda była, że jej Francuzik lepiej do serca przypada... co w takim razie poczynać? Za cesarzem wszyscy... a ten Czarnkowski, którego królewna i lubi i wierzy mu... przysięgnę, że za nim też ciągnie.

— To pewna! — potwierdził Talwosz — ale mocniejszy Pan Bóg od pana Czarnkowskiego — dodał Litwin przysłowie stare przerobiwszy. — Gdyby to prawdą być miało, że królewna w tamtą stronę oczy zwraca, czy nie wartoby się lepiej dowiedzieć i rozsłuchać, co ztamtąd od Francyi wieje?

— A to jak? — zapytała niedowierzająco Dosia.

— Nie wiem — odrzekł Talwosz — myślę sobie tylko, gdyby potrzeba życie ważyć, jechać, rozwiadywać się, przeglądać... choćby na kraj świata, jam pierwszy gotów!

Zagłobianka wdzięcznie mu się uśmiechnęła.

— Któż to wie? — odrzekła zadumana. — Może jeszcze waszmości wezmę za słowo.

Ale nie śmiała mówić więcej, skinęła główką i odeszła.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.
Ten utwór jest w domenie publicznej.
Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.
Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/infantka-tom-pierwszy/

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, Infantka: powieść historyczna (Anna Jagiellonka), tom I, Kraków: Spółka Wydaw. Księgarzy w Warszawie Gebethner i Wolff: M. Glücksberg [etc.], 1884 (Kraków: W. L. Anczyc).

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (http://wolnelektury.pl) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (http://pl.wikisource.org). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środkóœ Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0438-8

Wesprzyj Wolne Lektury!
Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.
Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?
Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.
Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.
Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.